

NIE POTRAFIĘ O TYM, CO DZIAŁO SIĘ W CZASIE WOJNY, PISAĆ
INACZEJ NIŻ Z PERSPEKTYWY DZIECKA. PO PROSTU SIĘ TEGO BOJĘ.

URI DRLEV



**BIEGNIJ
CHŁOPCZE,
BIEGNIJ**

**w
ab**

Uri Orlev

**BIEGNIJ CHŁOPCZE,
BIEGNIJ**

1. Jedzenie i wolność. Nikt nie odpowiedział.

Wczesnym rankiem, kiedy ulice były jeszcze puste, Dawid wziął młodszego brata za rękę i powiedział:

- Chodź, Sruliku. Przejdziemy na polską stronę.

- Jak?

- Jak ci, co szmuglują jedzenie. Widziałem ich, mają przejście w murze za domem naprzeciwko.

Srulik był przejęty. Nie zawsze zgadzał się z bratem, od którego dzieliła go nieduża różnica wieku, ale tym razem propozycja wzbudziła w nim entuzjazm.

- Co jest po polskiej stronie?

- Jedzenie i wolność - odpowiedział brat.

Srulik wiedział, co to takiego jedzenie. Ale co oznacza drugie słowo?

- Co to jest wolność? - zapytał.

- Wolność jest wtedy, kiedy nie ma muru i można iść przed siebie, i nic cię nigdzie nie zatrzyma - wyjaśnił Dawid. - Moi koledzy - ciągnął - stoją w pobliżu wartowników i kiedy na warcie jest dobry Niemiec, przebiegają na polską stronę.

- Robiłeś to już kiedyś? - zaciekał się Srulik.

- Nie. Ale dziura w murze jest jeszcze lepsza.

- Jak zdobywa się jedzenie po drugiej stronie? - wypytywał dalej Srulik.

- Zebrze się o pieniądze, a potem kupuje w sklepie. W sklepie można dostać wszystko, jak u pani Staniak w Błoniu, przed wojną.

- Cukierki też?

- Też.

Srulik był chłopcem rudowłosym i piegowatym, o błękitnych oczach i ujmującym uśmiechu. Kiedy jeszcze mieszkali w swoim domu, po tym jak Niemcy wypowiedzieli Polsce wojnę i zagarnęli jej ziemie, a sytuacja pogarszała się z dnia na dzień, dzięki temu uśmiechowi od czasu do czasu dostawał od ojca, w najgłębszej tajemnicy, kilka groszy na cukierki ze sklepu pani Staniak. Teraz tata nie miał nawet tych kilku groszy, by dać swemu najmłodszemu synkowi.

- Dobra - zgodził się Srulik. - Chodźmy.

- Jest tylko jedna rzecz... - ostrzegł brat. - Trzeba uważać na chuliganów.

- Co oni robią?

- Biją.

- Mocno?

- Bardzo mocno. Chcesz iść mimo wszystko?

- Tak - potwierdził Srulik bez wahania.

Przeszli przez otwór w murze, ale po drugiej stronie zobaczyli dwóch polskich chłopaków przyglądających się im ze złym uśmiechem.

- Wracajmy - zdecydował Dawid.

Srulik bardzo żałował. Nie tylko ze względu na cukierki. Przede wszystkim z powodu tej drugiej rzeczy: że można iść przed siebie, jak dawniej, gdy swobodnie wędrowali po polach i mieszkali we własnym domu, w swoim małym miasteczku.

Dawid opowiedział rodzicom o przejściu w murze, a oni postanowili, że spróbują uciec z getta i wrócić do rodzinnego Błonia. Może tam któryś z zaprzyjaźnionych Polaków zgodzi się użyczyć im schronienia. Minęło półtora roku, odkąd zostali wywiezieni, półtora roku cierpienia, i wszystko wydawało się lepsze od powolnej śmierci głodowej w warszawskim getcie. Postanowili, że pierwsi wyjdą rodzice z małym Srulikiem. Jeśli dopisze im szczęście, dołączą do nich dwaj pozostali bracia i siostra. Jak dowiedzą się, że rodzicom się udało? Dostaną pocztówkę, na której będzie napisane: „Nie mieliśmy od Was wiadomości od dawna. Napiszcie, co u Was słychać. Jacek?”. Kim jest Jacek? To zwykłe polskie imię, powiedział tata. A jeśli nie dostaniemy pocztówki? Mimo wszystko wyjdźcie z getta i idźcie do Błonia.

Srulik dobrze pamiętał miasteczko. Mieszkali wszyscy w domu z jedną dużą izbą: ojciec z mamą, wujek, dziadek i pięcioro dzieci. Wujek z Fajgą, najstarszą siostrą, po wybuchu wojny uciekli do Rosji. Dziadka zabrano pewnego dnia do szpitala i już nie wrócił.

Dawid odprowadził rodziców i Srulika do przejścia w murze. Tam się pożegnali i we troje przeszli na „drugą stronę”. Słońce stało wysoko na niebie. Kiedy szli ulicami Warszawy, wszystko wyglądało tak, jakby na świecie panował pokój. To wrażenie zakłócali jedynie Niemcy, którzy co jakiś czas mijali ich na ulicach.

- Nie wolno nam się spieszyć - ostrzegł ojciec. - Musimy wyglądać jak ludzie na zwyczajnym spacerze. Nie patrzcie na Niemców ani na policjantów. Jakbyśmy chodzili tędy każdego ranka.

Srulik nie potrafił pokonać ciekawości. Przyglądał się wszystkiemu: oknom wystawowym, ładnie ubranym matkom z niemowlętami w wózkach, samochodom,

tramwajom i dorożkom zaprzężonym w konia albo w parę koni. Patrzył też na Niemców i na policjantów. Rodzice nie przyglądali się niczemu, przez cały czas starali się zachować niewzruszony spokój. Żeby tylko nie biec, nie uciekać, zwyczajnie iść na spacer z małym chłopczykiem.

W końcu wyszli z miasta.

Srulika ogarnęła wielka radość. Uśmiechał się do zielonych pól, do kwiatów rosnących przy drodze, do krów i koni pasących się na łące, do wielkiej połaci niebieskiego nieba rozciągającego się po horyzont i lasu, który rysował się w oddali cienką czarną kreską. Wszystko wyglądało jak dawniej, jakby w ogóle na świecie nie było wojny. Nagle z naprzeciwka nadjechało trzech Niemców na motocyklach. Ojciec skoczył do przydrożnego rowu. Matka i syn poturlali się w drugą stronę. Niemcy nie zauważyli ojca, ale znaleźli kobietę z chłopcem, wsadzili ich do przyczepy motocykla i zawieźli na gestapo. Tam zbili matkę pałką i odwieźli z powrotem do getta, gdzie długo leżała chora.

Ojciec nie wrócił.

Minęły dwa długie tygodnie, zanim matka wydobrzała na tyle, by razem ze Srulikiem wyruszyć na poszukiwanie jedzenia w wielkich kontenerach na śmieci. Kiedy stanęli przy pojemniku, podniosła pokrywę i podsadziła syna, by pomóc mu wejść do środka, chociaż wiele razy powtarzał, że da sobie radę sam. Pokazał jej, jak bierze rozbieg, odbija się i podskakuje, chwytając krawędź pojemnika, przetacza i już jest w środku. Szczególnie dobrze udawało mu się z kontenerem zbudowanym z cegieł. Troszkę trudniej wyglądała sprawa ze wspinaczką na te blaszane.

- Mniej się ubrudzisz, jeśli ja cię podsadzę - przekonywała matka.

- To nie ma już znaczenia - odparł.

Może mama jednak mimo wszystko ma rację, pomyślał jednocześnie.

Teraz skoncentrował się na swoim zadaniu. Grzebał w śmieciach obiema rękami, od czasu do czasu pomagając sobie kijkiem albo kawałkiem ułamanej deski. Szukał obierek ziemniaków, buraków albo marchwi, skórek jabłek i innych resztek, czasem znajdował stary chleb, suchy i spleśniały. Wszystkie łupy wrzucał do wiklinowego koszyka, a kiedy koszyk się wypełniał, opuszczał go na dół.

Wszystkie znalezione w śmieciach resztki matka przebierała i czyściła, a potem gotowała z nich odrobinę jedzenia dla swojej rodziny. Co prawda, rodzice dostawali kartki żywnościowe, ale racje były tak mizerne, że gdyby na nich poprzestać, umarliby z głodu. W mroźne i ciężkie zimowe miesiące Srulik musiał dosłownie ryć w śmieciach zgrabiałymi z zimna rękami. Na szczęście pewnego dnia znalazł podarte wełniane rękawiczki, które mama

zacerowała.

Skończył już osiem lat. Był ciepły letni dzień pod koniec czerwca. Latem grzebanie w śmieciach było łatwiejsze, ale też unosił się z nich znacznie silniejszy smród. Srulikowi dokuczały też muchy, które nieustannie brzęczały mu wokół głowy. Na próżno powtarzał im, że niczego ciekawego nie znajdą na jego twarzy i raczej powinny poszukać sobie czegoś w śmieciach. Dopiero gdy znajdował coś szczególnie śmierdzącego i odkładał to na bok, muchy dawały mu spokój i gromadziły się w tamtym miejscu. Były wśród nich zwykle muchy i te o zielonych błyszczących brzuskach. Trupie muchy, jak mówił jego brat Dawid. Tym razem w kontenerze Srulik nie znalazł nic wyjątkowo smrodliwego i nie udało się przekonać much, żeby poleciały gdzie indziej.

- Mamo? - zawołał, by podać matce koszyk, który tymczasem zapełnił.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, nie pojawiła się też ręka matki sięgająca po koszyk. Srulik wyprostował się i wyjrzał na zewnątrz. Pod murem getta przegradzającym ulicę grupa dzieci grała w piłkę. Zeskoczył na chodnik, okrążył kontener i pobiegł ulicą, przyglądając się uważnie przechodniom. Kobieta, która siedziała skulona na schodku przed sklepem, z daleka wydała mu się podobna do matki. Nie, to nie ona. Srulik wrócił do kontenerów - może tymczasem mama wróciła. Jakiś człowiek opróżniał właśnie wiadro z odpadkami, ale matki nie było. Znikła, jakby zapadła się pod ziemię.

Srulik stał, wyłamując palce. Dokładnie tak samo robiła jego mama w chwilach lęku i rozpacz. Nie umiał trafić sam do domu. Rozglądał się wokół nieprzytomnie. Nic się nie zmieniło. Domy i okna z obu stron ulicy spoglądały na niego z góry jak wcześniej. Grupa dzieci dalej grała w piłkę na kawałku wolnej przestrzeni pod murem. On także pozornie był tym samym chłopcem, ale w jego sercu rozwarła się próżnia, która wciąż się poszerzała, zmieniając w przepastną otchłań. Otrząsnął się dosłownie w ostatniej chwili i pobiegł dołączyć do bawiących się dzieci.

2. Umiesz kraść? Nie ruszaj się, chłopcze. Wydostanę cię stąd.

Srulik był bardzo zwinnym chłopcem o długich nogach. Nauczył się grać w piłkę nożną jeszcze w ciasnym błotnistym getcie w swoim miasteczku. Zatem owinięta w szmaty puszka, zastępująca dzieciom piłkę, nie była dla niego nowością.

Grali w ośmiu. Gdy pojawił się Srulik, podzielili się na nowo. Inny chłopiec odłączył się od gry i usiadł na schodkach. Miał na sobie bardzo obszerną i wypchaną marynarkę pasującą na dorosłego mężczyznę, chociaż było jeszcze ciepło, także późnym popołudniem. Strój ten z pewnością ciążył mu i przeszkadzał w grze. Po jakimś czasie chłopcy przerwali grę i zaczęli szeptać między sobą, zerkając na Srulika. Potem obstąpili go i przypatrywali mu się z jeszcze większą uwagą.

- Jest chudy jak patyk - zauważył wysoki chłopak.

- Nada się - stwierdził inny.

- Do czego się nadam? - Srulik nie rozumiał.

- Jesteś głodny? - odpowiedział tamten pytaniem. Tak - przyznał Srulik, który na krótką chwilę zapomniał o głodzie.

- Mojszele, daj mu coś do jedzenia - polecił wysoki chłopcu w marynarce.

Teraz Srulik zobaczył, że kieszenie marynarki są wypchane różnymi rzeczami. Mojszele rozejrzał się na prawo, na lewo i nie dostrzegając niebezpieczeństwa, wyjął z jednej kieszeni kielbasę, z drugiej scyzoryk, odkroił gruby kawałek i podał Srulikowi. Srulik od dawna nie jadł takich pyszności.

- Chodź z nami. Jak się ściemni, wsadzimy cię przez małe okienko do sklepu, w którym są takie kielbasy. Otwór jest tak mały, że żaden z nas się nie przecisnie, ale tobie chyba się uda. Potrafisz kraść?

Srulik wzruszył ramionami. Może nawet kraść. Był gotów na wszystko, by zdobyć taką kielbasę.

- Daj mi jeszcze trochę - poprosił.

- Jankiel, dać mu?

- Daj - zgodził się duży.

Grali dalej, aż nad gettem zaczął zapadać zmierzch. Potem ukryli „piłkę” w stercie jakichś gratów i ruszyli pędem, klucząc i przebiegając między ludźmi, którzy tłumnie zapelniali ulice. Na koniec dotarli do zamurowanego ceglami wejścia i zajęli tam stanowisko. Czekali na godzinę policyjną, która - sądząc po pustoszejących ulicach - miała niebawem

nadejść. Tymczasem Mojszele, chłopiec o wypchanych kieszeniach, wyciągnął znowu kiełbasę i nożyk i ukroił każdemu gruby kawałek. Po posiłku wyjął z kieszeni papierosy i zapalki, każdy papieros przeciął na pół i rozdał połówki z powagą. Dwaj więksi chłopcy dostali po całym papierosie.

- Palisz? - zapytał Srulika.

- Nie.

- Musisz, żeby do nas należeć.

Starszy brat zmusił go kiedyś do „pociągnięcia”, gdy udało mu się zdobyć papierosa. Smak był gorzki, a od dymu Sruлик zaczął kaszleć i się krztusić.

- Nie, nie chcę.

- Daj mu spokój - wtrącił się Jankiel.

Dobrze ubrany mężczyzna, który przechodził obok, przystanął, obrzucił ich spojrzeniem i krzyknął:

- Łobuzy!

- Niech pan da chociaż parę groszy, jesteśmy głodni - poprosił jeden z chłopców.

- Na papierosy was stać?

Mężczyzna odszedł.

Tymczasem ulica opustoszała i chłopcy zabrali się do realizacji planu. Sklep, do którego zamierzali się włamać, znajdował się w domu graniczącym z wąskim zaułkiem. Widać było małe okienko.

- Teraz naróbcie hałasu - rozkazał Jankiel.

- Grupa chłopców zaczęła wrzeszczeć w udawanej kłótni, a w tym czasie Jankiel wybił szybę kamieniem. Na górze otworzyło się okno i jakiś głos zawołał:

- Wynoście się stąd, chuligani!

- Dobrze, proszę pani - powiedział Mojszele.

Odeszli, ale po kilku minutach wrócili. Jankiel wsunął rękę i otworzył okno z wybitą szybą, potem obwiązał Srulika sznurkiem. Okazało się, że Sruликowi naprawdę udało się wcisnąć do środka. Jankiel ostrożnie opuścił go na dół.

- Ty, rudy, nie zdejmuj sznurka, tylko przekręć go na sobie - wyszeptał z góry. - Co widzisz?

Sruлик usiłował dostrzec cokolwiek, ale wewnątrz sklepu panowały całkowite ciemności.

- Nic nie widzę - odparł.

- Mojszele, dlaczego nie dałeś mu zapalek? - rozzłościł się Jankiel.

- Dlaczego sam mu nie dałeś?

Na ziemię pod ścianą upadło pudełko zapalek. Srulik macał rękami, aż znalazł i zapalił zapalkę.

- Widzisz kielbasy?

- Nie - szepnął w odpowiedzi. - Ale widzę butelki.

- Z wódką?

- Skąd mam wiedzieć?

- Z napisu na etykietce.

- Nie umiem czytać.

- Daj jedną do okna.

Srulik znalazł krzesło, ustawił pod oknem, wszedł na nie i uniósł nad głowę wielką butelkę.

- Doskonale! Ile takich jest?

- Widzę jeszcze dwie. Może jest więcej w magazynie, ale na drzwiach wisi kłódka.

- Poszukaj papierosów - dobiegł go szepł z góry. Rola, jaka przypadła mu w udziale, była odrobinę podobna do zajęcia, do którego przywykł, kiedy jego mama stała przy pojemniku na śmieci, a on napełniał koszyk wygrzebanymi znaleziskami, lecz tym razem były to papierosy, zapalki, kilka butelek wódki i dwie świeże, nietknięte kielbasy, które znalazł ukryte pod ladą. Wszedł na krzesło i podawał chłopcom łupy. Jankiel polecił, żeby pudełka zapalek włożył do kieszeni, i podał mu koniec sznura.

- Szybko!

- Duży chłopak wyciągnął go na górę w ostatniej chwili. Do ich uszu dobiegły odgłosy kroków wartowników. Gromadka rzuciła się do ucieczki.

Chłopcy dobrze znali okoliczne kamienice i wiedzieli, w której bramie nie stoi stróż. W tych domach mieli zwyczaj wbiegać na samą górę, by znaleźć miejsce do spania na poddaszu. Wybierali strychy, na których leżały wyrzucone szmaty albo stare postrzępione materace, i tam układali się do snu. Jeżeli strych był zamknięty na kłódkę, zadowalali się schodami.

Po ciemku dotarli na samą górę, weszli na strych, a po kilku minutach rozległ się trzask pocieranej zapalki i rozbłysnął płomyk świeczki.

- Mojszele, mam jeszcze kilka pudełek z zapalkami w kieszeniach - powiedział Srulik.

- Moje kieszenie już pękają - stwierdził Mojszele. - Trzymaj je u siebie.

Mojszele wyciągnął schowany chleb i usiedli do jedzenia. Menu było niezmiennie - kielbasa, choć tym razem z wielkimi pajdami chleba, i woda. Po jedzeniu zaczęli mościć się

do snu. Srulik przyciągnął wystrzępiony materac i położył go niedaleko posłania Jankiela. Jeden z chłopców odepchnął go i próbował odebrać materac.

- To moje, rudzielcu - powiedział.

- Nie odpychaj go - ostrzegł Jankiel z groźbą w głosie. - Teraz to należy do niego.

- Jankiel podszedł do stojącej w kącie skrzyni i wyciągnął z niej coś, co kiedyś było długim wojskowym szynalem.

- Weź - powiedział i podał go Srulikowi. - Przykryj się.

Srulik był wdzięczny Jankielowi za to, że wziął go pod swoje skrzydła.

- Gaszę świeczkę! - obwieścił Mojszele.

- Czekaj, czekaj... - rozległo się naraz kilka głosów.

- Zgaś - nakazał Jankiel.

Mojszele poślinił dwa palce i zdusił płomyk. Zapadła głęboka ciemność.

Podobnie nieprzeniknione ciemności panowały na wszystkich ulicach i w zaułkach warszawskiego getta. Lamy uliczne nie działały, a okna domów zaciemniano na rozkaz władz od czasu wybuchu wojny między Rosją a Niemcami. W zimowe dni, gdy niebo było pochmurne i ciemność zapadała przed godziną policyjną, przechodnie dosłownie wpadali na siebie na ulicach. Ktoś wynalazł broszki pokryte fosforem, wielkości bardzo dużego guzika, i każdy, kto mógł sobie na to pozwolić, kupował taką świecą broszkę i przypinał ją do kłapy. Broszki miały najczęściej formy zwierząt - psów, kotów, motyli, ptaków. Raz jednak Srulik zobaczył dwie w kształcie kominiarzy. Przez długie tygodnie z zazdrością patrzył na ludzi noszących fosforyzujące ozdoby. Ojciec nie mógł mu takiej kupić, chociaż Srulik błagał. Aż któregoś dnia znalazł w śmieciach broszkę w kształcie motyla. Przekonał się, że jeśli położy ją w świetle w ciągu dnia, w nocy świeci mocniej. Kładł motyla na parapecie, kiedy promienie słoneczne zakradały się na krótko między dachami i zaglądały do okien. W nocy broszka oddawała nagromadzone światło, roztaczając zielonkawą poświatę. W ciemności można było przy niej zobaczyć nawet koniuszki palców.

Po zgaszeniu świeczki na strychu zapadła cisza. Słysząc było głosy mieszkańców domu, cichy szmer rozmów, brzęk zmywanych talerzy i garnków, skrzypienie i trzaskanie drzwi, kroki ludzi przechodzących przez podwórko. Srulik wyjął z kieszeni fosforyzującego motyla, żeby złagodzić odrobinę ciężar ciemności, zanim nie zamknie oczu. Robił tak zawsze przed zaśnięciem, odkąd znalazł broszkę. Kiedy zamykał oczy, pod jego powiekami nie panował mrok. W jego myślach i marzeniach jaśniało światło, nagromadzone w ciągu dnia, i oświetlało wszystko, co miał wyryte w pamięci.

- Co masz w ręku? - zapytał Jankiel.

- Świecą broszkę - odparł Srulik.

- Pokaż.

Srulik po omacku odnalazł wyciągniętą w ciemności rękę Jankiela i podał mu broszkę.

- Skąd to wziąłeś?

- Znalazłem w śmieciach.

- Bardzo ładna - pochwalił Jankiel i oddał mu motyla. - Zrobiłeś dzisiaj dobrą robotę, Srulik.

- Ale co zrobisz z wódką?

- Sprzedamy. - Jankiel umilkł na chwilę, po czym zapytał: - Skąd się u nas wziąłeś?

- Grzebałem w śmieciach, a moja mama czekała na zewnątrz i nagle zniknęła.

Jankiel usiadł i zapytał ze zdumieniem: - To ty masz matkę?

- Tak - odparł Srulik, nie rozumiejąc powodów jego zdziwienia.

Inni chłopcy także usłyszeli, że mały rudzielec ma matkę. W ciemnościach przysunęli się bliżej i usiedli koło niego. Chcieli posłuchać o matce, którą wciąż ma ten mały chłopiec. Chcieli wiedzieć, jak wygląda. Co mu daje do jedzenia. Nie mogli uwierzyć, że ma też dwóch braci i dwie siostry.

- Jest ładna?

Srulik nie potrafił opowiedzieć, jak wygląda jego mama. Była czymś oczywistym. Nigdy nie zadawał sobie pytania, czy jest ładna.

- Tak - odparł.

- I nie umarła?

- Nie - zaprzeczył Srulik z przekonaniem.

- To gdzie jest?

- Pewnie w domu - odparł.

- To co ty tutaj robisz?

- Nie wiem, gdzie mieszkam.

- Znasz nazwę ulicy?

- Nie - odparł Srulik ze smutkiem.

- Jesteście z Warszawy?

- Nie, z Błonia.

Warszawskie getto było ogromne w porównaniu z gettem w ich miasteczku. Stały w nim wysokie domy i ciągnęły się niezliczone ulice. Teraz okazało się, że wszyscy jego nowi towarzysze zostali przywiezieni tu z rodzinami z podwarszawskich miasteczek i rozdzieleni z rodzicami.

- Zastanów się dobrze. Jeśli przypomnisz sobie, gdzie mieszkasz, pomożemy ci znaleźć mamę - zapewnił Jankiel.

- A gdzie jest twoja mama? - zapytał Srulik.

- Umarła. Ojciec też, zaraz po tym, jak przywieziono nas do Warszawy.

Srulik ułożył się wygodnie. Spanie w pojedynkę było dla niego czymś nowym. Serce ścisnęło mu się z tęsknoty. Teraz chętnie zgodziłby się, żeby jego brat Dawid kopał go przez sen i ściągał z niego kołdrę. Wyraźnie widział przed oczami dom, bramę, rozchwiane drewniane schody. Widział drzwi do mieszkania, które za dnia zawsze były otwarte, bo ciągle ktoś wchodził albo wychodził. Ale nie zdołał zobaczyć prowadzącej tam drogi. Oczami duszy ujrzał mamę przechodzącą przez pokój. Widział ją bardzo wyraźnie, jakby stała tuż obok. Zdumiał się, że widzi ją tak blisko, tak dokładnie, a nie może jej odnaleźć.

Nagle nastał ranek.

Za sprzedaną wódkę i papierosy starsi chłopcy kupili chleb i cukier. Srulik odkroił sobie kawałek chleba, zwilżył go wodą i zanurzył w cukrze. Co prawda, w domu mama kroїła ładniejsze, równiejsze kromki, ale smak był taki sam.

Nowi koledzy zabrali go do swojego przyjaciela, szewca Jojnego, który zapraszał członków bandy na herbatę, jeśli przynosili ze sobą cukier.

Jojne siedział na progu maleńkiej komórki, służącej za warsztat, i pracował.

- Od wczoraj jest z nami nowy - powiedział Jankiel. - To Srulik.

Jojne popatrzył na niego, a Srulik się uśmiechnął. Szewc wyciągnął stwardniałą rękę i delikatnie ujął go pod brodę.

- Bóg dał ci coś, czego nie ma wielu ludzi, chłopcze - powiedział, wpatrując się w jego twarz, a potem przyjrzał się badawczo jego butom.

- On ma mamę - poinformował Jankiel. - Ale nie wie, gdzie mieszka.

Jojne spowaźniał, posadził Srułika przed sobą i zapytał, jak wygląda jego ulica.

- Jak wszystkie - odparł Srulik.

- Pamiętasz numer?

- Tak. Numer dziesięć.

- A nazwę ulicy?

- Nie.

- Popatrz - powiedział Jojne, wskazując na tabliczkę z nazwą ulicy. - Pamiętasz, czy na twojej ulicy wisiała taka tabliczka?

- Srulik popatrzył na tabliczkę i z zalem pokręcił głową. Nie pamiętał.

- Pójdę na policję. Może ktoś szuka zagubionego dziecka - oznajmił Jojne.

- A ty - zwrócił się do Jankiela - pokręć się z nim po getcie, może przypadkiem natraficie na jego dom.

Kiedy skończyli pić herbatę, Jankiel wziął Srulika i wędrowali po rojnych ulicach, pytając od czasu do czasu:

- Może to tutaj?

- Nie - odpowiadał Srulik.

W końcu Jankiel się zmęczył i wrócili do reszty.

Srulik zaczął przywykać do nowego trybu życia, do spania na poddaszach, do wędrowek ulicami, do kradzieży ze sklepów za dnia i włamań, gdy zbliżała się godzina policyjna. W dalszym ciągu grywali w piłkę w zaułku obok pojemników na śmieci, tam gdzie Srulik zgubił mamę. Za każdym razem, gdy tam przychodzili, rozglądał się z nadzieją, że wróciła.

Jojne faktycznie wybrał się na posterunek policji żydowskiej, ale nie znalazł żadnej informacji o zaginionym chłopcu. Wisiała tam natomiast lista dzieci, które umarły na ulicy. Zapisywano je pod nazwami ulic i numerów domów, w których poblizu leżały, ponieważ nikt nie znał ich imion.

Za każdym razem, gdy zapuszczali się w nowy rejon getta, Jankiel pytał:

- Może to tutaj?

Srulik przyglądał się uważnie kamienicom, ale nie rozpoznawał niczego znajomego. Gdyby został z członkami bandy jeszcze przez jakiś czas, może w końcu znaleźliby jego dom. Ale pewnego dnia chłopcy usłyszeli krzyki na ulicy:

- Łapanka!

To było coś nowego. Jednocześnie rozległ się przenikliwy dźwięk gwizdków żydowskich policjantów.

Przerażeni ludzie uciekający przed policjantami krzyczeli, żeby ostrzec innych przechodniów. Okolica w jednej chwili opustoszała.

Jankiel poprowadził ich przez podwórka na inną ulicę.

- Chodźmy do Jojnego - zaproponował. - Może on wie, co to jest.

Szewc siedział i naprawiał but nałożony podeszwą do góry na metalowe prawidło.

- Słyszeliśmy jak krzyczano „łapanka” - poinformował go Jankiel.

Jojne pokręcił głową ze smutkiem.

- Policjanci żydowscy - oznajmił. - Wywlekają tych biedaków, którzy jeszcze nie umarli w strefie dla wysiedlonych, i razem z Niemcami pędzą ich do pociągów.

Dobrze, że moja rodzina nie mieszka w strefie dla wysiedlonych, pomyślał Srulik z

ulgą.

- Podobno zamierzają opróżnić getto ze wszystkich biedaków - ciągnął Jojne.

Ale jesteśmy biedni, pomyślał Sruлик, a serce skurczyło mu się z lęku.

- Teraz policjanci i niemieccy żołnierze zabierają zwykłych ludzi - wyjaśnił Jankiel. -

Nie tych wysiedlonych.

- To coś nowego - orzekł Jojne i odłożył młotek. - Najwidoczniej postanowili wywieźć wszystkich.

- Dokąd?

- Na przesiedlenie.

- Gdzie?

Jojne podniósł palec i wskazał na niebo. Potem wstawił stółek do niszy.

- Zamykam warsztat. Martwię się o żonę i dzieci. Wy, chłopcy, musicie wydostać się z getta.

- Dokąd mamy pójść?

- Na polską stronę.

- Ja tam raz byłem - powiedział Sruлик. - Ale nas złapali.

- Musicie uciec z getta - powtórzył Jojne. Zamknął drzwi klitki, popatrzył przez chwilę na trzymany w ręku klucz, włożył go do kieszeni i odszedł.

Chłopcy dalej siedzieli na chodniku. Zaczęli się naradzać.

- Znam bramę wyjściową, przy której stoją furmanki - stwierdził Jankiel. - Wrzucają na nie odpadki, a potem wozy odjeżdżają. Może wtedy uda nam się wymknąć na zewnątrz.

- Jankiel poprowadził ich do bramy. Szli za nim poważni i zamyśleni. Stanęli w pewnej odległości od przejścia i obserwowali, co się dzieje.

Stało tam dwóch Niemców z karabinami, dwaj polscy policjanci po polskiej stronie i dwaj policjanci żydowscy po stronie getta. Wozy zaprzężone w konie czekały niedaleko od bramy.

- Ten, któremu uda się wydostać pierwszemu - rozkazał Jankiel - niech idzie za najbliższy róg ulicy i zaczeka. Jeden może stać i żebrać. Ale jeśli będzie was więcej niż dwóch, musicie się schować i czekać na resztę.

- Jak długo?

- Stamtąd też widać strażę - powiedział Jankiel. - Jeśli przez dłuższy czas nie zobaczycie żadnego z nas, zwyczajnie idźcie dalej.

- Dokąd?

- Nie wiem.

Chłopcy się rozdzielili. Srulik zakradł się za furmanki stojące w rzędzie przed strzeżoną bramą. Nagle jeden z wozów ruszył. Srulik wskoczył na niego i zagrzebał się w odpadkach. Chłop, który usłyszał jakiś szelest, zatrzymał konia, odwrócił się i zobaczył Srulika. Popatrzyli sobie w oczy. Po sekundzie Srulik całkiem zniknął w stercie śmieci. Chłop zawahał się. Potem strzelił z bicia i zawołał:

- Wio!

- Furmanka potoczyła się po bruku, przejechała kawałek i znowu stanęła. Zamieniono kilka zdań po polsku i niemiecku, a potem woźnica ruszył powoli. Nagle z tyłu rozległy się krzyki:

- Halt!

Wóz stanął. Ktoś podbiegł, tupiąc podkutymi butami. Powiedział kilka słów. Srulik czuł, jak coś zimnego prześlizguje się obok jego prawej łydki, dziurawi spodnie i wbija się w śmieci. Przyprawiający o ciarki chrzęst rozległ się jeszcze dwukrotnie, raz przy samej jego głowie.

- Jedź! - rozkazał głos. - Nie ma nikogo.

Woźnica ponaglił konia. Turkot kół i stukot końskich kopyt po bruku przekazywały Srulikowi dobre wieści. Jednak po chwili znowu rozległy się krzyki, tym razem w oddali. Wóz zatrzymał się. Chłopiec uniósł się odrobinę i wyjrzał nad tylną krawędzią. Niemiec i polski policjant zbliżali się biegiem, wymachując rękami i krzycząc. Woźnica przeskoczył nad siedzeniem i pochylił się. Srulik się przestraszył. Chłop wyciągnął go z wozu i postawił na drodze. Srulik instynktownie chciał rzucić się do ucieczki, ale mężczyzna zauważył jego minę.

- Nie ruszaj się, chłopcze. Wydostanę cię stąd - powiedział.

Niemiec i policjant byli coraz bliżej. Srulik czekał, czując gęsią skórę na całym ciele. Mężczyzna odciął uprząż. Potem podniósł chłopca, wskoczył razem z nim na koński grzbiet i pogalopował naprzód. Za nimi rozległy się dwa wystrzały. Srulik usiłował spojrzeć do tyłu, ale jego wybawiciel przyciskał go do siebie tak mocno, że nie zdołał się odwrócić. Kiedy w końcu zerknął przez ramię, nie było już widać bramy getta, Niemca ani policjanta, ani wozu, który pozostał za nimi.

Po jakimś czasie koń przeszedł w spokojny kłus. Chłop poluzował odrobinę uścisk i Srulik odetchnął swobodniej. Po raz pierwszy w życiu siedział na końskim grzbiecie.

Wyjechali z miasta. Szybko znaleźli się wśród pól, mijali niewielkie zagajniki, czasem przejeżdżali obok samotnej chałupy. Dojechali do małej wioski z domami krytymi strzechą. Przy każdym domu stało parę dodatkowych zabudowań, ogródek warzywny i kilka drzew

owocowych. Na podwórkach Srulik widział co jakiś czas krowę albo konia, świnie i kury. Tu i ówdzie na sztachetach w płocie wisiały odwrócone do góry dnem garnki, na sznurach suszyło się pranie. Kiedy przejeżdżali przez wieś, wybiegł za nimi pies i obszczał ich.

Kobieta siedząca z małym dzieckiem na progu popatrzyła na mężczyznę, chłopca i konia. Kilkoro bosych dzieci grało w piłkę na drodze i jeździec wstrzymał konia, by wyminąć je spokojnym stępem, nie wzbijając tumanu pyłu.

Chłop się nie odzywał. Srulik także milczał. Kiedy oddalili się od wioski i na horyzoncie zamajaczyła następna wieś, mężczyzna zatrzymał konia. Wskazał ręką, a Srulik spojrział w tym kierunku. Zobaczył kilku chłopców w wypłowiałych łachmanach siedzących nad brzegiem strumyka połyskującego w słońcu. Na widok człowieka i wyciągniętej ku nim ręki dzieci zniknęły w trzcinach.

- To żydowskie dzieci - powiedział człowiek. - Idź do nich.

Zsiadł z konia, zdjął Srulika i postawił go na ziemi.

Z kieszeni wyciągnął dwie kostki cukru i kawałek chleba. Podał mu jedną kostkę i chleb. Drugą kostkę dał koniowi i poklepał go serdecznie po szyi. Potem położył lewą dłoń na głowie Srulika, prawym kciukiem nakreślił znak krzyża na jego czole i powiedział:

- Niech Matka Boska ma cię w opiece.

Wsiadł na konia i ruszył dalej. Srulik stał i patrzył za nim. Chłop nie odwrócił głowy, chociaż Srulik pod niósł rękę, żeby pomachać mu na pożegnanie. Wahał się przez chwilę, czy zjeść chleb jednocześnie z cukrem, czy też po kolei. W końcu zdecydował, że najpierw zje chleb. Nie odrywał oczu od człowieka na koniu, który oddalał się coraz bardziej, aż w końcu znikł za zakrętem. Wtedy Srulik zaczął gryźć kostkę cukru.

3. Las nas ochroni. Rozumiesz, Sruliku?

Srulik przeszedł przez pole i ruszył na poszukiwanie chłopców, którzy chowali się w trzcinach nad strumieniem. Wcześniej, z wysokości końskiego grzbietu, widział wszystko wyraźnie, teraz domyślał się tylko, w jakim kierunku powinien iść. Znalazł ich siedzących nad samą wodą i sprzeczącących się o coś. Na jego widok umilkli.

- To ten rudy, który siedział na koniu - powiedział jeden.

- To byłeś ty? - zapytał inny.

Srulik skinął głową.

- Skąd przyjechałeś?

- Z getta.

- Kiedy?

- Teraz.

- Dlaczego tamten chłop cię zabrał?

Srulik wzruszył ramionami.

- Nie wiesz? - Zaśmiał się jeden z chłopców z niedowierzaniem.

- Nie.

- A wóz? - zapytał inny. - Widziałem, jak uprzęż wlokła się za koniem po ziemi.

- Srulik opowiedział swoją przygodę. Pokazał rozcięcia w spodniach. Przy okazji odkrył także krwawiącą szramę na nodze.

- Miałeś wielkie szczęście. Niemiec dźgał wóz widłami.

- Macie coś do jedzenia? - zapytał Srulik.

Jeden z chłopców wyciągnął z kieszeni bryłkę białego sera. Srulik odłamał kawałek, zjadł i oblizał palce.

- Skąd to macie?

- Goje wieszają woreczki z serem na płocie, żeby obciekły, i wtedy łatwo go ukraść - wyjaśnił chłopiec.

Zaczęli naradzać się między sobą:

- Co z nim zrobimy?

- Wystarczy nam jeden maluch.

- Szlomo, zostawisz go na pastwę losu? - odezwał się młodszy chłopiec, który siedział i ostrzył scyzoryk o kamień.

- Nie wtrącaj się, Josele - prychnął Szlomo. - Ciesz się, że ciebie wzięliśmy.

Członkowie grupy byli starsi od Srulika, poza chłopcem z nożem.

- Niech Awrum zadecyduje - orzekł właściciel białego sera.

Wszystkie oczy wpatrzyły się w dużego chłopca.

- Weźmy go - zawyrokował Awrum.

- Jak narobi głupstw i złapią nas przez niego, to będzie twoja wina - powiedział Szlomo.

- Nikt nie będzie winny ani niewinny, jeśli nas złapią - zauważył chłopiec z serem, który miał na imię Icek. Siedział nad strumieniem, wrzucał do wody patyki i odprowadzał je wzrokiem, gdy unosiły się z nurtem. Srulik położył się na plecach i patrzył w niebo. Ciągłe miał przed oczami chłopca i konia, którzy oddalali się coraz bardziej, jego serce przepełniały ostatnie przeżycia.

Potem ktoś go obudził:

- Wstawaj, idziemy.

To był mały Josele. Miał na sobie dorosłe ubranie. Spodnie zawinął w pasie i przewiązał sznurkiem. Chodził boso. Srulik wstał i zobaczył, że wszyscy członkowie gromadki są na bosaka. On sam miał jeszcze buty, podarte buty, których szewc Jojne nie zdążył naprawić.

Chłopcy ruszyli drogą wśród pól, kierując się ku wsi, widocznej na horyzoncie. Kiedy podeszli bliżej, ukryli się na skraju pola pszenicy w odległości, z której mogli zobaczyć ludzi i zwierzęta na podwórzu najbliższego gospodarstwa. Słońce chyliło się ku zachodowi. Obok stajni stała przywiązana klacz, wokół której kręciło się malutkie źrebię. Pojawiła się dziewczynka ze stadem gęsi. Pies powitał je ujadaniem, a ptaki zwróciły ku niemu szyje i groźnie zasyczały. Młody chłopak wrócił z kilkoma krowami i zapędził je do obory. Potem zagonił świnie do chlewu. Z domu wyszła kobieta, która zawołała:

- Jacek, zamknij świnie!

Srulik przypomniał sobie, że Jacek to zwyczajne polskie imię, które miało być napisane na kartce od rodziców do jego braci i sióstr.

Kobieta zakasała rękawy i poszła do obory. W jednej ręce niosła wiadro, w drugiej mały stołeczek. Awrum zlustrował wzrokiem podwórko.

- Przygotowali kosze z warzywami, żeby zabrać je jutro na targ - szepnął.

Wtedy wydarzyło się coś niespodziewanego. Pojawił się mężczyzna, który osiodłał klacz, zapiął popręg, wsiadł na nią i wyruszył w drogę. Żrebak pobiegł za nimi. Także pies zerwał się, by odprowadzić pana. Chłopcy z rosnącym napięciem śledzili wzrokiem całą trójkę, a gdy człowiek i koń zniknęli, Awrum zawołał:

- Teraz!

Wyskoczyli z ukrycia i wpadli na podwórko. Pod ścianą chałupy stały wielkie kosze oraz mały koszyczek z jajkami. Awrum złapał koszyczek, inni zaś chwyтали ogórki, pomidory, marchew i rzodkiew, a potem wpychali je do kieszeni i woreczków. Gęsi gęgały. Z pełnymi kieszeniami chłopcy rzucili się do ucieczki. Nagle z chlewu wyrżał młody chłopak. Kiedy zobaczył, co się dzieje, pobiegł za nimi z okrzykiem:

- To żydki! Złodzieje! Mamo!

Matka wyszła z obory.

- Ukradli koszyk z jajkami! - krzyknął chłopak.

Wszyscy pędzili co sił w nogach, na czele Awrum i Szlomo. Syn gospodarzy dogonił i złapał jednego chłopca, który biegł wolniej i został w tyle. Przewrócił go na ziemię i przytrzymał. Złapany chłopiec krzyczał i płakał. Kobieta pobiegła za innymi, ale odległość między nimi zwiększała się coraz bardziej, aż w końcu wieśniaczka się zmęczyła.

Na twarzach chłopców pojawiły się uśmiechy. Dotykali rękami warzyw i przełykali ślinę na widok jajek niesionych przez Awruma. Nikt nie wspomniał słowem o schwytanym towarzyszu.

- Jak kradliśmy w mieście, zawsze czekaliśmy do zmroku - zauważył Srułik.

- Na wsi nie da się kraść po ciemku - wyjaśnił Icek. - Jak wtedy zobaczysz, co wyciągasz z ziemi albo zrywasz z drzewa?

- A jeśli potrzebujesz spodni albo koszuli, musisz wiedzieć, co ściągasz ze sznura - dodał Josele.

Teraz Srułik zrozumiał, skąd Josele wziął ubranie.

- To nie miasto - oznajmił Szlomo. - Wszystko tu jest inne i musisz nauczyć się, jak się zachowywać, żebyś nie narobił głupstw.

- Co mam robić, żeby nie narobić głupstw? - zapytał Srułik.

- Wiesz na przykład, że jeśli spotkasz Polaków, nie wolno ci się odzywać? Wiesz, że nie możesz kąpać się z ich dziećmi w rzece, bo nie wolno ci zdjąć spodni?

Srułik nie wiedział. Nie miał też pojęcia dlaczego, ale nie chciał pytać Szloma.

Po drodze minęli gospodarstwo ukryte za lasiem. Chałupę otaczały drzewa owocowe.

- To prawdziwe gruszki - powiedział Icek. - Nie te twarde i kwaśne ulęgalki, które rosną przy drodze.

Ostrożnie podeszli bliżej. Nie usłyszeli szczekania.

- Chyba nie mają psa.

- Niech Sruлик pójdzie narwać - wymyślił Szlomo.
- Dlaczego akurat on? - zapytał Awrum.
- A co? On też musi coś dla nas zrobić.
- Umiesz wspinać się na drzewa? - zwrócił się do Sruлика Awrum.
- Jasne.

Icek podał mu nieduży worek. Chłopcy usiedli i czujnie obserwowali jego ruchy. W Błoniu Sruлик często wspinał się na drzewa. Wszedł na płot, stamtąd na drzewo i zaczął zrywać owoce. Wtedy okazało się, że za domem spał pies, który obudził się i zaczął szczekać. Z domu wyszedł starszy wieśniak, który zobaczył Sruлика na drzewie. Chłopiec skoczył, przesadził płot i pobiegł. Gospodarz spuścił psa i razem z nim pobiegł za chłopcem.

- Złodziej! - krzyczał chłop. - Złodziej!

- Chłopcy rzucili się do ucieczki, jeszcze zanim Sruлик się z nimi zrównał. Z całych sił pędził ich śladem. Chłop pozostał w tyle, ale pies go doganiał. Sruлик za trzymał się, wyciągnął z woreczka gruszkę i z rozmachem cisnął w psa. Trafił. Pies zaskowyczał i zatrzymał się. Stał w miejscu i ujadł. Sruлик nie miał pojęcia, co robić. Wiedział, że jeśli pobiegnie dalej, pies ruszy za nim i w końcu go pochwyli. Ale jeśli będzie dalej tak stał, dogoni go gospodarz. Awrum spostrzegł, co się dzieje, i chciał zawrócić, żeby mu pomóc. Szlomo powstrzymał go.

- Nie. Złapie was obu!

- Zostaw - rozkazał Awrum z groźbą w głosie i wyrwał rękę.

Wrócił biegiem i zamierzył się na psa. Ten usiłował ugryźć, ale Awrum, doświadczony w potyczkach z wiejskimi kundlami, walnął go z całej siły w nos. Zwierzę podwinęło ogon i uciekło ze skomleniem, zanim gospodarz zdążył do nich dobiec.

Sruлик nie przestawał myśleć o złapanym chłopcu.

Doszli do szerokiej łąki i dalej wędrowali po trawie. Tu i tam pały się krowy i konie. Trójka wiejskich dzieci siedziała przy ognisku. Awrum zatrzymał się.

- Josele, weź Sruлика i podejdźcie do nich. Może sprzedadzą wam zapałki - powiedział i podał Josele dwie małe monety.

Sruлик poszedł razem z Josele.

- Macie zapałki?

Jeden z chłopców pokręcił przecząco głową.

- Zapłacimy - przekonywał Josele.

- No dobra, mamy.

Josele przyjrzał się pudełku zapałek, które podał mu chłopiec. Nie było pełne. Dopiero

gdy chłopiec dosypał zapalek z innego pudełka, Josele dał mu pieniądze. Przy ognisku leżały kolorowe butelki, niektóre potłuczone na małe kawałki, inne rozbite na dwie równe części.

- Robicie kubki? - zapytał Srulik.

- Co cię to obchodzi?

Josele pochylił się nad odłamkami i wybrał dwa.

- Za to też musisz zapłacić.

- Nie - odparł Josele.

Dzieci milczały. Co jakiś czas podejrzliwie spoglądały na starszych chłopców, którzy czekali na skraju drogi.

- Chodź - powiedział Josele.

Podał zapalki Awrumowi i cała grupa poszła dalej. Josele i Srulik szli na samym końcu.

- Dlaczego Awrum posłał akurat nas? - zapytał Srulik.

- Jesteśmy mali, więc goje nie boją się nas i nie uciekają.

- Po co wzięłeś te skorupy?

- Dla ciebie - Josele podał mu kawałki szkła. Srulik nie zrozumiał.

- Zamiast noża.

- Wszyscy macie noże?

- Nie, tylko ja.

- Skąd go wzięłeś?

- Znalazłem w lesie.

Srulik ostrożnie obejrzał odłamki.

- Musisz je czymś owinąć, inaczej przetną ci kieszeń.

- Nic nie mam - zmartwił się Srulik.

- Oderwij kawałek koszuli.

Za pomocą jednego ze szkiełek Srulik odciął kawałek materiału z poły koszuli. Czarna kreska zgęstniała tymczasem w prawdziwy las. Słońce zaszło, więc by wykorzystać szare przedwieczne światło, zatrzymali się, zanim doszli do pierwszych drzew. Usiedli do kolacji. Srulik nigdy wcześniej nie jadł surowych jajek i Josele pokazał mu, w jaki sposób przedziurawić patyczkiem skorupkę z obu końców i wyssać zawartość przez większą dziurkę.

- Dlaczego nie zrobisz tego nożem? - spytał Srulik.

- Ma ułamany czubek, popatrz - powiedział Josele i otworzył nóż.

Nadal nikt nie wspomniał o schwytanym chłopcu. Srulik nie potrafił się opanować.

- Co będzie z tamtym, którego złapali? - zapytał.

- Zbiją go - odparł Icek. - Potem oddadzą Niemcom i dostaną za niego pieniądze albo wódkę.

- I już nie wróci?

- Żaden z tych, których złapali, nie wrócił.

- Nie gadaj tyle - uciszył go Szlomo.

Reszta posiłku upłynęła w milczeniu. Skończywszy, chłopcy włożyli niezjedzone warzywa z powrotem do woreczków i kieszeni i ruszyli dalej. Tymczasem ściemniło się na dobre. To była inna ciemność niż w getcie. Wokół szeroko, jak na dłoni, ciągnął się płaski krajobraz, a nad nim rozpościerało się bezkresne niebo, usiane gwiazdami. Kiedy dotarli do lasu, nad drzewami wschodził wielki czerwony księżyc. Srulik pamiętał taki księżyc z okresu, gdy mieszkali w miasteczku, ale nigdy nie widział go nad warszawskim gettem. Las był tuż przed nimi.

- Po co idziemy do lasu? - zapytał.

- Spać.

Srulik poczuł strach. Znał las za dnia, z czasów, gdy chodził ze starszym bratem na grzyby i jagody. Nocą wydawał mu się przerażający. Chłopcy tymczasem weszli między drzewa i zniknęli w mroku.

- Weźcie się za ręce - polecił Awrum.

Srulik podał ręce Josele i Ickowi. Kiedy się zatrzymali, każdy położył się na ziemi tam, gdzie stał. Przez pewien czas słychać było ciche rozmowy. Srulik leżał z zamkniętymi oczami, ale po chwili otworzył je szeroko, bo miał wrażenie, że las coś do niego mówi. Nasłuchiwał. Czy wielki las obok Błonia to ten sam, w którym znajdują się teraz? Rzeczywiście tak było, ale Srulik nie mógł tego wiedzieć. Gwiazdy i księżyc zniknęły gdzieś za koronami drzew i tylko gdzieś w otaczającej ich ciemności błyskał skrawek roziskrzonego nieba, czasem wyjątkowo jasna gwiazda lub dwie. Na tle takich skrawków nocnego nieba odznaczały się kontury gałęzi sterczących wysoko nad nimi. Gdzieś w pobliżu odezwał się dziwny głos, coś jak westchnienie albo sapanie.

- Co to? - zapytał szeptem.

Josele, leżący obok, odszepnął w odpowiedzi:

- Nocny ptak.

- Nie boisz się ciemności?

- Nie rozumiesz? - zapytał Josele. - Gdyby nie ten las, chłopci dawno by nas złapali. Gdyby nie ciemność, znaleźliby nas i wydali Niemcom, tak jak wydadzą Lejbele. Las nas chroni i dlatego go kocham i kocham ciemność. On nas ratuje. Teraz rozumiesz?

- Tak.

- Boisz się jeszcze?

- Tak - przyznał Srulik.

- Przyzwyczajasz się. Na początku też się bałem.

- Jak spotkałeś tamtych?

- Usłyszałem ich rozmowę. Mówili po polsku jak dzieci żydowskie i dlatego podszedłem. Mnie też Szlomo nie chciał na początku przyjąć.

Teraz Srulik zrozumiał, dlaczego Szlomo powiedział, że ma się nie odzywać, gdy spotka Polaków.

- Ja też mówię po polsku jak Żyd?

- Ty nie. Ani Awrum. Ale niektórzy lepiej mówią w jidysz. Jak Szlomo.

- Dlaczego nie wolno kąpać się z Polakami w rzece i zdejmować spodni?

- Przez obrzezanie.

- Polacy tak nie mają?

- Nie - roześmiał się Josele. - Tylko Żydzi.

Josele był z Warszawy. Opowiedział Srulikowi, że jego matka w getcie szyla płócienne opaski z niebieską gwiazdą Dawida, które wszyscy Żydzi nosili na ramieniu, i sprzedawała je na ulicy. Josele przemycał chleb i ziemniaki z polskiej strony. To było trudne. I bardzo niebezpieczne. Dwa razy go złapali, zbili i zabrali wszystko. Mimo to wychodził znowu. Ale kiedy matka zachorowała na tyfus i zabrali ją do szpitala, wyszeptala: Josele, uciekaj na polską stronę i nie wracaj.

- Cały czas jesteś w lesie?

- Nie. Na początku kręciłem się przy wsiach, ale w końcu prawie mnie złapali.

- W lesie nas nie złapią?

- Głęboko w lesie nie ma ludzi. Może tylko partyzanci.

- Kto to?

- Polacy, którzy walczą z Niemcami. Ale oni nas nie potrzebują. I trzeba uważać na leśniczego. On wydaje żydowskie dzieci Niemcom.

- Wszyscy Polacy są źli?

- Nie - odparł Josele z namysłem. - Jeden raz zapukałem do drzwi, a gospodarze o nic nie pytali, tylko dali mi jeść.

- Teraz jesteśmy głęboko w lesie?

- Jeszcze nie. Po ciemku tutaj też jest bezpiecznie, ale jutro pójdziemy dalej.

Josele obudził go rano i Srulik zdumiał się, nie widząc wokół ścian, a nad sobą sufitu.

Tylko korony drzew i pnie. Natychmiast przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Był głodny i spragniony.

- Chodź - powiedział Josele. - Wracamy na nasze stałe miejsce.

Awrum poprowadził ich do niewielkiego strumyka płynącego wśród drzew. Chłopcy gasili pragnienie, jedni czerpiąc wodę dłońmi, inni kładąc się na brzuchu. Srulik położył się i zanurzył twarz w wodzie. Nurt przyjemnie obmywał mu twarz. Otworzył usta i napił się prosto ze strumyka.

Wyjęli wczorajsze warzywa, a Awrum postawił pośrodku koszyk z jajkami. Po skończonym posiłku schowali resztki w dziupli i poszli narwać leśnych owoców - poziomek, malin, jeżyn i jagód. Zrywali też czarne i białe owoce morwy i zielone orzechy, których łupiny jeszcze nie stwardniały.

Srulik znalazł grzyby. Takie same jak te, które zbierał ze starszym bratem, zanim w Błoniu powstało getto. Jego nowi towarzysze bali się ich dotknąć.

- Otrujesz się - ostrzegwał Awrum.

Ale Srulik nie umarł i koledzy szybko przekonali się do grzybów. Pod wieczór Awrum poprowadził ich z powrotem do stałego miejsca. Napił się wody ze strumyka i zjedli resztkę warzyw i jajek, które ukryli rankiem w pniu drzewa.

- Jak Awrum odnajduje drogę w lesie? - zapytał Srulik.

- Trochę po mchu, a trochę... - Icek zamyślił się. - Sam nie wiem jak.

- Co to takiego?

Icek pokazał mu mech porastający pnie drzew.

- Widzisz? Zawsze rośnie tylko z jednej strony. Jeśli patrzysz na pnie drzew, kiedy idziesz w jednym kierunku, wiesz, jak wrócić.

Srulik nie rozumiał. - Skąd to wiadomo?

- Trzeba iść w przeciwnym kierunku niż wcześniej. Także tym razem Srulik nie zrozumiał, ale nie pytał więcej. Postanowił, że zastanowi się nad tym sam.

- Masz jeszcze biały ser?

- Nie - zaśmiał się Icek. - Skończył się dawno temu. Ale jak nadarzy się okazja, to znowu go ukradniemy.

Także drugiej nocy Srulik spał obok Josele i obaj chłopcy rozmawiali po cichu przed zaśnięciem.

- Wiesz, drzewa mają dusze - szepnął Josele.

- Kto tak powiedział?

- Lejbele. Mówił, że dusze drzew wychodzą w nocy.

- Był twoim przyjacielem?

- Tak.

- Dusze drzew są dobre czy złe?

- Chyba dobre. Przecież drzewa nie robią nam nic złego. Srulik zamyślił się na chwilę.

- Myślisz, że drzewo cierpi, kiedy odłamuje się gałąź? - zapytał.

- Może czuje podobnie jak my, kiedy obcinamy paznokcie - odparł Josele.

- Mama wrzucała moje paznokcie do pieca - przypomniał sobie Srulik. - Ale najpierw mieszała je z piórami.

- Moja też - powiedział Josele. - Tylko bez piór. Wiesz, dlaczego trzeba palić obcięte paznokcie?

- Nie.

- Żeby dusza zmarłego nie szukała ich potem w sądny dzień.

- Co to sądny dzień?

- Koniec świata. Kiedy martwi zmartwychwstaną.

- Wszyscy martwi zmartwychwstaną?

- Mój dziadek mówił, że tak. Wtedy spotkam znowu mamę i będzie zdrowa.

- Nie wiem, co się stało z moją mamą - westchnął Srulik.

- A twój tata?

Srulik opowiedział Josele o ucieczce z getta i o Niemcach na motocyklu.

- Ja nie pamiętam ojca - powiedział Josele. - Umarł, kiedy byłem mały. Mieszkaliśmy u dziadka. Mój dziadek sprzedawał książki.

- Umiesz czytać?

- Tak. A ty?

- Nie - odparł Srulik.

Srulik chodził do chederu, kiedy był całkiem mały, ale tam uczono tylko hebrajskich liter. Nie potrafił czytać po polsku.

- Co robił twój tata? - zapytał Josele.

- Był piekarzem. Chodziłem z nim czasem do piekarni i mogłem spać na piecu. A rano mnie budził i dawał mi pierwszą bułeczkę.

Na to wspomnienie Srulikowi ślina napłynęła do ust.

- Miałeś rodzeństwo? - zapytał.

- Nie.

- Ja mam dwóch braci i dwie siostry.

- Gdzie oni są?

- Nie wiem. Może już nie żyją. Zginęli w łapance.
- Co to jest łapanka? - zapytał Josele.
- Kiedy policjanci żydowscy i Niemcy zabierają ludzi do pociągów i wywożą na przesiedlenie.
- Gdzie?
- Do nieba - wyjaśnił Srulik.
- Kto tak powiedział?
- Szewc Jojne.

Josele milczał chwilę, a potem się odezwał: Dobrze, że moja mama już nie żyje.

4. Pieczone ptaki. Szopa z butelkami.

Następnego dnia Awrum i Icek wzięli proce i poszli polować na ptaki. W południe wrócili obładowani zdobyczami. Ustrzelone ptaki ze skrupowanymi łapami nieśli zawieszane na ramionach. Największy był wielkości kury. Awrum powiedział, że to kuropatwa. Srulik sądził, że od razu rozpalą ognisko i będzie mógł zjeść mięso, ale ku swemu wielkiemu rozczarowaniu dowiedział się, że musi poczekać do wieczora.

- Dlaczego?

- Z powodu dymu.

Po zachodzie słońca chłopcy otoczyli miejsce przeznaczone na ognisko płotem z gałęzi, żeby nie było widać z daleka płomieni. Szlomo i Awrum rozkroili ptaki składanym nożem Josele i ostrym odłamkiem szkła. Odcięli im głowy i wypatroszyli. Inni chłopcy przynieśli znad brzegu strumyka błoto i oblepili nim każdego ptaka z osobna. Kiedy ognisko wypełniło się rozżarzonymi węglami, włożyli do środka mięso i usiedli dookoła w oczekiwaniu.

- Oddaj mi nóż - powiedział Josele do Szlomo.

- Teraz jest mój - odparł Szlomo i wsadził scyzoryk do kieszeni.

- Oddaj mu - wtrącił się Srulik.

Szlomo odepchnął go mocno. Wszyscy chłopcy zerwali się z ziemi. Dopiero po interwencji Awruma Szlomo niechętnie oddał nóż.

Z początku wyciągali z ogniska mniejsze bryłki, a większe zostawiali jeszcze na jakiś czas. W ognisku błoto stwardniało i zamieniło się w twardą skorupę. Toczyli ptaki po ziemi, by je ochłodzić, rozbili skorupki kamieniami i zaczęło się żmudne obieranie. Razem z gliną z upieczonych ptaków odeszły też pióra i dało się nareszcie dostać do mięsa. W nocy Srulik i Josele znowu położyli się spać obok siebie, jakby było to coś oczywistego.

Srulik wciąż złościł się na Szlomo za to, że go popchnął.

- On tu rządził, zanim pojawił się Awrum - powiedział Josele.

- Awrum jest silniejszy?

- Chyba nie, ale tylko on nie gubi się w lesie.

- To było pyszne. - Srulik oblizwał wargi. - Kiedy Awrum znowu coś upoluje?

- Nieprędko.

- Dlaczego?

- Boi się, że ognisko nas zdradzi.

- Szkoda - westchnął rozczarowany Sruлик.

- Wiesz, na początku, kiedy byłem sam, z głodu jadłem dosłownie wszystko. Nawet ślimaki. Są obrzydliwe w dotyku, więc ich nie gryzłem, tylko szybko połykałem.

- Ja bym nie potrafił - stwierdził Sruлик z odrazą.

- Jak jesteś głodny, zjesz wszystko. Raz znalazłem zająca, który złapał się w sidła. Nie miałem wtedy jeszcze noża i musiałem ciąć odłamkiem szkła. Zapalek też nie miałem, więc tylko pokroiłem go i zjadłem mięso na surowo.

- Nie umarłeś?

- Przecież widzisz, że nie.

Rano Sruлик obudził się przerażony. To nie był sen. Odgłosy strzałów były prawdziwe. Zbliżały się coraz bardziej, a echo dudniło ze wszystkich stron naraz. Słysząc było krzyki ludzi i rozkazy wydawane p o niemiecku.

Sruлик zerwał się i popędził co sił przed siebie, jak najdalej. Biegł i biegł, w końcu raptownie się zatrzymał. Wokół stały milczące drzewa.

Usiłował przypomnieć sobie wyjaśnienia na temat mchu rosnącego tylko z jednej strony pnia, ale nie miał pojęcia, jak to może pomóc mu wrócić po własnych śladach albo znaleźć chłopców. Co się stanie, jeśli ich zawoła?

- Josele! Awrum!

Przestraszył się własnego krzyku odbijającego się echem w milczącym lesie. Ktoś nadchodził. Sruлик schował się i ujrzał Szlomo. Ucieszył się na jego widok.

- Nie drzyj się, bo nas złapią - ostrzegł starszy chłopak. - Wiedziałem, że nie można na tobie polegać.

- Gdzie inni? - zapytał przestraszony Sruлик.

- Zamiast się schować, zaczęli uciekać jak głupi.

- Ty też uciekałeś jak głupi - zauważył Sruлик.

- Teraz, kiedy jesteśmy sami, lepiej na mnie uważaj - powiedział Szlomo groźnie.

Sruлик nie odpowiedział.

- Dokąd idziemy?

- Chcę odszukać miejsce, w którym byliśmy, tamto nad wodą - oznajmił Szlomo.

- Umiesz je znaleźć?

- Zamkniesz się wreszcie?

Nagle Szlomo przystanął. Na ziemi między drzewami ktoś leżał. Dorosły człowiek. Spłoszeni, już mieli rzucić się do ucieczki, ale człowiek się nie poruszył. Jego głowę otaczała kałuża zakrzepłej krwi.

- On nie żyje - wyszeptał Srulik.

Obok wyciągniętej ręki leżał jakiś przedmiot. Srulik podszedł bliżej, żeby zobaczyć, co to takiego. To były okulary. Szlomo przyklęknął przy leżącym.

- Chodźmy stąd - poprosił Srulik.

- Idź sobie, jak chcesz - odparł Szlomo.

Srulik odszedł kawałek dalej. Usiadł na ziemi i ze wstrętem przyglądał się temu, co robił Szlomo. Chłopak przetrząsał kieszenie zabitego, wyciągał jakieś papiery i przedmioty. Potem odwrócił ciało na plecy i włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Na koniec wstał i rozejrzał się.

- Srulik?

On mnie nie widzi, zrozumiał Srulik, więc nie odpowiedział ani nie ruszył się z miejsca. Szlomo znowu go zawołał. Kiedy i tym razem nie usłyszał odpowiedzi, zaczął przeszukiwać okoliczne zarośla, ale szukał ze złej strony. Srulik wstał, żeby pobiec za nim, już otworzył usta, żeby go zawołać, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Wolał zostać sam i nie zadawać się ze starszym chłopakiem.

Wieczorem niebo zachmurzyło się i las spowija głęboka ciemność.

Srulik postanowił spać na drzewie. Wdrapał się na dąb, wybrał wygodne miejsce między wielkimi gałęziami gęsto odchodzącymi od pnia, ale nie udało mu się zapaść w sen. Czy spotka jeszcze chłopców? Jeśli nie, co pocznie sam w lesie? Wyjął swojego motyla, ale broszka prawie całkiem wygasła, zbyt długo trzymał ją w kieszeni.

Rano postanowił, że pójdzie poszukać ludzi. Takich, co nie zadają pytań, tylko dają coś do jedzenia. Szedł długo. Był spragniony i kiedy napotkał kałużę, pochylił się, by ugasić pragnienie deszczówką. W wodzie zauważył mnóstwo malutkich żyjątek. Zamknął oczy i napił się.

Nagle zorientował się, że znalazł się w znajomym miejscu. Przyglądał się przez chwilę drzewom i zobaczył wielką dziuplę. Uradował się jak ktoś, kto wrócił do domu. Pobiegł do strumyka napić się wody. Potem rozgrzebał popiół w ognisku i znalazł jednego upieczonego ptaszka, który wcześniej umknął ich uwadze. W dziupli zaś znalazł trochę warzyw i kilka jajek. Postanowił zostać w tym miejscu i czekać.

Następną noc także spędził na drzewie. Rano ostrożnie odszedł kawałek od strumienia, obserwując mech porastający pnie. Po chwili przystanął, odwrócił się i zawrócił po własnych śladach. Teraz zrozumiał, w jaki sposób mech może być pomocny. Odszedł znowu od strumyka. Co jakiś czas odwracał się i uważnie przyglądał otoczeniu. Przystawał i zrywał trochę jagód i poziomek. Na jednym z krzaków zobaczył pełznącego ślimaka z

wystawionymi różkami. Nie, pomyślał, nigdy nie zje ślimaka. Potem natrafił na krzaki malin. Także tym razem udało mu się znaleźć powrotną drogę i żałował, że nie ma z nim Josele i nie może mu o tym opowiedzieć.

Trzeciego dnia Srulik zsunął się z drzewa o wschodzie słońca. Wiedział już, że zgubił chłopców. Napił się wody, zjadł dwa ostatnie jajka ukryte w dziupli i ruszył przed siebie. Szedł długo. Desperacko, lecz na próżno szukał wzrokiem blasku, który prześwituje między drzewami, kiedy skraj lasu jest blisko. Na koniec usiadł z uczuciem bezsilności, wyczerpany. Nagle usłyszał szelest. Ukrył się w zaroślach i ze swojej kryjówki dojrzał człowieka w czapce i w zielonej kurtce, który szedł ze strzelbą na ramieniu. To na pewno leśniczy, który wydaje żydowskie dzieci Niemcom, pomyślał. Może idzie do domu. Gdzie mieszkają leśniczowie? W lesie czy we wsi? Srulik postanowił pójść za nim. Leśniczy mimowolnie doprowadził go do wąskiej, schowanej w zaroślach ścieżki i po dłuższej wędrówce jego śladem Srulik ujrzał nareszcie światło przebijające między drzewami. Poczekał, aż leśniczy zniknie, i wyszedł na jasny dzień.

Ścieżka poszerzyła się, wijąc się wśród pól, i doprowadziła go do wioski. Srulik podszedł do pierwszej chałupy i zapukał. Drzwi otworzyła kobieta. Popatrzył na nią bez słowa. Ona także przyglądała mu się w milczeniu.

- Wejdz - powiedziała w końcu.

Gospodyni rzeczywiście nie zadawała żadnych pytań. Jakby dokładnie wiedziała, kto przed nią stoi. Posadziła go za stołem i dała mu wielką pajdę chleba i kubek mleka. Srulik jadł łączywie. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz miał w ustach chleb albo mleko. W kącie izby mały chłopczyk bawił się dwoma kawałkami drewna. Kobieta usiadła przy nim. Zwracała się do niego „Jurek” i karmiła go łyżeczką.

- Kto przyszedł? - rozległ się męski głos.

- Jakiś chłopiec - odpowiedziała kobieta.

Jej mąż wszedł do izby i przyjrzał mu się w zamyśleniu.

- Chciałbyś zostać u nas i pomagać mi w gospodarstwie? - zapytał po dłuższym milczeniu.

- Tak - odparł Srulik.

- Skończ jeść, to dam ci robotę.

Srulik posłusznie czekał przy stole. Chłop wrócił do izby, tym razem w kurtce i w butach z cholewami. Wyprowadził Srulika na zewnątrz, otworzył drzwi szopy pełnej butelek w rozmaitych kolorach i rozmiarach, a potem wszedł z nim do środka.

- Poustawiaj butelki na półkach - powiedział. - Ustaw je porządnie, według wielkości i

koloru.

Srulik skinął głową.

Chłop wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Zamykam, żeby nikt nie przeszkadzał ci w pracy - wyjaśnił z zewnątrz.

Srulik wziął się do pracy i wtedy usłyszał skrzypnięcie, jakby dźwięk zamykanego skobla. Przeraził się, podszedł do drzwi i wyjrzał przez szparę w deskach. Najpierw nic nie zobaczył. Po chwili pojawił się chłop. Prowadził motocykl. Wsiadł, zapalił silnik i odjechał. Srulik usiłował otworzyć drzwi, były jednak dobrze zamknięte. Próbował siłą, ale nie ustępowały. Wtedy wpadł w panikę i zaczął się rzucać jak zwierzątko schwymane w pułapkę, wrzeszczał i rozbijał butelki wokół siebie.

- Poczekaj, otworzę ci! - Z podwórka dobiegł go głos gospodyni.

Srulik uspokoił się, słysząc dźwięk uderzeń. Kobieta rozbiła kłódkę siekierą i otworzyła mu drzwi.

Biegnij, chłopcze - powiedziała. - Biegnij.

5. Sam w lesie. Siostra leśniczego.

Srulik wrócił do lasu i wydawało mu się, że las także cieszy się z jego powrotu. Był to ten sam las, z którego wyszedł rankiem, ale teraz wydawał się całkiem inny. To był las jego i Josele, las, który daje schronienie i bezpieczeństwo. Po raz pierwszy, odkąd przyłączył się do chłopców, poczuł do niego sympatię. Szedł przed siebie przez dłuższy czas, aż dotarł do mrocznej gęstwiny.

Przez następne tygodnie sypiał na drzewach i nabrał takiej wprawy, że wspinał się po nich zwinnie jak małpka. Wdrapywał się i ześlizgiwał po pniach, przeskakiwał z drzewa na drzewo, trzymając się gałęzi. Jego podarte buty dawno się rozpadły. Skóra na stopach stwardniała tak bardzo, że mógł biegać bosy wszędzie, w ogóle nie czując, po czym stąpa. Nauczył się skradać cicho jak leśne zwierzęta, które obserwował. Nauczył się też opatrywać piękące skaleczenia na nogach i rękach, których miał pełno, bo ustawicznie przedzierał się przez kolczaste krzaki. Przekłuwał ropień sosnową igłą, wyciskał, a potem siusiał na ranę.

W ciągu dnia nie wracał myślami do swoich towarzyszy, nie czuł też samotności. Był zbyt zajęty zdobywaniem jedzenia i wody, a także obserwowaniem tego, co działo się wokół. Fascynowały go zwierzęta i ptaki, ich sposób poruszania się i wydawane odgłosy. Tylko nocami, kiedy wspinał się na drzewo, aby się ułożyć do snu, do głowy napływały myśli. Często rozmyślał o Josele i Jankielu. O mamie. Nawet o szewcu Jojnem. Czasami budził się przestraszony krzykiem jakiegoś nocnego zwierzęcia albo ptaka.

Nie liczył dni, żył z chwili na chwilę, z godziny na godzinę. Od rana do wieczora. Zlizywał rosę o świcie, pił wodę deszczową z kałuż i zrywał leśne owoce. Podczas swych wędrówek pewnego dnia dotarł do strumyka, podobnego do tego, który znał, i od tego momentu starał się wracać do niego co wieczór. Znajdował właściwy kierunek, obserwując mech porastający pnie drzew.

Ponieważ nie miał procy, pewnego dnia postanowił spróbować szczęścia w rzucaniu kamieniami. Z dna potoku wydobył kilka otoczków, przyszykował gruby kij, znalazł w lesie niedużą polankę, usiadł na ziemi i oparł się plecami o drzewo. Siedział bez ruchu i czekał. Po pewnym czasie zaczęły pojawiać się rozmaite stworzenia, które przechodziły obok niego i po chwili znów zniknęły w zaroślach. Nie wierzył, że uda mu się cokolwiek upolować, ale bawił go sam widok leśnych mieszkańców. Czasem jakieś małe zwierzątko, może mysz albo coś innego, przystawało na chwilę, przyglądało mu się lękliwie, usiłując węszyć z daleka, i natychmiast zniknęło. Później pojawiła się sarna z koziołkiem. Przystanęła, przyglądając mu

się uważnie, jakby nie potrafiła odgadnąć, co z niego za stworzenie, ponieważ siedział całkiem nieruchomo. Nagle zwierzęta skoczyły i zniknęły w mgnieniu oka. Srulik siedział dalej na polanie. Głośny trzask, pochodzący od jakichś większych istot torujących sobie drogę przez chaszczę, zapowiedział przybycie dzików, które przeszły w pobliżu z młodymi. Były bardzo podobne do zwykłych świń, ale porośnięte długą szczecina, a sterczące kły nadawały samcom groźny wygląd. Srulik nie czekał, by przekonać się, czy go zauważą, i prędko wdrapał się na drzewo.

Kiedy wrócił na swoje miejsce na dole, zjawił się jeź. Srulik rzucił się na niego z kijem. Jeź zwinął się w kulkę, strosząc igły, ale chłopiec nie zrezygnował. Położył kij w poprzek ciała jeża, stanął na jego końcach i z całej siły przydusił zwierzę do ziemi, po czym poczekał, aż przestanie się ruszać. Odwrócił martwego jeża i rozciął mu brzuch odłamkiem szkła. Myślał przy tym o wielkiej mądrości Joselego. Wieczorem rozpałił ognisko, nabił zdobycz na patyk i przypiekl nad ogniem. Kiedy spaliły się kolce, łatwiej było wykrawać ze środka kawałki mięsa.

Minęło kilka głodnych dni, zanim znowu coś upolował. Raz udało mu się zabić kamieniem wiewiórkę. Kiedy odciął jej głowę i zdjął skórę, nie mógł się opanować - wypatroszył zdobycz, umył mięso w potoku i zabrał się od razu do jedzenia. Teraz nie był już pewien, czy jeśli będzie bardzo głodny, nie zje ślimaka, jak Josele.

- Co tu robisz, chłopcze?

Srulik wzdrygnął się. Od bardzo dawna nie słyszał ludzkiego głosu. To był leśniczy. Srulik znał go z widzenia, ale leśniczy widział go po raz pierwszy.

- Zrywam maliny - odpowiedział.

- Widzę.

Mężczyzna przyglądał mu się uważnie. Bose nogi jak u wszystkich chłopskich dzieci. Ubrany nędznie jak bezdomny sierota.

- Gdzie twoi rodzice?

- Nie mam rodziców.

- Z której wsi jesteś?

Srulik wzruszył ramionami.

- Jesteś Żydem?

- Nie.

- Jak ci na imię?

- Jurek - odparł Srulik bez wahania.

- A nazwisko?

- Nie wiem.

Mężczyzna zamyślił się, wyraźnie zastanawiając się nad czymś, i w końcu powiedział:

- Moja siostra szuka chłopca do pasania krów i owiec.

Srulik nie wiedział, co odpowiedzieć. Dobrze pamiętał chwilę, gdy zamknęły się za nim drzwi w szopie z butelkami. Z drugiej strony tęsknił do ludzi. Uśmiech mężczyzny budził zaufanie, jednak Srulik wciąż się wahał. Może mimo wszystko leśniczy nie wydaje żydowskich dzieci Niemcom?

- Posłuchaj, chłopcze. Z nadejściem jesieni umrzesz tu z zimna i głodu. Dom mojej siostry stoi trochę dalej od wsi, tam będziesz bezpieczny.

Srulik chciał odpowiedzieć, że jest bezpieczny także tutaj, lecz milczał. Te słowa oznaczały, że leśniczy wie, kim on jest, i mimo wszystko proponuje, że weźmie go ze sobą. Przecież mógł go złapać już wcześniej, gdy po cichu zaszedł go od tyłu.

- Siostra mieszka pod lasem, zawsze będziesz mógł tu wrócić - dodał leśniczy.

- Dobrze - zgodził się Srulik.

Poszedł z człowiekiem, a gdy zobaczył światło przeświecające między drzewami, pomyślał, że doszli na skraj lasu, ale była to tylko wielka polana, na której stała leśniczówka. Podbiegł do nich pies, merdając ogonem, a za nim wyszła kobieta z niemowlęciem.

- Kogo nam przyprowadziłeś?

- Pracownika dla mojej siostry.

- Takiego jak ten, co był u nas wcześniej?

- Podobnego.

- Chodź, chłopcze - zaprosiła go żona leśniczego. - Dam ci coś do jedzenia.

Spałszował łapczywie miskę ziemniaków ze smalcem i smażoną cebulką. W pokoju poza nim nie było nikogo. Na stole leżał duży bochen chleba, z którego ktoś wcześniej oderwał kawałek. Srulik rzucił się na chleb, choć nie wiedział, czy jest przeznaczony dla 60 niego. Nawet gdy najadł się tak, że prawie pękał, jadł dalej, a na koniec oderwał wielki kawał chleba i schował w kieszeni. Tymczasem leśniczy wyprowadził ze stajni konia, osiodłał go i wrócił po Srulika.

Dojechali do niedużego gospodarstwa na skraju kartofliska. Wioska rzeczywiście znajdowała się tuż pod lasem. Na ich powitanie wybiegły ze szczekaniem dwa psy, ale od razu uspokoiły się i zaczęły machać ogonami. Z domu wyszła kobieta. Leśniczy zsiadł z konia, uściskał siostrę, szepnął jej coś do ucha, a potem zсадził Srulika na ziemię. Chłopiec przestraszył się, gdy psy zaczęły go obwąchiwać.

- Nie bój się, są łagodne - uspokoiła go kobieta.

Przy chałupie stało kilka budynków gospodarczych. Jeden był obórką, inny chlewem, a pomiędzy nimi znajdowała się szopa. Przed domem rosły drzewa owocowe i biegły grządki warzyw. Po podwórku kręciły się kury, a na ziemi leżała maciora karmiąca prosiaki.

- Zaczekaj tu - poleciała wieśniaczka i weszła z bratem do domu. Srulik został na podwórku z psami.

Wyciągnął z kieszeni chleb i zaczął żuć go powoli. Psy podeszły bliżej, próbując wywęszyć, co takiego je przybysz. Nie wiedział, czy psy lubią chleb. Oderwał okruch i zaczął kręcić go w palcach, aż ukręcił kulkę, którą podał jednemu z nich. Pies powąchał chleb i spróbował wziąć go do pyska. Srulik, przestraszony widokiem kłów, wypuścił kulkę, lecz pies schwycił ją w locie. Drugi pies także podszedł po swoją porcję. Tym razem Srulik odważył się i trzymał chleb, dopóki pies nie wyjął mu go z palców. Zrobił to bardzo delikatnie. Srulik dalej jadł chleb, lecz między kolejnymi kęsami częstował także psy. To łagodne psy, powtórzył w duchu słowa kobiety. Wyciągnął rękę i dotknął łba jednego. Drugi pies też domagał się głaskania.

W końcu leśniczy z siostrą wyszli z chałupy. Mężczyzna włożył kapelusz, zarzucił na ramię dubeltówkę, wsiadł na konia i zanim wyjechał z podwórza, skinął głową Srulikowi.

- Sprawuj się dobrze! - zawołał.

Kobieta pomachała bratu na pożegnanie. Zawołała Srulika i zaprowadziła go do obory. Psy poszły za nimi. W środku stały trzy krowy, a na słomie leżały dwa małe cielaki. Kobieta pokazała Srulikowi, jak dorzucić siana do żłobu i jak zamknąć drzwi, żeby krowy nie wydostały się na zewnątrz.

- Teraz powtórz wszystko, co ci pokazałam.

Srulik doskonale zdał egzamin.

Kobieta wzięła wiadro i usiadła do dojenia. Srulik stał i przyglądał się, jak pracuje.

- Przynieś mi kubek, który wisi na ścianie. - Wskazała podbródkiem.

Srulik przyniósł blaszany kubek, który zdjął z zardzewiałego haczyka, a kobieta naląła do niego mleka i podała mu.

- Napij się, chłopcze. Jak ci na imię?

- Jurek - odparł Srulik.

- Wypił łąpczywie ciepłe mleko. Kiedy skończył, kobieta wysłała go, by wypłukał kubek pod studnią i odwiesił na miejsce.

- Dlaczego nie doi pani trzeciej krowy?

- Popatrz, jaka jest gruba. Niebawem się ocieli i wtedy znowu będzie dawać mleko.

Potem zaprowadziła go do chlewika. Stały tam cztery owce, które na jej widok

zaczęły beczeć. Pokazała Srulikowi, jak je nakarmić, a potem wzięła go na podwórko do studni i nauczyła czerpać wodę. Studnia była okrągła i bardzo głęboka, otoczona murowaną cembrowiną. Osłaniał ją daszek wsparty na dwóch słupkach. Pod nim wisiał długi drewniany bęben, który obracał się na osi, kiedy ktoś kręcił rączką. Długi sznur opadał w głąb studni. Kobieta nachyliła się i zawołała. Jej głos odezwał się zwielokrotnionym echem. Srulik wspiął się na palce i też krzyknął do wnętrza studni:

- Ahoj!

Także jego głos odbił się echem. Siostra leśniczego uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech. Pokazała mu, jak czerpie się wodę, ale Srulik nie był dość wysoki, by przekręcić rączkę o pełen obrót. Rozejrzał się po podwórku, znalazł jakąś skrzynkę, wspiął się na nią i wtedy zdołał wyciągnąć wiadro. Gospodyni pochwaliła go za pomysłowość. Nalała wodę do drugiego wiadra i napełniła koryto dla krów. Powtórzyła tę czynność trzykrotnie. Potem poleciła Srulikowi napełnić wodą koryto dla owiec.

- Dobrze - powiedziała z uznaniem. - Będziesz spał tutaj, a jutro pokażę ci, jak wyprowadzać krowy i owce na pastwisko.

Srulik rozejrzał się po chlewiku.

- Gdzie będę spać?

- Weź trochę słomy i zrób sobie posłanie - poradziła.

Kobieta zawołała psy i zostawiła go samego z owcami. Zrobił, jak mu powiedziała. Słoma nie różniła się od tej, którą jego mama wypychała sienniki w domu.

W nocy obudził go szum deszczu. Przez otwarte okienko wpadł do chlewika chłodny powiew. Srulik nie namyślał się długo. Po omacku znalazł drogę do owiec i skulił się między nimi.

Kiedy obudził się rano, na zewnątrz świeciło słońce. O nocnym deszczu przypominały tylko kałuże na podwórku. Poszedł za gospodynią do obory i kiedy doła krowy, poleciła, by przyniósł blaszany kubek, i nalała do niego mleka, jak poprzednio. Skończywszy, zawiesiła mu na ramieniu chlebak, do ręki dała długi kij, pokazała, jak wyprowadzić owce i krowy, i poszła razem z nim na pastwisko. Towarzyszyły im psy.

Nie musieli oddalać się zbyt od gospodarstwa, by dojść na rozległą zieloną łąkę.

- Musisz pilnować, żeby ani krowy, ani owce nie poszły na pole sąsiada - wyjaśniła kobieta. - To wszystko. Kiedy zobaczysz, że słońce zaczyna zachodzić, przyprowadź je z powrotem.

- Jak?

- Powiesz: do domu! Zobaczysz, że znają drogę lepiej od ciebie.

Wskazała chlebak, który wcześniej zawiesiła mu na ramieniu, i powiedziała:

- W południe zjedz to, co ci włożyłam do środka.

- Skąd będę wiedzieć, że jest południe?

Roześmiała się.

- Słońce stoi wtedy najwyżej na niebie. Nauczysz się. Wieczorem zjesz ze mną w domu.

Kobieta zawołała psy.

- Jak się zaprzyjaźnicie, będziesz mógł zabierać je ze sobą - powiedziała przed odejściem.

Srulik nie czekał, aż słońce będzie wysoko na niebie, i od razu sprawdził, co ma w chlebaku. Znalazł pół bochenka chleba, butelkę z wodą i biały ser zawinięty w skrawek gazety. Oderwał kawałek chleba i sera, ale zostawił dość, by nie zgłodnieć przez cały dzień.

Praca nie była ciężka. Srulik nie bał się owiec, lękał się za to krów. Mimo wszystko gdy w pewnej chwili skierowały się na pole sąsiada, zastąpił im drogę, zaczął krzyczeć i wygrażał wielkim kijem. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu krowy posłuchały i zamiast ubóść go rogami i pójść, dokąd chcą, wróciły paść się na łące.

Srulik nie nudził się przez cały dzień. Leżał w trawie i z zainteresowaniem przyglądał się, jak krowy jedzą, zbierając żdźbła trawy językiem. Odkrył ze zdumieniem, że w ogóle nie mają przednich górnych zębów. Owce natomiast jadły, używając zębów i warg, jak ktoś, kto nabiera jedzenie ustami prosto z talerza. Potem sprawdził, co dzieje się w żdźbłach trawy, i obserwował żuki, mrówki i inne robaczki pełzające w dole. Drobne życie wśród trawy na łące było całkiem inne od życia w wyściółce liści i igieł, pokrywającej wilgotną ziemię w lesie. Srulik podniósł się na widok barwnego motyla fruującego w powietrzu, ale nie próbował go złapać. Nie chciał zrobić mu krzywdy. Kilkakrotnie usiłował natomiast łapać ważki, ale bez powodzenia.

Z ciekawością śledził wzrokiem dwóch pastuszków, których zauważył w oddali, i myślał, że być może z czasem ich pozna, a nawet zaprzyjaźni się z nimi. Jeden pasł kilka krów, a inny stadko owiec. Niedaleko siedziała dziewczynka, wyglądająca na jego rówieśnicę.

Pilnowała dwóch krów uwiązanych na postronku do wbitych w ziemię kołków.

Kiedy wielkie i czerwone słońce zaczęło zachodzić, i zanurzyło się w chmurach zakrywających horyzont, Srulik machnął kijem i zawołał:

- Do domu!

Stał się cud. Krowy uniosły łby i odpowiedziały przeciągłym muczeniem, a potem

ruszyły w stronę gospodarstwa. Za nimi poszły owce.

Kiedy weszli na podwórko, psy szczeknęły kilka razy, lecz od razu podeszły, przyjaźnie merdając ogonami. Kobieta napełniła żłoby krów, a Srułika wysłała, by napoił i nakarmił owce. Kiedy wrócił do obory, kończyła dojenie. Posłała go, by umył twarz i ręce w korycie, a potem zaprowadziła do domu. W chałupie była jedna izba, tak jak w ich domu w miasteczku. W piecu płonął ogień i coś się gotowało, przesycając powietrze smakowitym zapachem.

Gospodyni posadziła go za stołem i nałożyła jedzenie na dwa talerze. Dwie potrawy znał, jajecznicę i kluski, ale nie wiedział, czym jest trzecia rzecz, pomarańczowożółta, wymieszana z kluskami.

- To dynia - wyjaśniła gospodyni. - Wiesz, co to takiego?

- Nie - zaprzeczył Srułik.

- Pokażę ci potem w ogrodzie.

Poląła wszystko odrobiną śmietany i postawiła przed nim kubek mleka.

- Po jedzeniu dasz mi swoje ubranie - powiedziała. - Upiorę je. A zanim rzeczy wyschną, włożysz coś innego.

Dała mu koszulę nocną dorosłego człowieka. Srułik wyjął z kieszeni swojego motyla i odłamki szkła, zdjął ubranie i włożył koszulę.

Rano kobieta powiedziała:

- Musiałam spalić twoje ubrania. Gdybym zostawiła je na ziemi, pewnie same by poszły, tak roiło się w nich od wszy.

Wręczyła mu dużą koszulę z obciętymi rękawami oraz męskie spodnie, które skróciła, zawinęła w pasie i przewięzała sznurkiem. Teraz wyglądam dokładnie jak Josele, pomyślał Srułik.

W nowym stroju poszedł na pastwisko. Po pewnym czasie postanowił zapoznać się z jednym z pastuszków, ale jak tylko odrobinę się oddalił, krowy skierowały się w stronę pola pszenicy. Również tego dnia była tam dziewczynka pilnująca dwóch krów uwiązanych do kołków i pasących się wkoło. Nie siedziała zbyt daleko od niego, ale mimo wszystko była to dziewczynka.

6. Na kartoflisku. Wiesz, dlaczego jestem dla ciebie dobra?

Srulik powoli nabierał wprawy w wyprowadzaniu zwierząt na łąkę. Nauczył się rozumieć krowy i owce: co mówią, czego chcą, dlaczego nagle potrzęsają łbami i za którą owcą inne pójdą wszędzie. Czasem, kiedy miał już dość i słońce zachodziło zbyt powoli, łapał ją za ucho i prowadził w stronę domu, wtedy dwie towarzyszki natychmiast się dołączały, a gdy krowy widziały, że tamte idą, także natychmiast ruszały za nimi. Jeśli nie wracał zbyt wcześnie, kobieta nie krzyczała na niego, ale pewnego dnia pojawił się z powrotem tak szybko, że rozgniewała się i nie zaprosiła go do domu na kolację. Przyniosła mu do chlewika talerz, na którym znalazł same ziemniaki. Srulik już nigdy nie wracał za wcześnie z pastwiska.

Czasem budził się rano, jeszcze zanim gospodyni po niego przyszła. Może budziło go pianie koguta, a może owce potraçały go, wstając, albo psy przychodziły pobawić się z nim

Oświecie. Raz, gdy wyszedł na dwór i wyciągnął ze studni wiadro wody, żeby obmyć twarz, ujrzał niespodziewanie mężczyznę, który wymknął się z chałupy i pobiegł w stronę lasu, ale nie zadawał pytań o to, co zobaczył.

Nie udawało mu się ignorować dziewczynki pilnującej dwóch krów. Miał wrażenie, że także zerka na niego co jakiś czas. Zawołał raz do niej, ale nie odpowiedziała. Ostatecznie nawiązali znajomość dzięki psom. Już od pewnego czasu przychodziły z nim na pastwisko

1 Srulik bawił się z nimi, mocował i tarzał po trawie. Dziewczynka ciekawie przyglądała się, jak dokazywali.

Tego dnia sprawiała wrażenie zajętej - chodziła po łące w różne strony, wypatrując czegoś. Poza małymi ptaszkami, przelatującymi to tu, to tam, nie było na co patrzeć, pomyślał Srulik. Co ona takiego obserwuje? Co robi? W południe dziewczynka rozpałała ognisko. Wydawało mu się, że piecze coś w żarze, a na koniec usiadła do jedzenia. Pewnie ziemniaki, pomyślał Srulik. Psy zaczęły węszyć w powietrzu i pobiegły w stronę dziewczynki. Srulik zawołał je z powrotem. Kiedy wróciły, dziewczynka krzyknęła na nie i znowu pobiegły do niej. Tak zaczęła się zabawa.

- Rudy, co masz do jedzenia? - zawołała z oddali.

- Ser i chleb!

- Ja mam coś lepszego!

Teraz Srulik zrozumiał, dlaczego psy tak chętnie do niej pobiegły.

- Co masz?

- Pieczone ptaki!
- Dajesz je psom?
- Tylko kostki.
- Mogę spróbować?
- Chodź, to cię poczęstuję.

Srulik chciał podejść, ale gdy tylko zaczął się oddalać, krowy zwróciły łby w zakazanym kierunku. Owce, zajęte jedzeniem, nie zwracały na nic uwagi. Krowy są mądrzejsze, doszedł do wniosku Srulik.

- Nie mogę. Krowy pójda w pszenicę!

Dziewczynka dała się przekonać i przysła usiąść obok niego. Przyniosła kilka drobnych ptaszków upieczonych w ognisku.

- Jak je schwytałaś?
- Nie wiesz?
- Nie.
- Nauczyć cię?
- Tak.
- Co mi za to dasz? Srulik myślał przez chwilę.
- Nic nie mam.
- Jak się nazywasz?
- Jurek.
- Ja jestem Marysia. Jesteś krewnym pani Nowakowej?
- Nie.
- To co tu robisz?
- Jej brat znalazł mnie w lesie.
- Co robiłeś w lesie?
- Żyłem tam.
- Gdzie twoi rodzice?
- Umarli - powiedział ze ściśniętym sercem.

A jeśli naprawdę nie żyją? Czy wolno mówić o ludziach żyjących, że umarli? Czy mogą przez to umrzeć? Co dzieje się z jego braćmi i siostrami? Srulik zamyślił się i zmarkotniał. Dziewczynka zauważyła jego smutek.

- Wiem - powiedziała. - Moi rodzice też umarli i posłano mnie do wujostwa w tej wsi. Swoje dzieci wożą do szkoły do miasteczka, tylko ja muszę paść krowy. Wieczorem usługuję im do stołu i zmywam naczynia, a ich córka pokazuje mi język. W niedzielę nie zabierają

mnie do kościoła, tylko posyłają na pastwisko. Ona zabiera ciebie do kościoła?

- Nie.

- I wszyscy śpią w domu, w łóżkach.

- A ty?

- W oborze.

- Ja w chlewiku. Kiedy jest zimno, lubię spać między owcami.

- Wujostwo nie mają owiec. Tylko krowy i świnie. I kury. Dobrze, nauczę cię, jak łapać ptaki i piec je w ognisku.

- Upiec umiem - powiedział Sruлик. - Ale kiedy byłem w lesie, mój kolega polował na ptaki z procy. Jak ty je chwytasz?

- Gdzie jest teraz twój kolega?

Sruлик wzruszył ramionami.

- Poszedł i nie wrócił.

Dziewczynka rozplotła warkocz i wyrwała dwa długie włosy. Ułożyła je osobno na trawie i na końcu każdego zawiązała małą, mocną pętelkę. Przełożyła przez nią koniec włosa, tworząc większą pętlę, którą można było z łatwością rozluźnić i zaciskać.

- Widzisz? Kładzie się włos na trawie tak, żeby pętla była szeroko rozłożona. Drugą stronę przywiązuje się do mocnej łądygi. Sypie się okruszki, a ptaki przylatują, żeby je zjeść, są tak głupie, że nie widzą pętli. W końcu jeden zaczepi o włos nóżką i pętla się zaciska. Nie wierzysz? Kiedy byliśmy mali, mój starszy brat łapał masę ptaków, żebyśmy mogli jeść mięso. Szpaki, drozdy, dzwońce, wróble i inne, nie wiem, jak się nazywały.

- Brał włosy z twoich warkoczy?

Roześmiała się.

- Wtedy nie miałam takich długich warkoczy, głuptasie. Ile masz lat?

- Chyba dziewięć.

- Ja dwanaście - powiedziała z dumą.

- Wyrzywał włosy z ogona naszego konia.

- Gdzie teraz jest?

- Tam gdzie rodzice. W niebie. Spójrz, jak to się robi. Wiesz, dlaczego jestem dla ciebie dobra? Bo też jesteś sierotą.

Sruлик poszedł za nią. Psy podążyły ich śladem. Dziewczynka położyła oba włosy obok siebie, rozpostarła je na trawie i zawiązała końce wokół łądygi nad samą ziemią. Wyjęła z kieszeni spódnicy trochę okruszków chleba i rozsypała je na ziemi.

- Już. Wracajmy do twoich krów i owiec.

Nie minęło wiele czasu, gdy okruchy zwabiły kilka małych ptaszków. Jeden złapał się w pętlę i daremnie szamotał się, próbując odfrunąć. Dziewczynka podbiegła do niego, Srulik za nią. Kiedy dotarł do Marysi, trzymała już ptaszka w ręku, uwolniła go z pętli i wypuściła. Potem zabrała drugą pętlę.

- Teraz rozumiesz?

Srulik rozumiał. Zastanawiał się, jak będzie mógł robić to sam, bo przecież jego gospodyni nie miała konia.

- Dasz mi kilka swoich włosów?

- Tak. Ale możemy łapać ptaki razem.

Nazajutrz przez ponad pół dnia byli zajęci łowieniem ptaków. Kiedy mieli już dość, Marysia przygotowała ognisko, ale ku jego zdumieniu do rozpalenia ognia nie użyła zapalek.

- Nie masz zapalek? - zdziwił się. - Mogę ci dać.

- Mam, ale chcę ci coś pokazać.

W ręku trzymała wypukłe szkiełko. Usiadła i za jego pomocą zaczęła rzucać skupiony promień słońca na uschnięty listek. Najpierw pojawiła się smużka dymu, potem nagle zatańczył malutki płomyk. Marysia dorzuciła kilka suchych sosnowych igieł i już miała ogień.

- Jak to możliwe? - zdumiał się Srulik.

- To przez to szkiełko.

- Daj mi na chwilę...

- Najpierw włóżmy ptaki do ogniska.

Marysia podała mu nóż. Srulik odciął ptakom łebki i wypatroszył, a Marysia obłożyła je błotem. Umieściła błotniste bryłki w żarze i usiedli w oczekiwaniu, aż się upieką.

- Kiedyś szliśmy z bratem przez las i znaleźliśmy torbę, a w niej książkę, zeszyt i trzy takie szkiełka. W książce były rysunki różnych motyli, mrówek i żuków. Nie wiedzieliśmy, co się z tym robi, ale kiedy przynieśliśmy wszystko do domu, tata powiedział, że to pewnie torba nauczyciela przyrody. Pokazał nam, co można z nimi zrobić. Nie tylko ogień.

Marysia zademonstrowała, jak szkiełko wszystko powiększa - końce palców, źdźbła trawy, malutką mrówkę.

- Daj na chwilę...

Szkiełko wydawało mu się prawdziwym cudem. Usiłował podpalić za jego pomocą malutki listek, jak Marysia, ale nie udało mu się.

- Źle. Musisz zrobić tak, żeby promień, który przechodzi przez szkiełko, był jak najcieńszy.

- Co chcesz w zamian?

- A co masz?

Srulik wyjął z kieszeni broszkę. Dziewczynka przyglądała się motylowi, obracając go w palcach, przypięła do sukienki, potem oddała.

- Nie.

- Nie rozumiesz. On świeci w nocy. Jeśli w dzień położy się go na chwilę na słońcu, potem oddaje światło i naprawdę świeci w ciemności.

- Wezmę go do domu i sprawdzę. Jeśli to prawda, zamienimy się.

Wyciągnęli upieczone bryłki z ogniska, turlali je w trawie, by ostygły, potem rozłupali skorupki i małe pieczenie były gotowe. Usiedli do jedzenia. Srulik przyniósł swoją wodę do picia. Zauważył, że Marysia stara się nie dotykać wargami szyjki butelki. Kiedy on pił, powiedziała:

- Nie rób tak. Nie można dotykać ustami, jeśli pijesz po kimś. Nie wiedziałeś? Srulik nie wiedział.

- Musisz wlewać wodę do ust bez dotykania.

Zdobył kolejną nową informację. Mięso i chleb wydawały mu się królewską ucztą.

- To dużo pracy, ale i tak nie mamy nic do roboty, a ja bardzo lubię pieczone ptaki...

- Ja też - przyznał Srulik.

- Chciałabym umieć polować na kuropatwy, jak chłopcy - powiedziała Marysia.

- Jak na nie polują?

- Z procy.

- Kuropatwy są większe?

- Pewnie. Większe od gołębi. Pokażę ci rano.

- Nie można ich złapać na włos?

- Nie. Nawet na koński włos. Są za silne.

Następnego ranka dziewczynka wręczyła mu szkło powiększające.

- Twój motyl naprawdę świeci w nocy - przyznała. Przyniosła też spory kawałek kiełbasy.

- Ukradłam - oznajmiła. - Dam ci połowę, jeśli pobawisz się ze mną. Srulik się zgodził.

- W co chcesz się bawić?

- Najpierw zjedzmy.

Potem zaprowadziła go na ścieżkę rozdzielającą łąkę od pola pszenicy, usiadła na ziemi i pokazała mu grę w kamyki. Podrzucała je i łapała z zadziwiającą zręcznością.

- To zabawa dziewczynek, ale co ci szkodzi? Srulik spróbował, ale było to trudne.

- Nie nauczysz się w jeden dzień. Możemy się bawić za każdym razem, wtedy będziesz coraz lepszy.

Kiedy siedzieli naprzeciwko siebie, spódnica Marysi podwinęła się nad kolana.

- Paskudny. Nie wolno podglądać! To grzech.

- Nie podglądam. Po prostu tak siedziałaś, że było widać.

- Gdybym była bogata, nic byś nie zobaczył.

- Dlaczego?

- Bo nosiłabym majtki jak dorośli. Teraz ty zdejmij spodnie i pokaż.

Srulik przystał na to. Dziewczynka popatrzyła i powiedziała ze zdziwieniem:

- Jest inny niż u reszty chłopców.

Srulik się spłoszył. Zapomniał, że pod żadnym pozorem nie wolno mu zdejmować spodni.

- Nie mów nikomu.

- Dobrze - zgodziła się Marysia.

- Marysi nie zawsze chciało się zastawiać sidła. Często miała ochotę tylko leżeć w słońcu. Dała mu kilka włosów, żeby spróbował sam. Potem pilnowała jego krów i owiec, a on polował, rozpalał ognisko i piekł zdobycze.

Pewnego dnia z grubą krową, która nie dawała mleka, zaczęło dziać się coś dziwnego. Z tyłu wyleciał jej jakiś płyn. Srulik zauważył też, że w ostatnim czasie jej wymię urosło i spęczniało, ale gospodyni mówiła, że krowa nie będzie dawać mleka, dopóki się nie ocieli. Nie rozumiał dokładnie, co to oznacza. Przestraszył się, że krowa zdycha, i głośno zawołał Marysię. Przyszła i uspokoiła go.

- Ona się cieli, głupi, nie widzisz?

Srulik zdumiał się, gdy nagle zobaczył małe nóżki. Marysia kazała mu złapać jedną, sama chwyciła drugą i zaczęła ciągnąć. Krowa stękała i dyszała, kiedy nagle pojawiły się nozdrza i pyszczek, a potem łebek z oczami i uszami. Srulik nie wierzył własnym oczom. Był zarazem przejęty i wystraszony. Kiedy pokazała się głowa, pociągnęli jeszcze jeden raz i cielak wy dostał się na zewnątrz z dźwiękiem, jaki wydaje korek wyciągany z dużej butelki.

- Co teraz? Jak mam ją zaprowadzić do domu? - zapytał zatroskany Srulik.

- Nie ją, tylko jego, bo to mały byczek - poprawiła go Marysia. - Sam pójdzie.

Dwie inne krowy podeszły obejrzeć i obwąchać nowo narodzone cielątko. Jedna nawet usiłowała je polizać, ale matka ją odpędziła. Nie minęło wiele czasu, gdy cielak dzielnie spróbował stanąć na trzęsących się nóżkach. Jeszcze przed zachodem słońca znalazł

wymię i zaczął ssać.

Srulik nie odstępował krowy z cielątkiem, zafascynowany tym, co zobaczył.

- Nigdy nie patrzyłeś, jak się rodzą zwierzęta? Psy, koty albo owce?

- Nie - powiedział Srulik. - Kiedyś w miasteczku oglądałem nowo narodzoną kózkę, ale nie widziałem, jak to się stało.

- Powiedzieć ci coś?

Srulik spojrział na dziewczynkę z zaciekawieniem.

- Dzieci rodzą się tak samo.

Srulik parsknął śmiechem.

- Głupstwa gadasz.

- Słowo daję. Dlatego chłopcy mają takie coś jak ty, a dziewczyny takie, jak widziałeś u mnie.

Srulik zerknął na nią i zauważył, że nie żartuje.

- A wiesz, jak dzieci wchodzi do brzucha mamy, zanim zaczną tam rosnać?

Srulik nie miał pojęcia. Dziewczynka powiedziała mu.

- Całkiem zwariowałaś - stwierdził.

- Nigdy nie widziałeś, jak pies wskakuje na suczkę? Albo kozioł na kozę? Zobacysz, jak pani Nowak zaprowadzi krowę do byka w majątku, żeby ją rozmnożyć, wtedy mi uwierzysz.

- Ja to wiem - zaprotestował Srulik. - Widziałem psy w miasteczku. Ale ludzie to nie psy ani krowy.

Marysia wzruszyła ramionami.

- Zrozumiesz, jak będziesz starszy. Ja też na początku nie chciałam uwierzyć.

W każdą niedzielę pani Nowakowa ubierała się odświętnie i szła do kościoła. Czasem przystawała i przyglądała się Srukowi, jakby rozważała, czy nie zabrać go ze sobą. Ale mijały kolejne tygodnie, a ona nie podejmowała żadnej decyzji. Niekiedy zachodziło do niej z wizytą kilka sąsiadek. Srulik na ogół chował się na ich widok, ale czasami zastawały go na podwórku albo w oborze.

- Brat go przyprowadził - wyjaśniała gospodyni. - To sierota. Ma na imię Jurek.

Niektóre uśmiechały się do niego, ale jedna starsza kobieta przyglądała mu się z niechęcią, a pewnego razu usłyszał jej pytanie:

- Barbaro, dlaczego nie zabierasz go do kościoła? Może w ogóle należałoby go ochrzcić.

- Porozmawiam o tym z księdzem - odrzekła pani Nowak.

Ta rozmowa zaniepokoiła Srulika.

Martwił się czymś jeszcze. Bardzo dokuczają mu swędzące miejsca, które rozchodziły się po całym ciele. Nie wiedział, czy było to spowodowane brudem, czy może wszami. Najpierw swędzenie pojawiło się tylko na rękach, wzdłuż palców. Kiedy przyjrzał im się uważnie w świetle słońca, wydawało mu się, że zauważa pod skórą malutkie kreseczki, cieniutkie i białe. Gospodyni obejrzała jego dłonie i orzekła, że ma świerzb. Wyjaśniła mu, że tę chorobę powoduje maleńki robaczek, który ryje korytarze pod skórą.

- Pomaga na to czarna maść - stwierdziła. - Poproszę sąsiadkę.

Ale nie zdążyła przynieść maści.

Pewnego dnia pod wieczór, po powrocie z pastwiska, Srulik nakarmił krowy przed dojeniem. Nagle psy zaczęły wściekle ujadać i wybiegły na drogę prowadzącą do gospodarstwa. Zaraz potem rozległ się warkot nadjeżdżającego samochodu.

- Niemcy jadą po zwierzęta - powiedziała gospodyni z gniewem. - Biegnij i schowaj się w szopie, a ja zamknę psy, żeby ich nie pozabijali.

Srulik pobiegł do szopy, a ona złapała psy i zamknęła je w chałupie. Na podwórko wjechała nieduża wojskowa ciężarówka z dwoma niemieckimi żołnierzami, którzy w rękach trzymali jakieś papiery. Wyprowadzili z chlewika jedną owcę. Srulik obserwował ich przez szparę w deskach. Zabrali akurat tę owcę, którą lubił najbardziej. Jeden z Niemców wszedł na ciężarówkę, żeby uwiązać zwierzę, drugi poszedł z kobietą w stronę obory. Usłyszał jego pytanie:

- Gdzie ten żydowski dzieciak?

- Nie ma tu żadnych żydowskich dzieci.

- Ludzie we wsi mówili, że jest tutaj - upierał się Niemiec.

Srulik poczekał, aż wejdą do obory, i wymknął się z szopy. Podbiegł do płotu, wspiął się, przeskoczył i popędził w stronę lasu przez pole kartofli.

Tymczasem Niemiec wyprowadził z obory jedną z krów. Nagle krowa szarpnęła się z całej siły, wyrwała mu z rąk postronek i uciekła. Niemiec usiłował złapać zwierzę, przeklinając i wrzeszcząc. Goniąc za nią, zauważył Srulika. W pierwszej chwili ruszył za nim, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że odległość jest zbyt duża i że chłopiec dobiegnie do lasu, zanim on go dopadnie. Zawrócił biegiem, wołając z daleka do swego towarzysza, by zapalał silnik. Pojechali pędem za Srulikiem, ale tymczasem uciekinier zapadł się pod ziemię.

Słyszając za sobą krzyki, Srulik obejrzał się i zobaczył biegnącą krowę i Niemca, który ścigał ją, krzycząc i złorzecząc. Nagle Niemiec dostrzegł go i się zatrzymał. Było za późno, by się ukryć, Srulik biegł więc dalej. Kiedy ponownie się obejrzał - zobaczył za sobą tylko

krowę. Wtedy usłyszał dźwięk zapalnego silnika. Nie wahał się ani chwili. Zboczył ze ścieżki, wbiegł na pole, rzucił się na ziemię i zaczął czołgać wśród rzędów roślin.

Ciężarówka wjechała na polną drogę, minęła miejsce, w którym schował się Srulik, dotarła do ugoru rozdzielającego zielone pole od lasu i tam się zatrzymała. Jeden z Niemców zeskoczył, wszedł na pole i zaczął przeczesywać je powoli, sprawdzając dokładnie wszystkie zagony. Drugi zgasił silnik, wszedł na ciężarówkę i obserwował teren z góry.

Srulik słyszał, jak ciężarówka przejeżdża i zatrzymuje się pod lasem. Poczłgał się dalej. Nie wystawiając głowy znad otaczających go krzaków kartofli, mógł dojrzeć już czubki drzew. Przyszło mu do głowy, że gdy znajdzie się całkiem blisko lasu, powinien wyskoczyć i pognać naprzód ile sił w nogach. Czołgał się ostrożnie, by nie poruszać roślin, błogosławiąc w duchu wiatr, który zrywał się od czasu do czasu. Nagle coś zagrodziło mu drogę. Srulik uniósł odrobinę głowę i ujrzał leżącego przed sobą człowieka, który mu się przyglądał. Jego szarą i wynędzniałą twarz pokrywała szczecina zarostu, włosy miał rzadkie i rozczochrane. To Żyd, zrozumiał Srulik, ukrywający się Żyd. Podczołgał się bliżej i szepnął: - Uciekaj, Niemcy mnie gonią.

Człowiek nie odpowiedział, lecz rozwarł szeroko oczy ze zdumienia. Potem otworzył ramiona i wyszeptał:

- Srulik...

- Tata?

Dopiero teraz Srulik rozpoznał ojca.

- Myślałem, że zabili ciebie i mamę - wyszeptał ojciec.

- Nie - odparł Srulik.

- Gdzie mama?

- Nie wiem.

Usłyszeli, jak dwaj Niemcy krzyczą coś do siebie. Jeden wydawał się znajdować blisko, drugi dalej.

- Nie mamy czasu. Zapamiętaj wszystko, co ci teraz powiem. Musisz koniecznie przeżyć, musisz! Znajdź kogoś, kto nauczy cię, jak zachowywać się wśród gojów, jak się przeżegnać i modlić, wtedy będziesz mógł zostać u chłopów do końca wojny. Zawsze idź do biednych ludzi. Oni chętniej pomagają. I nigdy nie kąp się w rzece przy innych dzieciach.

- Wiem.

Stojący na ciężarówce Niemiec zapytał o coś drugiego, a tamten odezwał się bardzo blisko ich kryjówki.

- Szybko - spieszył się ojciec. - Jeśli będą cię ścigać z psami, wejdź do wody albo na

bagna, wtedy psy stracą trop. Najważniejsze - ciągnął w napięciu - zapomnij, jak masz na imię. Wymaż je z pamięci.

- Mam nowe imię: Jurek - wyszeptał Sruлик.

- Dobrze. Od tej chwili nazywasz się Jurek Staniak. Pamiętasz panią Staniak ze sklepiku w Błoniu?

- Tak, tato.

- Jak się nazywasz?

- Jurek Staniak.

- Ale nawet jeśli zapomnisz wszystko, nawet mnie i mamę, nie zapominaj nigdy, że jesteś Żydem.

- Dobrze, tato.

Ojciec zastanowił się, czy nie pominął czegoś, i dodał:

- Zawsze uciekaj do lasu, bo Niemcy boją się partyzantów i nie lubią tam wchodzić.

Umilkł, nasłuchując chrzęstu zbliżających się kroków. Przyciągnął Sruлика do siebie i gdy ich twarze znalazły się tuż obok siebie, ujął głowę syna w ręce i ucałował go, jęcząc jak ranne zwierzę.

- Teraz wstanę i pobiegnę, a Niemcy ruszą za mną. Ty policz powoli do dziesięciu, pamiętaj, powoli, a potem wstań i uciekaj do lasu!

- Dobrze, tato.

Ojciec podniósł się i zaczął biec. Teraz Sruлик zobaczył, jak bardzo się zmienił. Ten silny mężczyzna, który bez niczyjej pomocy podnosił worek mąki, był skurczony i wynędzniały, wyglądał jak cień samego siebie. Niemcy zaczęli coś krzyczeć. Całe ciało Sruлика sprężyło się do ucieczki. Ale pamiętał słowa ojca, opanował się i zaczął liczyć. Jak w zabawie w chowanego. Powoli. Kiedy doszedł do dziesięciu, rozluźnił mięśnie i pozwolił ciału rzucić się naprzód. Kątem oka zobaczył dwóch Niemców, którzy ścigali ojca biegnącego w stronę wsi. Ze wszystkich sił pognał w przeciwnym kierunku. Po chwili usłyszał za sobą dwa strzały. Potem jeszcze jeden. Biegł dalej, nie oglądając się za siebie, a potem zniknął w lesie.

Tej nocy ciężko mu było zasnąć. Kiedy wdrapał się na bujne drzewo o szerokiej koronie i zamknął oczy, znowu znalazł się na kartoflisku. Ojciec leżał przed nim i mówił. Teraz Sruлик widział jego twarz ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami. Miał czas, by im się przyjrzeć. Twarz zmieniła się i stała na powrót prawdziwą twarzą ojca, którą pamiętał z dzieciństwa. Słowa dźwięczały mu znów w uszach, niezagłuszane krzykami Niemców i strachem: musisz przeżyć, Sruliku. Znajdź kogoś, kto nauczy cię, jak się zachowywać wśród

gojów. Umiesz się przeżegnać? Zawsze idź do biednych ludzi. Tak, tato. Psy tracą trop w wodzie. Zapomnij, jak masz na imię. Jak się nazywasz? Jurek Staniak. Nawet jeśli zapomnisz mnie i mamę, nie zapominaj, że jesteś Żydem. Potem jeszcze raz policzył do dziesięciu, powoli, jakby wciąż leżał na polu kartofli. Usnął, zanim usłyszał strzały, ale rozbrzmiewały one w jego snach. Biegł dalej, nie oglądając się za siebie, a prawdziwa twarz ojca stała cały czas przed jego oczami.

7. Ona zaraz mnie ugotuje. Jeśli będziesz kiedyś w wielkich kłopotach.

Z nadejściem jesieni las się zmienił. Liście zaczęły żółknąć, marszczyć się i opadać. Coraz trudniej było znaleźć owoce. Srulik dalej wdrapywał się na drzewa po orzechy, ale teraz ich łupiny stwardniały i musiał rozbijać je kamieniem. Pojawiało się natomiast coraz więcej grzybów, jednak większości Srulik nie znał i bał się je zrywać. Jadł tylko te, które kiedyś zbierali z bratem. Pogodne dni zdarzały się coraz rzadziej i przez większość czasu Srulik chodził przemoczony. Niekiedy pod wieczór przemykał się do wsi, by ukraść coś do jedzenia, ale przed zbliżającą się zimą chłopi zamykali domy i szopy i na podwórkach prawie nic nie zostało. Rankiem coraz częściej kałuże pokrywała cieniutka warstwa lodu, a gdy ziemia zaczęła zamarzać, trudno było wyciągnąć pojedynczą marchewkę albo rzodkiew, które gdzieś zostały jeszcze w warzywnikach i na polach. Pomidory i ogórki zniknęły już dawno, Srulik chodził więc przemarznięty i głodny.

Kiedy pewnego razu przechodził skrajem jakiejś wsi, ujrzał starszego człowieka rąbiącego drewno, który zdjął marynarkę i zawiesił ją na płocie. W pewnej chwili mężczyzna odłożył siekierę i wszedł do domu. Srulik rozejrzał się ostrożnie, po czym bez wahania porwał ubranie i uciekł. Marynarka była uszyta z grubej wełny, miała podszewkę. Srulik obciął rękawy odłamkiem szkła, rozplótł kawałek postronka, końcami obciętych rękawów owinął sobie bosc stopy i wszystko przewiązał niemi.

Kilka razy, by się ogrzać, usiłował rozpalić ognisko, pomagając sobie szkiełkiem od Marysi, ale udawało się to bardzo rzadko, czy to dlatego, że słońce ukazywało się tylko na moment i zaraz chowało z powrotem, czy dlatego, że wszystko zamokło.

Pewnej nocy zaczął padać śnieg i nie przestawał. Srulik wyszedł z lasu, przemarznięty i drżący, i wyruszył szukać pracy. Śnieg padał przez cały dzień, a on brnął z wielkim wysiłkiem przez wiele godzin, by w końcu z zapadnięciem zmroku dotrzeć do wsi, w połowie ukrytej pod białym całunem. W twarz wiał mu zimny wiatr. Na zewnątrz nie było widać żywej duszy, ani człowieka, ani psa. Zaspy piętrzyły się wokół domów, śnieg przykrył słomiane strzechy, bezlistne drzewa, wozy, studnie i płoty. Pod drzwiami chałup i zabudowań gospodarczych biegły wąskie odśnieżone dróżki dla wchodzących i wychodzących. W środku wsi zauważył ścieżki wydeptane przez ludzkie stopy i poszedł ich śladem. W kilku oknach pełgały słabe światelka. Wszedł na jedno z podwórek i poszedł prosto do stodoły, zagrzebał się w słomie w osłoniętym od wiatru kącie, owinął dokładnie obszerną marynarką i zasnął. Śniło mu się, że jest z matką na gestapo. Potem ujrzał twarz obcego człowieka, który udawał

jego ojca. Ocknął się, wystraszony. Jestem chory, pomyślał. Zawsze idź do biednych ludzi, Sruliku, oni chętniej pomagają. Tak, tato.

Kiedy rano otworzył oczy, nie wiedział, gdzie jest. Bolała go głowa i kiedy spróbował podnieść się na nogi, przewrócił się z powrotem. W szarym półmroku poczołgał się do jasnego otworu wejścia. Obejście nie sprawiało wrażenia, jakby należało do biednych wieśniaków. Zwalczył w sobie chęć podejścia do chałupy i zapukania do drzwi, opuścił podwórko i ruszył dalej. Gospodarstwa leżały w sporej odległości od siebie, a teraz miał wrażenie, że są oddalone o setki kilometrów. Każdy krok wydawał mu się ostatnim. Zmuszał się, by wyciągnąć nogę ze śniegu i przesunąć do przodu. Przepelniało go jedno pragnienie: położyć się, natychmiast. Nagle wszystko zniknęło i ujrzał nad sobą szare niebo. Musisz przeżyć, Sruliku. Tak, tato. Zrozumiał, że upadł. Zmobilizował całą siłę woli, podniósł się i ujrzał przed sobą dom, a obok zrujnowany budynek i płot otaczający częściowo podwórko. Tu na pewno mieszkają biedni ludzie, pomyślał. Na chwilę kontury się zamazały i zobaczył wszystko podwójnie. Przetarł oczy, w ostatnim wysiłku dowlóknął się do drzwi i wszedł po schodkach. Puk. Puk. Po bardzo długim czasie otworzyły się wąskie drzwiczki. Zobaczył w nich srebrzystą mgłę, która rozproszyła się, ukazując twarz kobiety. Była to najpiękniejsza kobieta, jaką Srulik kiedykolwiek widział. Wtedy zapadła ciemność.

Kiedy otworzył oczy, leżał na miękkim pościeliu na podłodze. Nad nim pochylała się ta sama piękna pani, o której śnił wcześniej, a nad jej głową widział sufit domu. Teraz wiedział, że nie przyśniło mu się to, że 90 naprawdę otworzyła mu drzwi. Kobieta przyglądała mu się z troską.

- Ocknąłeś się?

- Tak, proszę pani.

Na piecu stał parujący sagan.

Ona chce mnie ugotować, pomyślał Srulik.

Kobieta zestawiała sagan z pieca, nalala ciepłej wody do drewnianej balii, rozebrała go i obejrzała całego. Co teraz zrobi? - zastanawiał się bezsilnie. Kobieta oglądała jego skaleczenia, kręcąc co chwila głową. Potem wsadziła go do balii. Srulik wrzasnął, bo woda była bardzo gorąca. Kobieta wyszorowała go porządnie, nie szczędząc mydła. Na koniec wyjęła go i wytarła, ułożyła przy piecu i nasmarowała całego czarną maścią. Skaleczenia piekły i bolały. Srulik jęczał i wzdychał.

Nagle kobieta zniknęła. Czy pojawi się z powrotem?

Wróciła, przysunęła jego pościeliu bliżej pieca i dorzuciła drew.

Teraz mnie spali, pomyślał, ale ona tylko przykryła go kocem. Mimo piekącego bólu

w całym ciele Srulik zasnął z sercem przepelnionym nadzieją. Nie zawiódł się. Przez następne dni kobieta opiekowała się nim troskliwie i Srulik odzyskał siły. Dała mu też całe, ciepłe ubranie.

- Co pani zrobiła z moimi rzeczami? - zapytał.

- Wyrzuciłam.

Srulikowi zrobiło się żal. A wtedy kobieta zdjęła znad pieca szkło powiększające, które dostał od Marysi.

Nadeszło Boże Narodzenie. Srulik umiał już się modlić, wiedział, że przed posiłkiem trzeba zaczekać, aż piękna pani odmówi błogosławieństwo, i przeżegnać się. Kobieta zawiesiła mu na szyi krzyżyk i medalik z Matką Boską trzymającą na rękach małego Jezuska. Pewnego dnia przyniosła Srulikowi buty.

Były za duże, więc wypchała je zgniecionymi papierami.

- Moja mama zawsze tak robiła - zauważył Srulik.

- Nie opowiadaj mi o sobie - poprosiła. - Lepiej, żebyś nic nie wiedziała. Ale możesz powiedzieć jedną rzecz: ile masz lat.

Srulik się zastanowił.

- Latem miałem osiem - odparł w końcu.

- Jak mam cię nazywać?

- Jurek Staniak.

- Bardzo ładne imię - pochwaliła gospodyni.

Zabraniała mu podchodzić w ciągu dnia do okien, a wieczorem, gdy zapalała lampę naftową w dużym pokoju, musiał siedzieć po ciemku w mniejszej izbie, gdzie okna zasłaniały grube zasłony.

- Dlaczego? - zapytał.

Nie chciała wyjaśnić. W końcu jednak wszystko mu opowiedziała.

- Mój mąż i synowie są w partyzantce. Wiesz, ktoto partyzanci?

Srulik kiwnął głową.

- Miałam też córkę, ale Niemcy ją torturowali i powiesili w lesie. Nawet gdyby chciała powiedzieć, gdzie jest jej ojciec i bracia, nie mogłaby. Zwyczajnie nie wiedziała.

Mówiła to wszystko z suchymi oczami, z pobladłą, poważną twarzą.

- Potem przyszli tu i zaczęli bić mnie. W końcu jednak sobie poszli.

- Moją mamę bili kiedyś na gestapo - powiedział Srulik.

- Przypuszczam, że zostawili mnie tu jako przynętę, i mam wrażenie, że czasem obserwują dom, żeby sprawdzić, kto do mnie przychodzi - ciągnęła. - Dlatego staram się

ciebie ukrywać. Nie możesz wychodzić na dwór i zbliżać się do okien ani w ciągu dnia, ani wieczorem, kiedy w domu jest jasno. Nikt nie powinien zauważyć cię przez okno. Niestety - dodała z żalem - nie możesz u mnie zostać. Boję się, że znowu przyjdą szukać mojego męża albo synów, i wtedy cię zabiją.

W kuchni kobieta podniosła klapę, wyglądającą jak zwykły kawałek podłogi z desek, pokazała mu piwniczkę na warzywa i prowadzącą w dół drabinkę.

- Jeśli coś się stanie, schowasz się tutaj - powiedziała.

Srulik pomagał jej ozdabiać malutką choinkę, którą przyniosła do domu. Wieczorem zapaliła na drzewku kilka świeczek, a Srulik patrzył z progu swego pokoiku, jak długo klęczała, modląc się i bijąc w piersi.

Nazajutrz wystraszył się, bo kobieta włożyła mu na głowę czapkę.

- Nie - uspokoiła go. - Jeszcze nie czas.

Miał tylko wejść do małego pokoiku, zamknąć drzwi i zapukać, a gdy mu otworzyła, wejść do głównej izby, zdjąć czapkę i powiedzieć:

- Pochwalony Jezus Chrystus.

I wysłuchać odpowiedzi: - Na wieki wieków amen.

Powtórzyli tę scenkę kilkakrotnie, aż kobieta pochwaliła go:

- Doskonale. Teraz powiedz mi, co odpowiesz, gdy ktoś cię zapyta: skąd jesteś? Gdzie twoi rodzice? I tym podobne pytania.

- Nie wiem.

Posadziła go przed sobą i opowiedziała mu historię.

- Urodziłeś się w małej wiosce. Nie pamiętasz jej nazwy. Nie wiesz też, ile masz lat. Ale pamiętasz, że pewnego dnia twój ojciec zaprzągnął konie, załadował bagaże, wsiedliście na wóz we troje, ty i rodzice, i pojechaliście.

- Nie miałem braci ani sióstr?

- Nie - odparła. - Byłeś pierwszym i jedynym dzieckiem.

- U nas jestem najmłodszy - powiedział.

- Jechaliście - ciągnęła - a na drodze było wiele innych ludzi z wozami i końmi, żołnierze i samochody. Nie pamiętasz, jak długo byliście w podróży. Pamiętasz tylko, że nagle rozległ się straszny huk. Nisko nad wami leciał samolot, usłyszałeś bardzo głośny terkot i długa seria strzałów trafiła w wóz i konia. Twoi rodzice upadli i nie ruszali się. Nie odpowiadali, kiedy wołałeś. Ich ubrania stały się czerwone i mokre. Obcy ludzie wzięli cię do swojej wsi. Nie pamiętasz, jak długo u nich byłeś. Ale gospodarz pił i bił cię, aż w końcu uciekłeś. Od tamtej pory tułasz się od wsi do wsi. Zapamiętasz?

- Nie.

Dzień po dniu opowiadała mu tę samą historię. Powiedziała, że nie musi pamiętać wszystkiego co do słowa. Musi tylko wiedzieć. Kiedy ktoś zapyta, skąd jest i gdzie są jego rodzice, zwyczajnie odpowie, jakby cała ta historia wydarzyła się naprawdę.

Pewnego dnia zapytała niespodziewanie:

- Skąd jesteś?

- Nie pamiętam.

- Gdzie twoi rodzice?

- Zginęli na wozie, zabici przez samolot.

- Ile masz lat?

- Chyba dziewięć.

- Bardzo dobrze - pochwaliła go. - Teraz nauczę cię, co zrobić, jeśli twoi chlebodawcy zabiorą cię do kościoła.

- Nie mam chlebodawców.

- Ale będziesz miał.

Wyjaśniła, co trzeba robić, kiedy się wchodzi i wychodzi. W gruncie rzeczy, powiedziała, musi obserwować, co robią ludzie, i zachowywać się dokładnie tak samo.

Kilka dni po tej rozmowie kobieta obudziła go rano i oznajmiła, że muszą się pożegnać. Ma odejść, wyruszyć do innej wsi, bo u niej ktoś go wypatrzył. Słyszała głosy i kroki po śniegu, nie mogła spać całą noc. Obszyła mu obcięte końce rękawów i pomogła włożyć marynarkę, chociaż nie potrzebował pomocy. Dała mu prowiant na drogę i powiedziała:

- Jeśli znajdziesz się kiedyś w wielkich kłopotach, możesz tu wrócić. A jeśli nie dasz rady tu dotrzeć, idź do najbliższego kościoła i poproś o pomoc księdza.

Przyglądała mu się przez chwilę i dodała:

- Masz wiele wdzięku, Jurku. Ludzie będą ci pomagać.

Srulik przyjrzał się pięknej pani. Nie wydawała mu się biedna, tylko smutna i bardzo samotna. Czy smutni i samotni ludzie także pomagają innym, nie tylko biedni i księża?

Przez kilka tygodni spędzonych w jej domu wyzdrowiał i wzmocnił się, a nawet trochę przytył. Kiedy rankiem wyszedł na zaśnieżony świat, czuł się nie tylko silny i zdrowy na ciele, lecz bardziej pewny siebie. Nareszcie wiedział, co robić, jak się zachowywać. Od tej chwili nie będzie dłużej Srulikiem, lecz Jurkiem Staniakiem. Żeby upewnić się, że naprawdę nim jest, dotknął krzyżyka i medalika na szyi.

Odległości między wsiami nie były wielkie. Najczęściej jedną wioskę od drugiej

oddzielało tylko kilka kilometrów. Maszerował dwie lub trzy godziny po zaśnieżonej drodze, aż doszedł do następnej miejscowości. Wybrał duże, bogate z wyglądu obejście i zapukał. Drzwi się otworzyły, a twarz owiało mu ciepłe powietrze. Jurek Staniak zdjął czapkę i powiedział dźwięcznie: - Pochwalony Jezus Chrystus.

Natychmiast rozległa się zwyczajowa odpowiedź i zaproszono go do środka.

8. Korzyści z bicia. Jezus też był Żydem.

Rodzina Wróblów siedziała właśnie przy stole i gospodarz zaprosił go, by się do nich przyłączył. Kobieta nałożyła na talerz ziemniaki i jajecznicę. Jurek nie zapomniał - zanim zabrał się do jedzenia, przeżegnał się. Wszyscy jedli w ciszy, słychać było jedynie cmokanie, mlaskanie i brzęk łyżek o blaszane naczynia. Kiedy zajął do talerza siedzącego obok jasnowłosego chłopca, około dwunastoletniego, dostrzegł także kawałki mięsa. Po skończonym posiłku gospodarz zwrócił się do niego:

- Co cię sprowadza, chłopcze?
- Szukam pracy.
- Jak masz na imię?
- Jurek Staniak.
- Co umiesz robić?
- Wszystko, co trzeba.
- Z jakiej jesteś wsi?
- Jurek wzruszył ramionami. Jak to nie wiesz?

Jurek opowiedział historię o samolocie, który przelatywał nisko nad ich wozem.

- Mama i tata nie odzywali się. Tylko leżeli. Konie też nie żyły. Na początku wzięli mnie jacyś ludzie do swojej wsi. Ale gospodarz mnie bił, więc uciekłem. Od tamtej pory chodzę po wsiach. Jak mnie ktoś bije, idę dalej.

- Biedny sierota - ulitowała się kobieta.

- Pewnie byliście wśród tych, co starali się uciekać na wschód, jak wybuchła wojna - stwierdził gospodarz.

Jurek skinął głową.

- Pewnie tak - przytaknął.

- Możesz pracować u nas - zaproponował gospodarz. - Będziesz spał w oborze albo w chlewiku i dostaniesz jedzenie.

Mateusz Wróbel był dużym, grubym, łysym mężczyzną, natomiast jego żona Mania - szczupła i przygarbiona, o pomarszczonej twarzy i dłoniach, na których lata ciężkiej pracy fizycznej odcisnęły swoje ślady. Przy stole siedział też młody mężczyzna i chłopiec, który przysłuchiwał się z ciekawością rozmowie. Obaj bardzo podobni do matki.

W pierwszych tygodniach Jurek zajmował się świniami. Robił to chętnie. Świnie dostawały na ogół gotowaną karmę z pełnoziarnistej mąki i ziemniaków, często im ją

podjadał. Z czasem przypadło mu w udziale także karmienie krów przed dojeniem i karmienie owiec, jeśli nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Ale końmi zajmowali się wyłącznie ojciec ze starszym synem. Jurek bał się koni, lecz jednocześnie przy każdej okazji zachodził do stajni i przyglądał im się z podziwem. Miał ochotę podejść bliżej i ich dotknąć. Nie tylko z ciekawości. Odkąd chłop wyciągnął go z wozu z odpadkami i wywiózł z getta na koniu, Jurek żywił wobec nich specjalne uczucia. Wielkie i ciepłe ciało, galopujące pod nim, zapach i dotyk skóry porośniętej króciutką, delikatną sierścią wryły mu się głęboko w pamięć. Franek, młodszy syn, który zobaczył go przychodzącego do stajni i zauważył jego pełne podziwu spojrzenia, zagadnął kiedyś:

- Chcesz nauczyć się jeździć konno?

- Tak - ucieszył się Jurek.

- Zawołam cię kiedyś, gdy będę jechał z końmi do rzeki, i wtedy cię nauczę - obiecał Franek.

Pewnego dnia gospodarz przypatrywał mu się przy pracy, kiwając z zadowoleniem głową.

- Ile masz lat?

- Chyba dziewięć.

- Gdybym cię uderzył, poszedłbyś szukać innego miejsca?

Jurek się uśmiechnął.

- Kiedy ja miałem dziewięć lat, posłano mnie do pracy w majątku. Wracalem do domu tylko na niedziele. Było nas jedenaścioro. Za każdym razem, kiedy rodziło się nowe dziecko, trzeba było zwolnić miejsce, i każdego, kto skończył dziewięć lat, wysyłano do pracy.

Potem opowiedział Jurkowi, ile krów, owiec i koni miał, zanim przyszli Niemcy i zabrali mu zwierzęta.

W dni powszednie gospodarz był człowiekiem pogodnym i spokojnym. Klepał Jurka po ramieniu i odnosił się życzliwie do wszystkich zwierząt, nie tylko koni. Ale w niedziele, kiedy wracał do domu pijany, zmieniał się w dziką bestię. Najczęściej działo się to po pijaństwie, które trwało od sobotniej nocy do świtu. W chałupie nagle rozlegały się krzyki, łomot rozbijanych naczyń i trzaskanie drzwi. Jeśli starszy syn, Wiktor, był w domu, interweniował i stawał w obronie matki. Gospodarz, wyrzucony na dwór, wyładowywał gniew na zwierzętach, kopał krowy idące od udoju, razami i kopniakami przeganiał świnię od koryta. Jeśli udało mu się dorwać Franka albo Jurka, wymierzał im policzki, ciągnął za uszy i przeganiał kopniakami w tylną część ciała. W poniedziałek zaś wychodził z chałupy z umęczonym wyrazem twarzy, nieogolony, niechlujnie ubrany, szukał Jurka i wypytywał:

- Ile razy wczoraj ode mnie oberwałeś?

Jurek liczył i za każdy policzek dostawał złotówkę. W każdy poniedziałek po pracy szedł do wiejskiego sklepiku i kupował sobie coś słodkiego. Raz czy dwa poprosił także o pudełko zapalek. Pamiętał, jak bardzo ich potrzebował, gdy mieszkał w lesie, więc postanowił gromadzić je na wszelki wypadek.

Pewnego dnia Franek usłyszał, jak ojciec pyta Jurka o policzki, a gdy odszedł, powiedział:

- Nie bądź głupi, dodaj jeszcze kilka. Mnie też płaci. Inaczej uciekłbym, kiedy zaczyna nas bić. Ale tak się opłaca.

Jeszcze tego samego dnia wybrali się razem do sklepiku. Matka ujrzała syna i Jurka w powrotnej drodze, jak szli, zjadając słodycze.

- Widzisz - powiedziała. - Zawsze chciałeś mieć młodszego brata. Teraz masz.

Potem zwróciła się do Jurka:

- Dlaczego nigdy nie chodzisz bawić się z dziećmi?

- Gdzie?

- Franek ci pokaże.

Franek zaprowadził Jurka na pusty teren za ostatnimi domami we wsi, który latem służył do gry w piłkę. Gromada dzieci w różnym wieku, od całkiem małych do chłopców w wieku Franka, stała w kręgu wokół dwóch chłopców, z których każdy trzymał bat i siekł nim drugiego jak szalony. Jurek nigdy w życiu nie widział takiej zabawy. Razem z Frankiem przyłączył się do widzów i przedstawienie trwało, aż jeden chłopiec oznajmił, że się poddaje. Tymczasem wiele spojrzeń skierowało się na Jurka.

- Kto to?

- Pracuje u nas.

- Chodź, zobaczymy, co potrafisz.

Jurek bał się, że będzie musiał wziąć udział w zawodach w biciu batem, ale okazało się, że aby dołączyć do gromady, musi wykazać się sprawnością w zapasach. Zebrani wybrali chłopca, który wydawał się odpowiednim przeciwnikiem, lecz Jurek szybko go pokonał. Wtedy musiał zmierzyć się z większym chłopcem. Siłowali się dłuższą chwilę, tarzając się po ziemi przy akompaniamencie zachęcających okrzyków widzów. Z początku wszyscy oprócz Franka kibicowali miejscowemu chłopcu, ale niezłomna postawa Jurka wywołała zdumienie i sympatię wielu dzieci. Na koniec uznano, że poprzestaną na remisie.

Od tego dnia Jurek co jakiś czas chodził bawić się z dziećmi. Czasem dołączał do niego Franek. Świetnie radził sobie z grą w piłkę, unikał natomiast udziału w zawodach z

batem, choć robił to, gdy nie miał innego wyjścia.

Chłopcy lubili także urządzać zawody w pluciu albo siusianiu. Plucie nie sprawiało Jurkowi problemu, czego nie można było powiedzieć o siusianiu na odległość. Starał się zasłaniać członek rękami, chociaż i tak nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy patrzyli przed siebie, by zobaczyć, kto zwyciężył. Kiedy chłopcy ścigali się w bieganiu, okazało się, że Jurek jest mistrzem. Nikt nie zdołał go prześcignąć.

- Jutro przyprowadzę starszego brata - oświadczył jeden chłopiec. - I wtedy zobaczymy.

Nazajutrz istotnie przyszedł z bratem. Na ziemi nakreślili linię startu i mety, a potem wszyscy stanęli wokół, przejęci i zaciekawieni. Ktoś dał sygnał gwizdkiem i biegacze ruszyli. Jurek wygrał, a starszy chłopak, upokorzony, kopnął go.

- Ty żydku!

Franek i jego koledzy zaprotestowali.

- Ty, Zygmunt - ostrzegł Franek. - Jeśli będziesz tak na niego mówił, to powiem bratu i on się z tobą policzy.

Zygmunt rzucił przekleństwo i odszedł. Ale nie zapomniał obrazy.

Z nadejściem wiosny, gdy ojciec z synami mieli zacząć orkę i siew, Jurek otrzymał zadanie wyprowadzania krów na pastwisko. Na początku towarzyszył mu Franek, który już pierwszego dnia zaprezentował mu swoją procę i umiejętności strzeleckie. W krótkim czasie upolował dwie kuropatwy.

Jurek naznosił gałązek i ułożył je na ognisko, ale Franek rozrzucił je i popatrzył na kolegę z politowaniem.

- Głupi, ja cię nauczę.

Franek poszedł do pobliskiego lasu, przyniósł stamtąd drobne gałązki i suche sosnowe igły oraz grubsze gałęzie. Z drobnych gałązek zbudował lekką konstrukcję, pod spód wepchnął suche igliwie i wyciągnął z kieszeni zapalki. Niebawem zapłonęło wesołe wielkie ognisko. Jurek przyniósł z pobliskiego pola glinę i upiekli kuropatwy w popiele, jak robią to wszystkie wiejskie dzieci.

- Chciałbym zrobić sobie procę. Nauczysz mnie?

- Sprzedam ci moją - zaoferował Franek. - Mam w domu jeszcze dwie.

- Ile za nią chcesz?

- Dziesięć złotych - powiedział Franek. - Zarobisz tyle w dwie albo trzy niedziele.

Jurek był wdzięczny. Kiedy kupił od Franka procę, ćwiczył bez wytchnienia, starając się strzelać do wszystkiego, żywego lub nie, na razie bez większego sukcesu.

Franek nie zapomniał o dawnej obietnicy. Pewnego ranka, gdy zrobiło się ciepiej, zaproponował, by pojechali razem nad rzekę z końmi.

- Bez siodła? - zapytał Jurek.

- No przecież! Nie kąpie się koni z siodłem. Chodź, pomogę ci wsiąść. Ta klacz jest łagodna i spokojna.

Jurek siedział na grzbiecie i rozglądał się za czymś, czego mógłby się przytrzymać.

- Złap się grzywy!

Franek wskoczył na drugiego konia i ruszyli. Kiedy Jurek otrząsnął się ze strachu spowodowanego wysokością i brakiem stabilności, poczuł się szczęśliwy.

Nad rzeką wprowadzili wszystkie trzy konie do wody. Zwierzęta weszły chętnie, zadowolone z przyjemności. Chłopcy wskoczyli za nimi i Franek wyciągnął z torby kłęb szmat.

- Masuj dokładnie klacz - powiedział. - Ona to lubi.

To nie była lekka praca, ale kiedy obaj wracali do domu na końskich grzbietach, Jurka przepełniała duma.

Od tamtej pory Mateusz Wróbel pozwalał mu od czasu do czasu jeździć na klaczy na pastwisko, zawsze na oklep, ale z uzdą i wędzidłem, żeby bez problemu mógł skierować ją do domu.

Dopóki nie potrafił upolować kuropatwy jak Franek, wrywał włosy z końskiego ogona i zakładał na łące siodła. Za każdym razem, gdy kładł pętlę w trawie, myślał o warkoczach Marysi, o jej spódnicy, grze w kamienie i o jej zwinnych palcach. Wiesz, dlaczego jestem dla ciebie dobra? To zdanie ogrzewało mu serce za każdym razem, gdy rozbrzmiewało w jego pamięci.

Zygmunt, który swego czasu przegrał z Jurkiem wyścig, nie zapomniał obrazy i czekał na okazję, by zemścić się na młodszym chłopcu. Pewnego dnia przechodził obok bawiącej się gromadki, gdy trwały zawody w siusianiu. Przystanął i zaczął się przyglądać. Jurek nie zauważył go i stanął ze wszystkimi w rzędzie. Zygmunt podszedł bliżej i zanim Jurek się zorientował, co zamierza, chwycił go za ręce i odsłonił członek.

- Żydek! - krzyknął. - Wiedziałem! Wiedziałem! Teraz pójdiesz ze mną. Niemcy ucieszą się, jak cię zobaczą!

Jurek wyrwał się i uciekł. Zygmunt ruszył za nim w pogoń, ale szybko się zmęczył i pospieszył zaalarmować ojca.

Jurek pobiegł do domu. Mateusz Wróbel z synami naprawiał na podwórku wóz. Jurek opowiedział im, co się stało.

- Zygmunt? - zapytał Wiktor. - Znamy jego rodzinę.
- Oszukałeś nas - powiedział ojciec. - Naraziłeś na niebezpieczeństwo nas wszystkich.
- Nie miał wyjścia - wstawił się za nim Franek.
- Milcz.
- Franek ma rację - wtrącił się Wiktor.
- Przecież ciężko dla nas pracował. Przez rodzinę Zygmunta wydasz go teraz

Niemcom? - zaprotestował Franek.

- Nie - odparł ojciec. - Masz rację, Franku. Zawołaj matkę.

Tymczasem Jurek wszedł do obory, wziął swoją wielką marynarkę i chlebak, a w nim buty, które dostał od pięknej pani.

Kiedy wrócił, gospodyni również stała na podwórzu. Przyniosła prowiant na drogę, który zapakowała mu do torby.

- Niech Jezus Chrystus cię strzeże.
- Czemu miałby go nie strzec - powiedział Wiktor. - On też był Żydem.

Ojciec rzucił z gniewem młotek na deski wozu.

- Co ty wygadujesz, grzeszniku! Będziesz smażyć się w piekle!

- Tam się spotkamy, tato - odgryzł się syn.

- Przestańcie - prosiła matka. - Pożegnajcie się z chłopcem. Biedny sierota.

Franek i Wiktor odprowadzili go spory kawałek poza granice wsi. Obawiali się, że Zygmunt z ojcem spróbują schwytać go po drodze. Jeszcze zanim odeszli, Jurek obejrzał się za siebie i z żalem patrzył na domy. Myślał już, że znalazł gospodarza, u którego zostanie do końca wojny.

9. Wierny przyjaciel. Brzytwa księdza.

Nowych chlebobawców Jurek znalazł przypadkiem w dniu, w którym wyszedł z lasu i kroczył drogą, szukając kamyków do procy. Z daleka zobaczył chłopca obsiewającego pole. Mężczyzna szedł, z każdym krokiem wyjmując garść ziarna z płóciennego worka przewieszzonego przez ramię, i sypał złociste ziarno zamasyście, miarowo, w jednym rytmie, jakby odprawiał jakiś święty rytuał. Jurek podszedł bliżej, usiadł i przyglądał się, zafascynowany. W południe od strony wsi nadeszła kobieta, która przyniosła mężowi posiłek. Jurek podszedł do rolników i pozdrowił ich.

- Głodny jesteś, chłopcze?

Skinął głową.

- Poczęstuj się.

Jurek przeżegnał się i usiadł do jedzenia. Po krótkiej rozmowie kobieta zwróciła się do męża:

Józef Wapielnik szuka pastucha. Może zabiorę chłopca do wsi?

Mężczyzna przytaknął skinieniem głowy.

Jurek poszedł z żoną rolnika. Wieś leżała u stóp niewielkiego wzgórza, na którym stały ruiny jakiejś starej ogromnej budowli, pozostałości twierdzy albo zamku. Kobieta zaprowadziła go do dużego zadbanego obejścia i zapukała do drzwi. Z domu wyszedł mężczyzna o ponurym spojrzeniu.

- Panie Józefie, pan szuka nowego pastucha. Przyprowadziłam kogoś.

Chłop przyjrzał się badawczo Jurkowi.

- Wezmę cię na próbę. Jak ci na imię?

- Jurek Staniak.

Chłop polecił mu poczekać na podwórzu, wyciągnął taczki pełne karmy dla świń i posłał go do chlewu. Kiedy Jurek skończył karmić świnię, zastał gospodarza siedzącego przed domem.

- Będziesz spał w stodole - oznajmił. - A jutro rano pójdziesz z krowami.

- Dobrze, proszę pana.

Chłop zaprowadził go do stodoły i wskazał rozłożony w kącie koc. Ktoś spał tutaj wcześniej, zrozumiał Jurek. Kiedy został sam, wytrzeptał koc i usłyszał, jak coś upada obok jego nogi. Schylił się i podniósł metalowy przedmiot, składany nóż o jednym ostrzu. Otworzył go. Koniec był złamany. Natychmiast go rozpoznał. Nóż Josele. Był tutaj przed

nim? Co się z nim stało? Jurek nie odważył się zapytać o to gospodarza. Pomyślał, że może zrobi to za jakiś czas.

Józef Wapielnik miał niezmiennie zagniewany wyraz twarzy. Jego malutka i brzydka żona była energiczna i wiecznie zajęta. Mieli trzy dorosłe córki. Dwie z nich zajmowały się gospodarstwem i doły krowy razem z matką. Najmłodsza, ładna dziewczyna, przeniosła się do pobliskiego miasteczka i czasem w niedzielę przyjeżdżała z wizytą. W domu było także dwoje dzieci młodszych od Jurka, chłopiec i dziewczynka. Oboje gospodarz rano sadzał na konia i woził do miasteczka do szkoły.

Następnego dnia nowy chlebowdawca zawiózł go na pastwisko na koniu. W stadzie było ponad piętnaście krów i przez cały dzień Jurek musiał wciąż biegać i pilnować, żeby zwierzęta nie wtargnęły na pole sąsiada. Kiedy chłop zobaczył Jurka przy pracy, zostawił go samego, ale pojawiał się przynajmniej dwa razy dziennie, by doglądać stada i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Pewnego dnia krowa ocieliła się na pastwisku, a Jurek dokładnie wiedział, co trzeba robić. Gdy gospodarz przyszedł, skinął mu głową - to była największa pochwała, na jaką potrafił się zdobyć. Wziął cielę na konia i zawiózł je do domu, a krowa szła za nimi, mucząc żałośnie.

Jurek nie spotykał się więcej z wiejskimi dziećmi, a jeśli po powrocie z pastwiska nie zlecano mu innych prac, zostawał w obejściu i bawił się z psem, który przyszedł nagle nie wiadomo skąd. Był to duży mieszaniec w białe i czarne łaty, z czarną obwódka wokół oka. Jurek rzucał mu jedzenie, a pies przychodził sypiać obok niego w stodole. Pewnego ranka, kiedy krowy wychodziły po udoju, jedna nastąpiła psu na przednią łapę, która wygięła się tak, że zwierzak nie mógł chodzić. Józef Wapielnik poszedł po siekierę, by go zabić, ale Jurek wziął psa na ręce, uciekł i schował się w stodole. Wyprostował mu łapę, włożył ją między dwie deszczułki i związał paskami płótna. Pies z trudem mógł się poruszać. Jurek karmił go i spał przy nim w nocy. Od czasu do czasu doił odrobinę mleka od jednej z krów i dawał psu. Nazwał go Azor.

W pierwszych dniach Azor nie ruszał się z miejsca. Potem kuśtykał na usztywnionej łapie i co jakiś czas usiłował zdjąć opatrunek. Jurek gniewał się na niego, napominał i wiązał wszystko z powrotem. Minęło kilka tygodni. Kiedy Jurek zobaczył, że zwierzak opiera się na chorej łapie, zdjął łubki, rozmasował sztywną kończynę i pies znowu zaczął się nią posługiwać, choć od tamtej pory kulał.

Azor stał się najlepszym przyjacielem Jurka i chodził z nim wszędzie. Gospodarz zapomniał o nim i gdy pewnego dnia ujrzał Jurka idącego z psem na pastwisko, zapytał

zdziwiony:

- Skąd go wzięłeś?
- To ten pies, którego chciał pan zabić.
- Trochę kuleje, ale nada się do stróżowania.

Od tego dnia chłop wiązał psa na noc na łańcuchu przed domem, ale pozwalał Jurkowi spuszczać go w dzień. Tylko w niedziele, kiedy mieli przyjść goście, musiał zostawiać Azora uwiązanego, bo gospodarz był dumny, że ma w gospodarstwie dużego psa stróżującego.

Nowi gospodarze Jurka nie zapraszali go nigdy do domu. Kiedy wracał z pastwiska, jedna z dorosłych córek wynosiła mu talerz z jedzeniem, na ogół ziemniaki ze smalcem i cebulką, a czasem kluski z warzywami. W niedziele dostawał jajecznicę z kiełbasą. Ciągłe chodził głodny. Bał się, że nowy pracodawca będzie niezadowolony, jeśli przyłapie go na czymś innym niż pilnowanie krów, ale pewnego dnia nie zdołał się powstrzymać - zabił dużą kuropatwę i zaraz po tym, jak gospodarz skontrolował pastwisko, rozpałił ognisko i włożył ptaka w węgle. Niestety chłop wrócił niespodziewanie szybko, zastał Jurka przy ognisku i uderzył go mocno batem.

- Stado jest duże - powiedział. - Jeśli jeszcze raz zobaczę cię przy ognisku, natychmiast cię przepędzę.

- Tak, panie Józefie.

Jednak gdy gospodarz oddalił się, Jurek pospiesznie zjadł mięso. Ale nie odważył się zrobić tego więcej.

Wiosna dobiegała końca i w pewną pogodną niedzielę Jurek leżał na pastwisku i bawił się w jedną ze swych ulubionych zabaw. Zdjął koszulę, położył ją w słońcu na desce i czekał, aż wyjdą wszy, a kiedy się pojawiały, kierował nimi żdźbłem trawy, by szły w równym szeregu. Tę, która się wyłamała, od razu rozgniatał.

Podczas tej zabawy położył głowę na ziemi i usnął. Azora nie było przy nim, bo został uwiązany koło domu, jak w każdą niedzielę. Jurek ocknął się, czując ostry ból. Stał nad nim Józef Wapielnik z batem. Obok czekał koń. Jurek zerwał się na nogi i ujrzał krowy pasące się na zagonach marchwi. Chciał pobiec i przepędzić je, ale chłop złapał go i związał mu ręce batem. Chwiał się na nogach i zionął alkoholem. Dwa razy usiłował wsiąść na konia ale za każdym razem spadał. Wreszcie udało mu się jakoś utrzymać i powłókł Jurka za sobą do domu. Na pastwisku został cały dobytek chłopca - chlebak i marynarka.

- Panie Józefie, trzeba wygonić krowy z marchewki! - wołał Jurek, ale chłop go nie słuchał, pogrążony w dziwnym mamrotaniu, które niekiedy przerywały długie wiązanki przekleństw. Kiedy dojechali do gospodarstwa, zsiadł z konia, a właściwie stoczył się na

ziemię, i stojąc na chwiejnych nogach, rozwiązał Jurka, a potem zaczął okładać go rękojęścią bata, trzymając za włosy. Jurek krzychał. Azor ze wszystkich sił szarpał się na łańcuchu, by pobic mu na pomoc. Za trzecim razem łańcuch zerwał się i pies rzucił się na chłopca. Ten puścił Jurka i upadł na ziemię, zasłaniając się przed zwierzęciem ręką i batem.

- Chodź, Azor! - zawołał Jurek, obawiając się, że pies zagryzie Wapielnika, i puścił się biegiem. Azor zostawił chłopca i popędził za nim.

Jurek wrócił na łąkę, zebrał swoje rzeczy i ruszył w stronę lasu.

Kiedy wszedł w mrok między drzewa, poczuł się jak ktoś powracający do miasteczka, którego wszystkie ulice i zaułki zna jak własną kieszeń. Tym razem nie wracał sam, lecz z przyjacielem.

Pierwszej nocy wdrapał się na drzewo, by przenocować jak zawsze między gałęziami, ale Azor zaczął skomleć. Jurek zszedł i położył się obok psa na wyściółce z liści. Znowu zaczął rozmyślać o Josele i jego nożu. Może Josele też uciekł, bo gospodarz go bił. Nigdy nie dowie się, co się z nim stało. Zasnął i śniło mu się, że jakiś ciężar przetacza się po nim i dusi go. Chciał zawołać na pomoc starszego brata, ale nie zdołał wymówić jego imienia. Miał je na końcu języka, ale nie mógł wydobyć go z ust. Krzychał, ale brat nie rozpoznał jego głosu, nie zwrócił na niego uwagi, odszedł i rozplynał się w powietrzu. Jurek wiedział, że jeśli zawoła go po imieniu, natychmiast zawróci, lecz imię zniknęło i obudził się, oddychając ciężko. Azor leżał mu na piersi i lizał go po twarzy. Jurek usiadł i pogłaskał psa po łbie, mokrym od wody. Oblizwał wargi. Chciało mu się pić.

- Znalazłeś wodę? - zapytał.

Azor zamerdał ogonem w odpowiedzi. Jurek chwilę nasłuchiwał. Kiedy usłyszał szmer płynącej wody, dochodzący gdzieś spomiędzy drzew, poszedł szukać strumyka. Przypomniawszy sobie pierwszy dzień w lesie spędzony w towarzystwie żydowskich chłopców. Ile czasu minęło od tamtej chwili? Próbował obliczyć w pamięci. Minęła jedna zima, jedna wiosna i prawie nastało nowe lato.

Wyruszył narwać owoców leśnych na śniadanie. Azor zdziwił się trochę tym, co Jurek zaproponował mu do jedzenia. Jedne smaki odpowiadały jego psiemu gustowi, inne sprawiały, że parskał i otrząsał się. Jurek wybuchnął śmiechem i uściskał go serdecznie.

- Chciałbyś mięsa, prawda?

Azor przechylił głowę na bok, jakby starał się zrozumieć pytanie. Jurek wyciągnął z kieszeni procę i chodził między drzewami z głową uniesioną do góry. Pierwszy ptak zerwał się do lotu w ostatniej chwili, jakby wyczuł niebezpieczeństwo. Ale nieustające ćwiczenia w strzelaniu przyniosły spodziewane efekty i Jurkowi udało się trafić dzikiego gołębia. Ptak

spadł z drzewa i ze złamanym skrzydłem trzepotał się na ziemi, próbując uciec między zarośla. Azor skoczył i schwytał go.

- Przynieś! - polecił Jurek, jak w ich niedawnych zabawach.

Pies popatrzył na niego przebiegle.

- Azor! - Jurek powtórzył głośniejszym głosem.

Pies ustąpił i przyniósł gołębia, ale mięsa z niewielkiego ptaka nie starczyło dla nich obu.

- Lepsze to niż nic - powiedział chłopiec do psa, któremu przypadły w udziale wnętrzności i kostki.

Kiedy jedli, zauważył drugiego dzikiego gołębia, być może partnerkę albo partnera tego pierwszego, i udało mu się trafić także jego. Tym razem najedli się do syta.

Nazajutrz Azor przepadł nieoczekiwanie wśród zarośli, potem wrócił i znowu zniknął. Jurek nasłuchiwał przez chwilę i usłyszał dziwny szmer, jakby ktoś potrząsał gałęziami. Poszedł za Azorem i odkrył zająca wiszącego za łapę w sidłach. Rozluźnił pętlę i wyjął zwierzę, które wydawało przyprawiające o dreszcze piski. Bał się, że hałas może zaalarmować leśniczego albo właściciela sidła, albo kogoś jeszcze gorszego. Musiał szybko zabić zwierzę. Zrobił to z zamkniętymi oczami. Na wszelki wypadek oddalił się stamtąd natychmiast i tym razem rozpałił ognisko dopiero pod wieczór. Pociął mięso na kawałki i upiekł je nad ogniem. Azor zjadł wszystkie resztki. To była królewska uczta. Pozostałościami żywili się przez cały następny dzień.

Jurek doskonalił umiejętności łowieckie. Udało mu się zabić jeszcze małego zająca, wiewiórkę, a raz, kiedy doszli do zarośniętego trzcinami jeziora, po kilku próbach trafił w łeb pływającą tam sporą kaczkę.

- Azor, przynieś!

Pies bez wahania rzucił się do wody i zaaportował zdobycz. Kaczka wystarczyła im na trzy dni. Kiedy jednak pewnego razu Jurek zabił i upiekł sójkę, nie dał rady jej zjeść, nie tylko ze względu na twarde mięso, lecz także okropny zapach. Dał większość Azorowi, ale pies również jadł niechętnie.

Nie byli w lesie sami. Azor ostrzegał go groźnym warczeniem za każdym razem, gdy wyczuwał ludzi, a może dziki. Czy działo się to w dzień, czy nocą, Jurek chwytając psa za pysk, zaciskał mu szczękę oburącz i szeptał:

- Ciii!

Azor uciszał się. Po każdym takim spotkaniu z człowiekiem albo groźnym zwierzęciem, które rozpoznać mógł tylko pies, Jurek zaszywał się na jakiś czas w głębszej

gęstwinie. W nocy leżał na swoim stałym miejscu, obejmował psa i pilnował, by się nie odezwał. Niekiedy także Jurek wiedział, kto przechodził w pobliżu. Słyszał przyciszone głosy, chrzęst butów. Może to partyzanci, myślał. Czasami zastanawiał się, czy nie wyjść do nich, chociaż Josele mówił, że partyzanci ich nie potrzebują.

Dzień, w którym wydarzyło się nieszczęście, był pogodny. Blisko południa usłyszeli nagle ludzkie głosy, tupot nóg. Zanim Jurek zdążył złapać Azora i odbiec, prosto na nich wyskoczył duży obcy pies toczący pianę z pyska. Za nim biegli dwaj mężczyźni ze strzelbami. Na widok Jurka zaczęli wołać:

- Uciekaj, to wściekły pies!

Jurek popędził co sił, Azor za nim. W pewnej chwili drogę przegradził im wielki uschnięty pień zwalonego drzewa. Azor przesadził przeszkodę jednym susem, Jurek za nim. Poczul ostry ból w nodze, ale zignorował go i biegł dalej. Odległość między chorym psem a nimi coraz bardziej się zmniejszała. Jurek zatrzymał się, chwycił wielką gałąź i stanął naprzeciw nadbiegającego zwierzęcia. Azor obnażył kły i rzucił się na psa. Jurek nie rozumiał grożącego mu niebezpieczeństwa i usiłował uderzyć obcego psa w łeb. Wtedy nadbiegli ludzie.

- Chłopcze, odsuń się! Musimy go zastrzelić!

- Ale... - zawołał Jurek, wykonując polecenie. Rozległy się dwa strzały.

- Nie! - krzyknął Jurek. - Nie!

Mężczyźni strzelili jeszcze dwa razy. Wściekły pies leżał martwy, Azor konał.

Jurek usiadł na ziemi bez słowa, z bólem w sercu objął Azora. Nie płakał. Jeden z ludzi pogłaskał chłopca po głowie, ale on z gniewem odtrącił jego rękę. Mężczyzna powiedział:

- Twój pies uratował ci życie.

- Ale dlaczego go zabiliście?

- Nie wiesz? Musieliśmy zabić oba. Kiedy człowiek albo zwierzę zostaje ugryzione przez psa chorego na wściekliznę, dostaje szalu i umiera w męczarniach. Teraz rozumiesz? Patrz, twój pies ma kilka śladów po ugryzieniach.

Jurek skinął głową.

- Skąd jesteś?

- Z wioski - powiedział Jurek, wskazując ogólny kierunek.

- Stamtąd? - Mężczyźni spojrzeli w tę stronę. - Tam nie ma żadnej wsi. Coś ci się pomieszało, pewnie jesteś stąd. - Wskazali inny kierunek.

Jurek kiwnął głową.

Stali obok i rozmawiali między sobą. Potem postanowili spalić ciała psów. Jeden zbierał igliwie i gałązki, drugi poszedł po chrust. Jurek wstał, żeby im pomóc, ale nie mógł oprzeć się na nodze.

- Co się stało? - zapytał jeden z mężczyzn.

Jurek usiadł z powrotem i uważnie obejrzał bosą piętę.

- Coś wbiło mi się w stopę, kiedy przeskakiwałem przez drzewo - powiedział.

Pokonał ból i zaczął im pomagać. Obaj mężczyźni byli cały czas czujni.

- Możesz posiedzieć i popilnować ogniska? - zapytali na koniec. - Masz tu dziesięć złotych. My musimy już iść. Ale jeśli jakieś zwierzę zje trochę tego mięsa, zanim się spali, wścieklizna się rozniesie. Rozumiesz?

Jurek rozumiał. Wziął pieniądze.

- W porządku - powiedział.

Siedział przy ognisku, pilnując, by nie wygasło. Dym szczypał go w oczy i wyciskał łzy, które ciekły po policzkach.

Nagle ktoś nad nim stanął. Jurek podniósł głowę. Człowiek uniósł rękę do uderzenia, ale gdy zobaczył, co pali się w ognisku, zatrzymał ją w powietrzu. To był leśniczy, ale nie ten, którego Jurek znał.

- Co tu robisz?

Jurek opowiedział.

- Dwaj mężczyźni ze strzelbami?

- Tak.

- Nie Niemcy? Nie policjanci?

- Nie - powiedział Jurek.

Leśniczy pokiwał głową, zamyślony, po czym zapytał:

- Skąd jesteś?

Jurek wskazał w odpowiednim kierunku.

- Idź do domu - powiedział leśniczy. - Jeszcze spalisz nam cały las. Ja już zajmę się ogniskiem.

Tej nocy Jurek znowu spał na drzewie, przywiązawszy się do gałęzi postronkiem ze spodni. Śnił mu się Azor. Nauczył się wspinać na drzewa i przyszedł spać obok niego. Nagle nie był to już Azor, lecz jego brat Dawid, z którym zawsze spał w jednym łóżku. Ale brat kręcił się i kopał go w nogę, za każdym razem tę samą. Jurek obudził się. Świtało. W dole, w lesie, wciąż panowały głębokie ciemności. Noga bardzo go bolała. Wieczorem z trudem szedł. Po dwóch dniach pięta spuchła i zrobiła się cała żółta, pełna ropy. Nie mógł przebić

ropnia, jak robił to dotychczas z mniejszymi rankami, a bał się przeciąć skórę nożem Joselego. Potrzebował pomocy. Żeby móc iść, ułamał gałąź i podpierając się na niej, pokuśtykał w stronę wskazaną przez dwóch mężczyzn ze strzelbami. Przypomniawszy sobie słowa pięknej pani i doszedłszy do wsi, ruszył ku kościelnej wieży. Obok kościoła stał dom i Jurek zapukał do jego drzwi. Otworzył mu starszy ksiądz. Jurek pozdrowił go, ksiądz dotknął jego głowy, a wtedy Jurek pocałował go w rękę, jak robili wieśniacy i ich dzieci, gdy spotkali proboszcza na drodze.

- Nie jesteś stąd - zauważył ksiądz.

- Nie, ojciec.

- Gdzie mieszkasz?

- Nie mam rodziców i chodzę od wsi do wsi.

- Co mogę dla ciebie zrobić, synu?

Jurek pokazał mu nogę. Ksiądz obejrzał zranioną piętę, wprowadził Jurka do środka, podszedł do szafki i wyjął brzytwę, przeciął grubą skórę na pięcie, wycisnął ropę i oczyścił ranę szmatką, a potem wyciągnął wielki kolec, który wbił się w ciało. Na koniec posmarował piętę maścią i obandażował stopę.

- Marto, przynieś chleb i mleko, mamy gościa!

Starsza kobieta postawiła na stole talerz z dwiema grubymi pajdami chleba ze smalcem i wielki kubek mleka. Jurek już wyciągał rękę, ale zreflektował się, przeżegnał i dopiero wtedy sięgnął po chleb.

Starzał się jeść powoli i grzecznie, ale nie bardzo mu to wychodziło.

Ksiądz siedział i obserwował go życzliwie, co jakiś czas z uśmiechem kiwał głową.

- Ile masz lat, synu?

- Chyba dziewięć - odparł Jurek.

Ksiądz zadał wszystkie zwykłe pytania, a Jurek odpowiadał. Skończywszy jeść, zapytał:

- Może ktoś tutaj szuka chłopca do pracy?

- Popytaj w tym wielkim domu. Pokażę ci.

Ksiądz wyszedł z nim na podwórko.

- Tam, na końcu drogi - wskazał. - A jeśli zostaniesz we wsi, odwiedź mnie.

- Dobrze, ojciec.

Ksiądz pobłogosławił go i Jurek pokuśtykał, wsparty na kiju. Minął grupkę chłopców grających w szmaciankę. Gdyby nie chora noga, chętnie dołączyłby do nich. Przerwali grę i zaczęli go obserwować. Kiedy przechodził obok, usłyszał wymianę zdań:

- Patrz na tego chłopaka z żółtymi włosami. Ja go znam. Bawiliśmy się z nim czasem, kiedy byłem w innej wsi u wujków.

Potem chłopiec dodał coś szeptem.

- Niemożliwe - zaprotestował inny. - Widziałem, jak wychodził od księdza.

- Mówię ci - upierał się pierwszy chłopiec.

Jurek nie przyspieszył kroku. Dopiero gdy dotarł na skraj pola, pomagając sobie kijem, poszedł tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to chora noga. Co jakiś czas oglądał się za siebie, ale nikt go nie gonił.

Po raz pierwszy usłyszał, że nie mówią o nim „ten rudy”. Stał się chłopcem „z żółtymi włosami”. Nie miał pojęcia, że czupryna wypłowieła mu na słońcu.

10. Palisz? Zdradliwe bagno.

Jurek zrozumiał, że w okolicy już go znają, więc postanowił przejść na drugi brzeg Wisły i poszukać szczęścia w innych stronach. Kiedy zagoiła mu się noga, opuścił las i ruszył przed siebie drogą. W pewnej chwili obok przejechał wóz załadowany workami z pszenicą. Gospodarz z żoną siedzieli z przodu. Jurek pozdrowił ich i zapytał, czy jadą w stronę Wisły.

- Tak, do młyna.

- Możecie mnie zabrać?

Kobieta przyjrzała mu się badawczo i powiedziała coś do męża.

- Tak - odparł chłop. - Wsiadaj.

Jurek wdrapał się na wóz i położył na workach nagranych w słońcu. Wóz kołysał się ociężale, podskakując na kamieniach. Jurek zasnął i obudził się dopiero, gdy wóz stanął. Podniósł powieki. Nie znajdował się na podwórzu młyna nad brzegiem rzeki, lecz przed dużym ładnym domem z drewna z ozdobnie rzeźbionym gankiem. Dom i pobliskie zabudowania otaczało metalowe ogrodzenie, zakończone u góry drutem kolczastym skierowanym na zewnątrz, by nikt nie dostał się do środka. Nigdy nie widział takiego płotu wokół wiejskiego domostwa. To obudziło w nim podejrzenia, ale za późno. Uniósł się i zobaczył za sobą zamkniętą bramę i niemieckich wartowników.

Dom służył jako kwatera gestapo.

Chłop chwycił go i zaprowadził do środka. Stojący przy wejściu żołnierz zamknął za nimi drzwi. Chłop puścił Jurka i wszedł do jednego z kantorków. Żołnierz wskazał ręką w stronę kuchni i polecił po niemiecku, by Jurek tam poszedł. W kuchni przyjęła go polska kobieta. Nie zadawała pytań, posadziła go przy stole i postawiła przed nim wielką miskę pełną mięsa i ryżu. Przeżegnał się i zaczął jeść łapczywie, aż skończył wszystko, po czym westchnął z ulgą.

- To była porcja dla dwóch dorosłych mężczyzn - powiedziała kobieta ze śmiechem, gdy zabierała pustą miskę.

Jurek wstał i wyjrzał przez okno. W niewielkiej odległości rozciągał się las.

- Proszę pani, czy jest tu droga do lasu?

- Widzisz tę szopę? - Wskazała drewniany budynek za oknem. - Za nią jest ścieżka, która prowadzi prosto do lasu.

Wyjrzał na korytarz sprawdzić, czy uda mu się wymknąć, lecz żołnierz, który siedział

przy drzwiach, zauważył go. Podszedł, chwycił Jurka za ramię, poprowadził w dół schodami i zamknął w piwnicy, która była zalana wodą po kostki. Z wody wystawało kilka połamanych drewnianych skrzynek i Jurek sporządził sobie z nich miejsce do siedzenia. Po dłuższym czasie drzwi znowu się otworzyły i ten sam żołnierz dał mu znak, by wyszedł. Poprowadził go na górę i zapukał do jednego z pokojów. Padła odpowiedź po niemiecku:

- Wejść!

Żołnierz wprowadził go do środka, zsalutował i wyszedł.

Jurek stanął w dużym pomieszczeniu przed długim stołem, za którym siedział młody przystojny oficer o blond włosach. Jego mundur ozdabiały rozmaite naszywki, a na leżącej na stole czapce pod niemieckim orzełkiem ze swastyką widniała czaszka. Na ścianie za biurkiem wisiał wielki portret Hitlera. Oficer ze znudzoną miną przyjrzał się bosemu chłopcu w łachmanach, potem podniósł się i podszedł do Jurka. Zwrócił się do niego łamaną polszczyzną z obcym akcentem:

- Jak się nazywasz?

- Jurek Staniak.

- Jesteś Żydem?

- Nie.

Niemiec uderzył go w twarz.

- Gdzie mieszkasz?

- We wsiach, wszędzie, gdzie znajdę pracę.

- Gdzie twoi rodzice?

- Zginęli na początku wojny.

- Jak?

Jurek opowiedział swoją historię.

- Od tamtej pory się włączysz?

- Nie. Najpierw jacyś ludzie wzięli mnie do siebie. Ale gospodarz pił często i bił mnie.

Uciekłem. Chodzę po wsiach. Jak nie biją, zostaję.

- Ile masz lat?

- Chyba dziewięć.

- Kiedy ktoś zbił cię po raz ostatni?

- Przed chwilą, pan. Niemiec się roześmiał.

- Nie mam na myśli jednego uderzenia w twarz.

- Może miesiąc temu.

- Dlaczego?

- Bo krowy weszły w marchew.

- I wtedy uciekłeś?

- Tak, do lasu, z moim psem.

- Miałeś psa?

- Tak.

- I gdzie on jest?

- Chłopi zabili go razem z innym psem, wściekłym. Jurek pociągnął nosem.

- Jak?

- Zastrzelili.

- Zastrzelili? - Niemiec uniósł brwi. - Gdzie to było dokładnie? Jurek wzruszył ramionami.

- Nie wiem. W lesie.

- Jesteś Żydem?

- Nie.

- Umiesz się przeżegnać? Przeżegnał się.

- Umiesz się modlić?

Jurek wyrecytował wszystkie wyuczone modlitwy.

- Dobrze, ale i tak ci nie wierzę - powiedział Niemiec. - Rozbierz się!

Jurek zdjął ubranie i stanął nagi, zasłaniając intymne części ciała. Niemiec uderzył go linijką w rękę, odsunął je na bok i zapytał:

- A to co?

- Miałem tam skaleczenie, jak byłem mały, i zrobili mi zabieg.

- Nie. To znak Żydów.

Niemiec mocno uderzył go w twarz.

- Nie jestem Żydem - upierał się Jurek.

- Dobrze, ubieraj się - polecił oficer.

Jurek posłuchał.

- Bystry z ciebie chłopak i szkoda, że jesteś Żydem - orzekł Niemiec. - Chodź ze mną.

Poprowadził go przed sobą do drzwi wyjściowych, a stamtąd na podwórko. Chodził tam i z powrotem, a Jurek obok niego. Potem wyciągnął połączoną papierośnicę i wyjął papierosa. Podał otwartą papierośnicę Jurkowi.

- Palisz?

- Nie.

Niemiec zapalił papierosa i nie odezwał się więcej. Chodzili dalej, a oficer co jakiś

czas wydmuchiwał dym prosto przed siebie. Jurek zauważył, że jego prawa ręka powoli sięga do kabury z pistoletem. Chłopiec skoczył i jak strzała wystrzelona z łuku popędził prosto za szopę, okazało się jednak, że kobieta w kuchni nie zrozumiała pytania. Co prawda, była tam dróżka prowadząca do lasu, ale nie wspomniała o płocie, który otaczał całe obejście, przegradzając także ścieżkę. Nie zwolnił i z impetem wskoczył na płot, ze zwinnością dzikiego zwierzątka wspiął się na niego i dotarł do drutu kolczastego na szczycie. Dwa pierwsze strzały rozległy się, gdy był na górze. Kula gwizdnęła mu koło ucha, druga zadrasnęła ramię. Przeskoczył nad drutem kolczastym, spadł na ziemię z drugiej strony i popędził dalej. Za nim rozległy się jeszcze trzy strzały. Po pewnym czasie usłyszał ryk pędzącego motocykla i szczekanie psów. Obejrzał się i zobaczył w oddali pojazd podskakujący na wertepach, ale jeszcze bliżej byli dwaj Niemcy ścigający go konno z psami. Znalazł się już w lesie i biegł dalej tak szybko, na ile pozwalały mu długie nogi. Nagle doleciała do niego wilgotna woń mokradeł. Przypomniał sobie słowa ojca i skręcił w tę stronę. Po chwili grunt zaczął zapadać mu się pod stopami. Jurek chwycił zwisającą nisko gałąź i przyłgnął do bagnistej ziemi, schowany wśród drzew. Powoli pogrążył się w błocie razem z roślinami, na których leżał, aż na powierzchni została tylko głowa i ręce trzymające z całej siły gałąź.

Pierwsze nadbiegły psy, lecz ominęły bagno i skierowały się w inną stronę. Potem pojawiły się konie. Jurek nie widział, co się dzieje, lecz z krzyków i przekleństw zorientował się, że Niemcom z wielkim trudem udało się wyprowadzić wierzchowce na twardej grunt. Przez pewien czas słyszał jeszcze ich głosy, gdy przywoływali psy.

Podciągnął się, by wydostać się na powierzchnię. Gałąź skrzypnęła i Jurek zamarł, przerażony. Kontynuował wysiłki powoli i ostrożnie. Potem poczołgał się na brzuchu, przytrzymując roślin.

11. Kartki żywnościowe. Sieczkarnia.

Znowu minęło kilka tygodni w lesie. Pewnego dnia 133 Jurek postanowił spróbować szczęścia i zakradł się do gospodarstwa w pobliskiej wsi z nadzieją, że znajdzie woreczek z ociekającym serem, a może nawet kurę. Kiedy był na podwórku, z drewnianej wygodki wyszedł gospodarz, który przytrzymał go jedną ręką, drugą zapinając spodnie.

- Co tu robisz?

Jurek nie stracił głowy.

- Szukam pracy.

- Bardzo dobrze - gospodarz na to. - Mój starszy syn poszedł pracować do miasteczka. Młodszy są jeszcze za mali i szukam kogoś do pasania krów.

Gospodarz i jego tęga, uśmiechnięta żona spodobali się Jurkowi. Po kilku dniach nowy pracodawca poprosił Jurka, by poszedł z nim do sołtysa.

- Ciężko się żyje - powiedział. - Niemcy wszystko zabierają. Ale zostawiają w zależności od tego, ile głów jest w domu. Ty przecież też jesteś głową - roześmiał się.

- Jedziemy wozem? - zdziwił się Jurek.

- Tak, bo potem trzeba jechać po podpis władz na zezwoleniu.

Udali się do sołtysa, a potem wyruszyli dalej. Jurek położył się na słomie wyścielającej dno wozu i usnął. Obudził się, gdy chłop zatrzymał konia. Usiadł. W pierwszej chwili pomyślał, że przyśnił mu się straszny sen. Nie wiedział, że po podpis władz jedzie się na gestapo. Młody dowódca stał na podwórku i na widok Jurka podszedł prędko z szerokim uśmiechem, złapał go za kołnierz i zestawił z wozu na ziemię.

- Wróciłeś, co? Wiem, że jesteś Żydem. Naprawdę chciałem cię zabić, ale daruję ci życie. Bystry z ciebie chłopak i podobasz mi się.

Oslupiały chłop szybko pocieszył się nagrodą, którą dostał za przywiezienie żydowskiego dziecka, i odjechał. Oficer przekazał Jurka jednemu z żołnierzy. Ten rozebrał go do naga, ogolił mu głowę, umył, dał czyste ubranie i buty.

- Nie mamy dla ciebie mniejszych butów - oznajmił. - Weź szmaty i wypchaj w środku.

- Oddaj mi to, co było w kieszeniach - poprosił Jurek.

Żołnierz wręczył mu procę i szkiełko Marysi, ale nie dał noża.

- A gdzie mój nóż?

- U dowódcy.

Żołnierz zaprowadził Jurka do małego pokoiku ze stołem, krzesłem i dużym oknem wychodzącym na las. Po raz pierwszy w życiu miał własny pokój. Dom był trzypiętrowy i miał piwnice, z których jedną Jurek poznał. Nocami niekiedy dochodziły stamtąd krzyki i jęki. Czasem budziły go te odgłosy i drżał na całym ciele. Rankami panowała cisza, tylko na podwórko wjeżdżał wóz i wyjeżdżał zakryty.

Jurek został służącym oficera. Czyścił jego mundur i polerował buty z cholewami. Z początku Niemiec nie był zadowolony. Wyjaśnił, że but musi błyszczeć tak, by dało się przejrzeć w nim jak w lustrze. Jurek wyspecjalizował się w pucowaniu butów, ale zanim stał się w tym biegły, obrywał policzek za każdą drobinę kurzu, jaką znalazł na nich oficer. W wolnych chwilach przesiadywał w kuchni u polskiej kobiety i jadł. Dzięki temu trochę utył.

- Jesteś żydowskim chłopcem? - zapytała pewnego razu.

- Nie, nie jestem Żydem.

- Ja to wiem, chłopcze. Dowódca mi powiedział.

Jurek milczał.

- Cóż, nie wstydz się. Żyd to też człowiek.

Na potwierdzenie swoich słów wyjęła z szafy wielki kawał czekolady i podała Jurkowi.

Pewnego ranka pod koniec lata oficer wezwał Jurka:

- Weź buty i chodź.

Kiedy wrócił, Niemiec umieścił go razem z psem w przyczepie motocykla i cała trójka wyruszyła w drogę. Dokąd on mnie zabiera?, zastanawiał się Jurek z lękiem. Niemiec wyczytał obawę w jego oczach, uśmiechnął się do siebie, ale nic nie powiedział. Jechali przez pewien czas szosą, potem skręcili na drogę między polami i w końcu dotarli do dużego gospodarstwa.

- Ta wieś nazywa się Kromnów - powiedział Niemiec, gdy wjechali na podwórze.

- Przywiozłem cię do mojej przyjaciółki, będziesz u niej pracować. Sprawuj się dobrze, a wszystko będzie w porządku. Masz, weź swój nóż.

- Dziękuję - powiedział Jurek po niemiecku.

Niemiec zsiadł z motocykla. Naprzeciw mu wyszła młoda kobieta w bluzce z podwiniętymi rękawami i w gumiakach.

- Frau Herman - przedstawił ją oficer. - Piękna żona majstra Hermana - dodał, mrugając szelmowsko.

Jurek nie zrozumiał mrugnięcia. Niemiec zwrócił się do kobiety:

- Przywiozłem ci nowego robotnika. Świetnego robotnika. Popatrz, jak mi wypucował

buty.

Podniósł nogę, by pani Herman mogła się przejrzeć.

Kobieta przyjrzała się Jurkowi.

- Popilnuj psa, dopóki nie wrócę - polecił oficer i oboje z panią Herman oddalili się ze śmiechem.

Jurek został w dużym gospodarstwie. Od tutejszych robotników dowiedział się, że gospodyni jest Polką niemieckiego pochodzenia. Wyszła za mąż za Niemca, który służy w wojsku, i teraz sama zarządza folwarkiem. Dowódca gestapo przywozi jej do pracy ludzi, którzy popełnili jakieś przestępstwo albo byli skazani na grzywnę. Jurek zorientował się bardzo szybko, że tutaj wszyscy muszą się starać. Jeśli ktoś się lenił, pani Herman skarżyła na gestapo i w krótkim czasie przyjeżdżali żołnierze, którzy dotkliwie bili winnego.

Jurek robił wszystko, co mu kazano. Przykładał się do każdej drobnostki i nigdy się nie ociągał. Ale zawsze najbardziej lubił pasać krowy, bo wtedy cały dzień spędzał z dala od surowej gospodyni.

Oficer często odwiedzał gospodarstwo i gdy przyjeżdżał, a Jurek pracował na podwórzu, wołał go, sadzał z psem w przyczepie motocykla i kazał pilnować zwierzęcia, dopóki nie wróci.

- Mogę się z nim pobawić? - zapytał Jurek pewnego dnia po niemiecku.

- Znasz niemiecki?

- Tylko trochę.

- Zapomniałem, że miałaś kiedyś psa. Możesz rzucić mu patyk, a on go przyniesie. Napluj na patyk, zanim rzucisz, a kiedy ci przyniesie, pochwal: dobry pies. Umiesz powiedzieć to po niemiecku?

Jurek powtórzył. - Dobrze. Tęsknił za Azorem.

Nadeszła pora młócki. Gospodarstwo majstra Hermana było wielkie i zmechanizowane. Do młócki używano młockarni na wielkich drewnianych kołach, poruszanej za pomocą kieratu złożonego z kół zębatach na osi i poruszanego przez parę koni chodzących po okręgu. Szeroki długi skórzany pas rozciągał się między kołem zamachowym kieratu i kołem zamachowym młockarni, a ziarna zboża sypały się z niego jak strumień czystego złota.

Jurek dostał długi bat i polecono mu popędzać konie. Był bardzo dumny z tego zadania. Po pierwszym dniu niemal nie potrzebował bata, lecz by podkreślić swój status, machał nim od czasu do czasu, wydając dźwięk podobny do strzału z broni palnej. Dzień po dniu, długimi godzinami, chodził z końmi w koło, w odcisniętych w ziemi koleinach. W

czasie przerwy na obiad zawieszał koniom na szyjach worki z obrokiem i dołączał do reszty robotników na posiłek.

Dzień przed zakończeniem młócki, jakiś czas przed przerwą obiadową, usłyszał nagle za sobą ostrzegawczy krzyk. Przestraszył się. Okazało się, że ciągnący się za nim po ziemi bat dostał się między koła zębate. Razem z nim w maszynę wkręciła się ręka Jurka.

- Zatrzymać konie!

Ktoś podbiegł i chwycił konie za uzdy. Jurek poczuł ból nie do zniesienia. Ktoś pomógł mu wydostać rękę z maszyny. Udało mu się zebrać zmiądzoną dłoń do rękawa, potem skulił się i zemdlał. Co jakiś czas odzyskiwał przytomność i usiłował zorientować się, co się z nim dzieje. Pani Herman siedziała obok niego w pędzącym wozie. Pilnowała, by wstrząsy na wybojach nie uraziły jeszcze bardziej zmiądzonej ręki. Czasami do mroku w jego oczach przenikał błękit i Jurek zdawał sobie sprawę, że patrzy na lekkie chmurki płynące po niebie. Potem znowu zapadał w ciemność.

Jurka odwieziono do szpitala w Nowym Dworze, niedużym miasteczku na prawym brzegu Wisły. Chłopca położono na stole zabiegowym, gdzie umyły go dwie pielęgniarki. Pani Herman poszła do biura zapłacić za leczenie i wróciła, gdy leżał już na stole operacyjnym. Wszedł młody lekarz. Obejrzał rękę, przyjrzał się chłopcu i orzekł:

- Ja go nie zoperuję.

- Dlaczego? - zapytała osłupiała pani Herman.

- Bo to Żyd.

- To nie Żyd! - zaprotestowała. - Przywieźli mi go z gestapo i jestem za niego odpowiedzialna. Musi pan go natychmiast zoperować!

- To żydowskie dziecko - upierał się lekarz.

- Sam pan nie wie, co pan mówi! - wykrzyknęła kobieta. - Zapłaciłam sto pięćdziesiąt siedem marek i dwadzieścia pięć fenigów.

Rozpętała awanturę. Wrzeszczała, płakała, groziła, że sprowadzi gestapo, jeśli chłopcu coś się stanie, i w końcu odjechała.

Lekarz nie dał się przekonać. Nakazał położyć Jurka na noszach, a nosze ustawić na korytarzu.

Jurek leżał w szoku. W chwilach, gdy odzyskiwał przytomność, miał wrażenie, jakby był oderwany od ciała, od bólu. Co jakiś czas ponownie łączył się ze swym ciałem i wtedy tracił przytomność. Czasem otwierał oczy, ale nie potrafił zorientować się, gdzie się znajduje. Jego wargi bezgłośnie szeptały jakieś słowa.

Rano przybył doktor Żurawski, starszy wiekiem chirurg. Widząc Jurka na korytarzu,

zawołał:

- Co zrobiliście z tym chłopcem?! Przecież można było uratować mu rękę!

Pacjenta zawieziono do sali operacyjnej i uszpio. Chirurg musiał amputować rękę nad łokciem ze względu na rozwijającą się gangrenę. Po obudzeniu z narkozy Jurek usiłował unieść rękę i przetrzeć oczy, lecz ujrzał przed sobą tylko krótki, obandażowany kikut. Zaniósł się gorzkim łkaniem. Kiedy zamknął oczy, wydawało mu się, że ręka znów jest cała, od ramienia do końców palców. Czuł także wyraźnie rękojeść bata w dłoni.

W pierwszych dniach po operacji często płakał. Pielęgniarki myły go i karmiły. Ubrany w długą szpitalną koszulę, Jurek długie godziny klęczał przy łóżku, modląc się do Matki Boskiej i Jezusa. Kiedy rano próbował wstać, często padał z powrotem, bo wciąż odruchowo chciał się wesprzeć na prawej ręce. Za każdym razem, gdy usiłował zrobić coś tak jak kiedyś, musiał zmierzyć się z brutalną, nieodwracalną rzeczywistością.

Pewnego ranka obudziła go siostra zakonna. Nachylała się nad nim, mówiąc do niego po imieniu.

- Chodź, Jurku. Usiądź. Przyszłam ci pomóc.

Zabrała go do łazienki i nauczyła myć samemu jedną rękę i twarz. Potem pokazała mu, jak żegnać się lewą ręką i jak trzymać łyżkę.

Od tej pory odwiedzała go codziennie.

- Będziesz mógł robić prawie wszystko jedną ręką - zapewniała.

- Naprawdę, siostrze?

- Naprawdę. To tylko kwestia czasu i wielkiej cierp liwości.

Płomyk nadziei pojawił się w jego duszy.

W drugim tygodniu pobytu w szpitalu Jurek zaczął wędrować po korytarzach i salach, odwiedzał inne oddziały, widywał ludzi, którzy uśmiechali się do niego, a on po pewnym czasie odważył się odwzajemniać ich uśmiechy.

Dwa razy w tygodniu ktoś z folwarku pani Herman przywoził Jurkowi paczkę z żywnością. W paczkach były najróżniejsze pyszne rzeczy - jajka na twardo, mięso, ciasto. Dwa albo trzy razy odwiedziła go sama pani Herman, ale ani razu nie znalazła go w łóżku. Zaprzyjaźnił się z kilkoma pacjentami, którzy już dobrze go znali i przekomarzali się z nim, gdy przechodził. Pewien starszy mężczyzna nauczył go grać w warcaby i Jurek często przesiadywał na jego łóżku. Pani Herman śmiała się, gdy go tam znalazła.

Pewnego dnia, przechodząc obok sali dla matek z dziećmi, zajrzał do środka i zobaczył znajomą twarz. Zastanowił się przez chwilę i przypomniał sobie parę chłopów, którzy zabrali go na wóz i zawieźli na gestapo. Kobieta także go zauważyła. W ciągu kilku

dni stosunek pacjentów do niego uległ drastycznej zmianie. Niektórzy odwracali wzrok, gdy przechodził. Paczki, które mu przywożono, znikwały, jeszcze zanim je otworzył.

Starszy pacjent wciąż grywał z nim w warcaby.

- Dlaczego amputowano panu nogę? - zapytał Jurek.

- Przez chorobę, cukrzycę. A tobie?

- Przez podłego lekarza - powiedział Jurek z gniewem.

- Słyszałem - przyznał pacjent. - Nie chciał cię zoperować, bo jesteś Żydem.

- Nie jestem.

Pacjent nie sprzeczał się z nim. Powiedział tylko:

- Jurku, w końcu przyjadą po ciebie z gestapo, a wiesz, co oni robią z Żydami. Idź porozmawiać z doktorem Żurawskim.

Jurek poszedł do gabinetu lekarza.

- Jak twoja ręka, Jurku?

- Ta, której nie mam? Nie wiem. Ale tej nic nie dolega. Lekarz uśmiechnął się:

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Niech mnie pan odeśle z powrotem na wieś.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Powiem ci prawdę. Dzwonili do mnie z gestapo. Kazali mi ciebie pilnować, dopóki nie przyjadą.

Jurek zaczął planować ucieczkę. Bardzo szybko zorientował się, że przy drzwiach stoi strażnik, a gdy poprosił pielęgniarkę o ubranie, odmówiła.

- Spaliliśmy je - wyjaśniła. - Roilo się w nim od wszy.

Czekał niecierpliwie na kolejne odwiedziny kogoś ze wsi. Kiedy przyjechał chłop z nową paczką i pozdrowieniami od pani Herman, Jurek poprosił go:

- Zabierz mnie stąd.

- Wolno ci już wyjść?

- Muszę.

- Zapytam lekarza - odparł chłop.

- Nie mogę go wypuścić - wyjaśnił doktor Żurawski. - Dostałem rozkaz z gestapo pilnować chłopca, dopóki go nie zabiorą.

- Panie doktorze - powiedział chłop. - Słyszałem, co tu mówią, że to żydowskie dziecko. Naprawdę trudno mi uwierzyć, bo przywieźli go do nas z gestapo. Ale jeśli to naprawdę żydowski chłopiec, lepiej, żeby tam nie trafił bez ręki.

Lekarz potarł czoło.

- Z medycznego punktu widzenia może wyjść - stwierdził w końcu.

- Mogę go zabrać? - zapytał znowu chłop.

- Nie - zaprzeczył lekarz. - Ale w ubikacji piętro wyżej jest duże okno, które wychodzi na tył budynku. Ja nic panu nie mówiłem.

Jurek i chłop wyszli na korytarz.

- Poczekaj pod oknem - poprosił Jurek.

- Zamierzasz zejść sam? - nie dowierzał chłop.

- Dam radę.

Chłop wyszedł. Jurek wbiegł po schodach na piętro i wszedł do ubikacji. Istotnie, było tam duże okno. Otworzył je i wyjrzał. Chłop, który stał na dole i obserwował okna, zauważył Jurka. Podszedł bliżej i stanął tuż pod nim. Jurek wspiął się na parapet i zawołał:

- Złap mnie! I skoczył.

Chłop złapał go i obaj potoczyli się na ziemię. Wstał, podniósł Jurka i biegiem uciekł ze szpitalnego podwórza. Niewielkie miasteczko Nowy Dwór leży na brzegu Narwi, w miejscu, w którym rzeka wpada do Wisły. Chłop zszedł nad rzekę i wsadził Jurka do łódki. Potem wszedł do niej sam, odcumował i ujął wiosła w ręce. Posuwali się szybko naprzód, niesieni nurtem.

To było dla Jurka nowe przeżycie. Chłop polecił mu złapać drążek steru.

- Ja?

- To łatwe.

Jurek przejął ster.

- Będę ci mówić trochę w lewo, trochę w prawo albo prosto. Wiesz, gdzie masz prawą, a gdzie lewą rękę?

Natychmiast pożałował pytania, ale Jurek odparł z uśmiechem:

- Pewnie, że wiem. Teraz to łatwe.

Szybko okazało się, że potrafi zapanować nad łódką i kierować nią. Z ciekawością przypatrywał się mijającym ich na rzece łodziom i barkom.

- Leci ci krew - powiedział nagle chłop z przestraszeniem.

- Uderzyłem się, kiedy skakałem.

Bandaże były przesiąknięte krwią, która zaplamiła także szpitalną koszulę.

- Boli cię?

- Nie.

- Gospodyni zajmie się tobą, nie martw się - pocieszał go chłop.

Także pani Herman przeraziła się na widok zakrwawionej koszuli, ale uspokoiła się, gdy zdjęła bandażę i opatrzyła rękę na nowo. Nie pozwoliła mu spać w oborze. Zabrała go do domu i położyła w niedużym pokoiku.

- Mogłabym posyłać cię na pastwisko z krowami - powiedziała nazajutrz - i pozwolić zostać. Ale mój przyjaciel dowie się, że uciekłeś ze szpitala, i przyjedzie cię szukać. A teraz, kiedy jesteś kaleką, naprawdę nie wiem, co by z tobą zrobił.

Pani Herman poleciła szwaczce uszyć koszulę i marynarkę z jednym krótszym rękawem. Brak rękawa zranił uczucia Jurka. Pani Herman ubrała go, a potem przyniosła skarpetki i parę butów.

- Udało mi się zdobyć buty w twoim rozmiarze - pochwaliła się.

Po raz pierwszy w życiu Jurek miał buty, które na niego pasowały. Pani Herman kazała mu usiąść i włożyła mu je. Potem przyniosła chlebak i zawiesiła mu go na ramieniu.

- Nie martw się. Włożyłam do środka wszystko, co znalazłam w kieszeniach twojej starej marynarki - uspokoiła Jurka, widząc pytanie w jego oczach. - Dałam ci też butelkę z wodą. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Tak - powiedział chłopiec. - Sznurka, zapalek i mojego kija.

Pani Herman posłała kogoś po sznurek, kilka pudełek zapalek i kij, który służył Jurkowi, gdy pasł u niej krowy.

- Niech Bóg cię strzeże - pożegnała go.

Jurek pocałował ją w rękę i poszedł.

12. Z jedną ręką. To ciebie szukamy.

Jurek obawiał się wrócić do lasu. Co pocznie? Czy da 147 sobie radę? Jak będzie wspinać się na drzewa? Strzelać z procy, którą miał w torbie? Co prawda, przez pewien czas może żywić się owocami leśnymi i grzybami. Ale potrafi też pasać krowy i zarabiać godnie na chleb, pod warunkiem że ktoś przyjmie do pracy jednorękiego chłopca.

Oddaliwszy się nieco od gospodarstwa, zdjął buty i schował je do torby. Wiedział, że będą mu potrzebne zimą, jeśli wcześniej nie złapią go Niemcy.

Zżęte pola żółciły się w promieniach wczesnojesiennego słońca. W oddali zielenił się las. Ugory pokrywał fioletowy dywan kwitnących wrzosów. Szedł piaszczystą drogą wśród pól i modlił się w duchu, lecz tym razem nie powtarzał słów modlitw, których nauczyła go piękna pani. Zwyczajnie prosił o pomoc, bez ustanku powtarzając jedno słowo: Boże, Boże, Boże...

Kiedy był mały, był Żydem. Nie zapomniał o tym. Od najmłodszych lat wiedział, że istnieje Bóg. Jego ojciec i starszy brat modlili się do Niego każdego ranka, przyczepiwszy do czoła czarne pudełeczko i okręciwszy wokół ramienia skórzany pasek. Zapomniał już, jak nazywają się te rzeczy. Pamiętał ojca i brata modlących się, z głową przykrytą białym szalem z pasami na brzegach. Od czasu do czasu zabierali go ze sobą do synagogi. Żydowski Bóg mieszkał w synagodze. Teraz Bóg przybrał inną postać. Mieszkał w wioskach, w małych wiejskich kościółkach i miał wiele twarzy - Boga, ale też Jezusa i Matki Boskiej. Jurek położył rękę na krzyżyku i medaliku na piersi. Jak mogli pozwolić, by młody lekarz wyrzucił go na korytarz i skazał na utratę ręki?

Przy drodze wiodącej w stronę lasu zauważył niski murek i furtkę z dużym żelaznym krzyżem. Podeszedł bliżej i zajrzał. Był to cmentarz usiany krzyżami w najróżniejszych kształtach i rozmiarach. Pchnął furtkę i wszedł do środka. Poza zwykłymi grobami na cmentarzu stało kilka pojedynczych budowli, przypominały małe domki. Były to stare grobowce, w których leżeli szlachetnie urodzeni właściciele majątków. Podeszedł do jednego i popchnął żelazne drzwiczki umieszczone nisko nad ziemią. Drzwiczki uchyliły się ze zgrzytem, tworząc wąską szparę. Popchnął jeszcze raz i tym razem udało mu się wcisnąć do środka. Po obu stronach stały tam dwie kamienne ławy. Na jednej leżał stary sarkofag z szarym, ozdobnym stalowym wiekiem. Pośrodku ktoś wykopał długi prostokątny dół, obok wznosiła się przyzma ziemi, a na niej rozsypane odłamki kamiennych tablic. Jurek spróbował otworzyć sarkofag, lecz bez skutku. Wyszedł na zewnątrz i znalazł szpadel bez trzonka. Po

wielu wysiłkach zdołał w końcu podważyć wieko. Najpierw niepewnie, bo obawiał się, że w środku leży nieboszczyk. Potem pełen nadziei, że znajdzie ukryty skarb. Ale trumna była pusta. Prawie. W środku znalazł kilka kości. Wyjął je i wrzucił do dołu. Potem wszedł do trumny i położył się. Była obszerna dla chłopca w jego wieku. Jurek postanowił, że zamieszka w tym domku. Wyszedł na zewnątrz i po drugiej stronie cmentarza znalazł studnię z wodą. Nie, tutaj pragnienie mu nie grozi, uznał.

Następnego dnia zostawił w trumnie chlebak z resztkami prowiantu i wyszedł wczesnie rano, w obawie, że napotka ludzi, którzy być może odwiedzą cmentarz. Cały dzień spędził w lesie i wrócił na nocleg dopiero wieczorem. Kiedy skończyło się jedzenie w chlebaku, ruszył na poszukiwanie warzyw w okolicznych wsiach. Znalazł zagon z kalarepą i pochylił się, żeby wyrwać kilka główek. Nagle usłyszał czyjś krzyk. Podniósł głowę i zobaczył, jak w jego stronę biegnie jakiś człowiek. Jurek rzucił się do ucieczki i ku swemu przerażeniu odkrył, że nie panuje w pełni nad własnym ciałem i nie potrafi biec i przeskakiwać przeszkód jak kiedyś. Brak jednej ręki sprawił, że równowaga ciała została zaburzona. Tym razem zdołał uciec, lecz od tego dnia zaczął ćwiczyć bieganie i skakanie, wciąż szukał najlepszego sposobu na poruszanie się. Zrezygnował tylko z jednego - z rzucania kamieniami. Próbował raz rzucić kamień lewą ręką, ale efekty były tak rozczarowujące, że natychmiast to zarzucił.

Nadeszły deszcze. Drzewa gubiły liście. Zniknęły leśne owoce. Jurek widywał dziki żerujące na żołędziach i kasztanach, które leżały na ziemi, i spróbował je zjeść upieczone w ognisku, ale okazały się niesmaczne. Od tej pory żywił się głównie warzywami, które znalazł zapomniane w warzywnikach, a na koniec wykopywał z ziemi ostatnie kartofle, pozostawione po zbiorach. Jeśli padał deszcz i nie mógł rozpaścić ogniska, jadł ziemniaki na surowo.

Jego ulubionym zajęciem stała się zabawa sznurkiem. Wiązał węzły jedną ręką, pomagając sobie ustami i nogami, a potem rozwiązywał je w ten sam sposób. Pewnego dnia spróbował wspiąć się na drzewo za pomocą sznurka. Zarzucił go na gałąź, przywiązał oba końce do ramienia i podciągając się do góry, zaczął się wdrapywać. W pewnej chwili stracił punkt oparcia, ale udało mu się uchwycić gałęzi i bezpiecznie zeskoczyć. W końcu, po całodziennych próbach odkrył całkiem bezpieczną metodę wspinania się. Jeśli będzie musiał wrócić do lasu, stwierdził, znowu da radę spać na drzewach. Ten sukces sprawił, że odzyskał odrobinę dawnej pewności siebie i nabrał przekonania, że będzie mógł robić wiele rzeczy jak dawniej, musi tylko odważyć się i spróbować, znaleźć odpowiedni sposób i nauczyć się cierpliwości, jak przekonywała zakonnica w szpitalu. Pewnego dnia zdecydował, że nadszedł czas, by poszedł szukać pracy we wsi.

Wyjął z torby buty, które dostał od pani Herman, i włożył je. Problem stanowiło zawiązanie sznurowadeł. Jurek usiłował dosięgnąć ustami końca jednego z nich i wpadł mu do głowy pewien pomysł. Wyciągnął sznurowadło i przewlókł je od nowa tak, że jeden koniec był bardzo długi, a drugi bardzo krótki. Chwycił dłuższy koniec zębami i zawiązał węzeł za pomocą krótszego. Był bardzo dumny z wymyślonego rozwiązania. Zawiesił torbę na ramieniu i wyruszył w drogę z sercem pełnym nadziei, uderzając kijem w pnie drzew i przeciągając nim po krzakach, jak miał zwyczaj robić, gdy przechodził wzdłuż żywopłotów w rodzinnym miasteczku. Nagle wyrósł przed nim owczarek, który w jednej chwili powalił chłopca na ziemię i położył się na nim, kładąc mu przednie łapy na piersi, dysząc z rozwartą paszczą, pełną wielkich kłów i wysuniętym ozorem. Jurek poruszył się, ale pies zamknął pysk i zawarczał groźnie, więcej więc tego nie próbował. Po chwili nadszedł żołnierz, który zawołał psa. Zwierzę natychmiast posłuchało rozkazu. Niemiec podniósł Jurka za kołnierz i powiedział:

- Mam cię. To ciebie szukamy!

Przez pewien czas cała trójka szła w ciszy. Jurek pośrodku, żołnierz po jednej stronie, pies po drugiej. Niemiec nie trzymał go, ale Jurek był świadomy, że nie ma najmniejszej szansy na ucieczkę. Po jakimś czasie żołnierz zaczął mówić po niemiecku. Zwracał się ni to do Jurka, ni to do psa, a może zwyczajnie mówił do siebie.

- Jeśli doprowadzę cię żywego na gestapo - rozprawiał - powiedzą, że jestem dobrym żołnierzem, i dadzą mi pochwałę. Ale co mi z tego przyjdzie? Także jeśli cię zabiję i przyniosę trupa na gestapo, powiedzą, że jestem dobrym żołnierzem, i dadzą mi pochwałę. Ale co mi z tego przyjdzie? Jak sądzisz, Reks?

Pies podniósł głowę i popatrzył na swojego pana.

Zbliżyli się do skraju lasu. Raptem żołnierz zatrzymał się, skręcił ze ścieżki i po kilku krokach odszukał w zaroślach żelazne drzwiczki ukryte nad samą ziemią. Podniósł klapę, wszedł i zawołał Jurka. Chłopiec zajął do środka. Była tam metalowa drabinka, po której zszedł w dół. Potem żołnierz zawołał psa, który skoczył mu w ramiona. Drzwiczki zostawił otwarte. Co prawda, po drugiej stronie znajdowało się wąskie długie okienko, ale było prawie całkiem zarośnięte i wpuszczało tylko odrobinę światła. Pod oknem stało kilka drewnianych skrzynek pomalowanych na zielono, przed nimi ławka i rozchwiane krzesło. Wojskowe koce i stare materace leżały pod jedną ze ścian. Po drugiej stronie stała otwarta żelazna szafa, a w niej butelka z wodą i kilka konserw. Na półce leżał bochenek chleba. Jurek zrozumiał, że żołnierz często tu bywa.

Żołnierz otworzył puszkę, ukroił grubą pajdę chleba, posmarował szczerze mięsem i

podał Jurkowi. Potem nałożył trochę mięsa do psiej miski. Owczarek ani drgnął.

- Dobry pies - pochwalił go pan. - Jedz!

Dopiero wtedy pies zabrał się do jedzenia.

Żołnierz wziął resztę mięsa i usiadł obok Jurka na ławce. Wszyscy trzej pozywiali się w milczeniu. Skończywszy, Niemiec wyjął paczkę papierosów.

- Palisz?

Jurka przeszedł dreszcz.

- Nie.

On nie zamierza mnie zabić, przyszło mu do głowy. Żołnierz wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapalił papierosa. Na widok zapalniczki oczy Jurka zabłyśły.

- Werner - powiedział żołnierz, wskazując na siebie.

- Jurek - powiedział Jurek.

Werner wyjął portfel i pokazał mu zdjęcie kobiety z dwojgiem dzieci.

- Moja żona i dzieci - powiedział.

Miła młoda kobieta i dzieci, chłopiec i dziewczynka, uśmiechali się do Jurka z fotografii. Odwzajemnił uśmiech.

Żołnierz roześmiał się. Pocałował zdjęcie i powiedział z dumą:

- Moja rodzina! Gdzie twoja rodzina?

Jurek próbował sił w niemieckim, który w gruncie rzeczy był podobny do jidysz wymieszanego z polskim.

- Jest nas pięcioro, trzech chłopców i dwie dziewczynki. Pewnie wszyscy nie żyją. Widziałem, jak mojego tatę żołnierze zabili na polu. Mama... nie wiem.

Żołnierz pokiwał głową ze smutkiem.

- Wojna - powiedział i zaczął przeklinać wojnę. - Każą mi złapać żydowskiego chłopca z żółtymi włosami, bez ręki. Co to za żydowski chłopiec bez ręki? Chłopiec. A ja? Żołnierz. Tak, Reks?

Pies uniósł łeb. Werner mówił dalej, ale Jurek prawie nic nie rozumiał. Tylko pojedyncze słowa co jakiś czas: Bóg, ludzie, co będzie na końcu?

Przed wyjściem z bunkra Niemiec powiedział, że Jurek może zostać, jak długo zechce.

- Tylko nie zostawiaj drzwi otwartych, gdy będziesz wychodził. Ja jeszcze wrócę.

Rzeczywiście po kilku dniach wrócił z kilkoma konserwami. Przychodził nieregularnie.

Czasem zostawał w bunkrze na noc. Nie było im łatwo rozmawiać. Odrobina niemieckiego - jidysz, które znał Jurek, nie wystarczały do rozmowy, a żołnierz znał jedynie

kilka słów po polsku. Za każdym razem, gdy przychodził, klepał Jurka po ramieniu albo gładził go po głowie i wyciągał z kieszeni cukierka lub kawałek czekolady. Po każdej wizycie Jurek czekał na niego coraz bardziej i coraz mocniej za nim tęsknił. Rozstania znosił z ciężkim sercem. Za każdym razem, gdy Werner spoglądał na zegarek, Jurek wiedział, że oznacza to pożegnanie.

Jurkowi wpadł do głowy pewien pomysł. Na pokrywie jednej ze skrzynek kawałkiem węgla drzewnego znalezionym w lesie narysował szachownicę, następnie nazbierał czapeczki żołądź, połowę z nich poczercił i czekał. W końcu pewnego dnia żołnierz wszedł do środka, a za nim wskoczył pies, który przywitał się z Jurkiem radośnie. Niemiec postawił w szafie przyniesione puszki z konserwami i położył na ławce bochenek chleba, a wtedy zobaczył niespodziankę. Uśmiechnął się szeroko i pogłaskał Jurka po głowie. Po jedzeniu usiedli do gry w warcaby. Od tej pory Werner zawsze znajdował czas na przynajmniej trzy partie, a czasami kiedy Jurek wygrywał, obaj bardzo się cieszyli.

Pewnego dnia po powrocie z lasu Jurek znalazł w bunkrze bochenek chleba i dwie nowe puszki konserw. Na jednej z nich leżała zapalniczka. Serce ścisnęło mu się z żalu. Zrozumiał, że nie zobaczy więcej Wenera.

Został w bunkrze, aż skończył się zapas konserw, a potem poszedł dalej w nadziei znalezienia wieśniaka, który przyjmie go do pracy. W pierwszej wsi natknął się na grupę chłopców, którzy poszczuli go psem. Rzucił się do ucieczki, ale pies okazał się szybszy. Jurek zatrzymał się i uderzył zwierzę kijem w nos, jak robił to Awrum. Pies uciekł ze skomleniem, ale po chwili wrócił razem z chłopcami, którzy ścigali Jurka i rzucali w niego kamieniami, aż przepędzili go poza granice wsi. Po dłuższym marszu doszedł do miejsca, które wydało mu się znajome. Przystanął i zaczął przyglądać się domom ze zdziwieniem. Zawahał się. Nagle w oddali usłyszał krzyki. Kilku niemieckich żołnierzy zauważyło chłopca i zaczęło biec w jego stronę. Jurek zrozumiał już, gdzie się znajduje, i nie wahał się ani chwili. Pobiegnął do domu pięknej pani i zastukał do drzwi. Otworzyła i na jego widok osunęła się na ziemię z jękiem.

- Gonią mnie, proszę mi pomóc!

Kobieta opanowała się, zabrała go do środka, otworzyła klapę w kuchennej podłodze i Jurek ukrył się w piwnicy. Kobieta zamknęła klapę i polała podłogę wodą, żeby zatrzeć ślady.

Niemcy wpadli do środka i przetrząsnęli dom.

- Czego szukacie?

- Rudego żydowskiego chłopaka bez ręki.

- Nie ma tu żadnego chłopca.

- Wiemy, że wszedł do tego domu. Widzieliśmy go.

- Nikt do mnie nie wchodził - upierała się kobieta.

Żołnierze przeczesali obejście i dom, dźgając bagnietami wszystko, w czym ktoś mógł się schować. I także po to, by zwyczajnie zniszczyć rzeczy. Jeden przebił ostrzem słomiany kosz, w którym kura wysiadywała jajka.

- Powiesz nam, gdzie jest?

- Nikogo tu nie ma - powtarzała kobieta.

Niemcy wpadli w złość. Pobili gospodynię, wywlekli na dwór i podpalili obejście. Potem podłożyli ogień pod pozostałe chałupy.

Jurek siedział skulony po ciemku. Słyszał krzyk kobiety, ciężkie kroki, przekleństwa po niemiecku. Słyszał wołania, głosy wielu ludzi. Piwnicę stopniowo wypełniał dym. Potem na podłogę nad jego głową z rumorem spadły jakieś duże ciężkie przedmioty. Nie wiedział, że to belki walącego się domu. Oddychał z trudem. Kaszel rozrywał mu gardło. Nie wiedział, czy siedzi w piwnicy już wiele godzin, czy tylko chwilę. Aż nagle w górze rozblęsnęło światło dnia.

- Wyjdź na górę - usłyszał głos. - Jurku? Nic ci nie jest? Wyjdź, poszli już.

Wyszedł. Patrzył na gospodynię i nie poznał jej. To nie była ta sama osoba, która otworzyła mu drzwi. Stała przed nim stara kobieta, pobita, w porwanych ubraniach. Patrzył w przerażeniu na zniszczony i spalony do połowy dom.

- To przeze mnie? - wydusił między jednym a drugim atakiem kaszlu.

Kobieta nie odpowiedziała. Wyprowadziła go na dwór, nabrała w dłonie wodę z kałuży i przemyła twarz jemu, a potem sobie. Rozejrzał się wokół. To nie była ta sama wieś. Wszędzie stały spalone, dymiące domy, gdzieś tam jeszcze widać było płomienie. Ludzie i dzieci tłoczyli się na dworze. Gospodarze czerpali wodę ze studni i polewali dymiące zgliszcza. Ze wszystkich stron dobiegało zawodzenie kobiet.

Wskazał na wypalone resztki chałupy i zapytał z lękiem:

- To przeze mnie?

- Nie przez ciebie. Może przez ciebie spalili mój dom jako pierwszy, ale i tak byli we wsi od trzech dni. Wiedzą, że tutejsi mieszkańcy pomagają partyzantom. Bili ludzi, strzelali, a dzisiaj przyjechali wszystko spalić. Co się stało z twoją ręką?

- Utknęła w maszynie.

- Jurku, nie mogę ci dłużej pomagać. Musisz odejść. I nie wracaj do mnie. Nie mam już siły. Rozumiesz? Nie mam siły... Nie mam nawet nic do jedzenia, żeby dać ci na drogę. Ale pamiętaj, idź cały czas na wschód. Wiesz, gdzie jest wschód? Tam, gdzie rano wstaje słońce. Stamtąd przyjdą Rosjanie. Jezusie miłosierny, ustrzeż tego chłopca od wszelkiego

złego.

Kobieta przeżegnała się i wielkie łzy spłynęły jej po policzkach.

Kim są Rosjanie? O to nie zapytał.

13. Stań przed nim nieznany żołnierz. Mogę robić wszystko.

Szedł na wschód, starając się nie oddalać zbyt daleko od 159 osad leżących w rejonie lasu, lecz w świetle dnia nie wchodził do wsi. Wiedział, że go tu znają i szukają. Już trzeciego dnia otrzymał tego dodatkowy dowód. Szedł pogrążony w myślach o ładnej wysokiej pani, która w jednej chwili zamieniła się w przygarbioną staruszkę, gdy wtem wyrosli przed nim dwaj Niemcy na koniach. Jurek natychmiast ich rozpoznał. To oni ścigali go, kiedy uciekał przez płot z siedziby gestapo. Naciągnął czapkę na oczy i szedł dalej, próbując ukryć prawą stronę ciała. Wydawało mu się, że mu się powiodło, bo jeźdźcy minęli go. Po chwili się obejrzał. Jechali dalej, ich sylwetki malały coraz bardziej na tle pochmurnego nieba. Jurek szedł naprzód szybszym krokiem, oglądając się za siebie co jakiś czas. Nagle Niemcy zatrzymali się, zawrócili konie i pogalopowali z powrotem. Skręcił z drogi. Co sił w nogach popędził do lasu. Kiedy wpadł między drzewa, zobaczył, że z naprzeciwka nadjeżdża wóz załadowany sągami drewna na opał. Wydawało mu się, że końmi powozi Werner - jego niemiecki żołnierz z bunkra! Jurek z radością pobiegł do niego, wołając:

- Ukryj mnie, szybko. Oni mnie gonią!

Ale gdy podbiegł bliżej, zobaczył przed sobą obcą twarz. To nie był Werner. Miał tylko taki sam mundur i taką samą czapkę. Jurek zamarł na ułamek sekundy i zanim zdążył się otrząsnąć, żołnierz chwycił go za kołnierz, podniósł, wepchnął pod siedzenie i usiadł z powrotem.

Dopiero teraz zobaczył, kto ściga chłopca. Dwaj jeźdźcy przygalopowali między drzewami i zatrzymali konie przy wozie. Nie było trudno rozpoznać, z jakiej są jednostki.

- Widziałeś rudego żydowskiego chłopaka bez ręki?

- Tak - odparł żołnierz, wskazując na las. - Pobiegł tam.

Jurek usłyszał tętent oddalających się kopyt. Wóz kołysał się ociężale, aż wyjechał z lasu i potoczył się po utwardzonej drodze. Przez pewien czas Niemiec pogwizdywał coś sobie, a potem zapytał łamaną polszczyzną:

- Dokąd?

- A ty dokąd? - odpowiedział Jurek z dołu.

- Ja - roześmiał się żołnierz - do Nowego Dworu.

- Dobrze - powiedział Jurek. Pomyślał chwilę i zapytał:

- To po drugiej stronie Wisły?

- Tak - potwierdził żołnierz.

- Bardzo dobrze - odparł Jurek po niemiecku.

- Mówisz po niemiecku?

- Trochę.

Żołnierz zatrzymał wóz, zrobił miejsce wśród drzew i wyciągnął Jurka spod siedzenia.

- Siadaj tutaj - powiedział. Zdjął kurtkę i zarzucił na niego.

- Teraz nikt cię nie zauważy. Zaciął konie batem.

- Naprawdę jesteś Żydem?

- Nie - zaprzeczył Jurek.

- Powiedz prawdę.

- Nie jestem Żydem.

- Jak się nazywasz?

- Jurek Staniak.

- Jak naprawdę się nazywasz?

Jurek zamyślił się. Nagle dotarło do niego, że zapomniał.

- Nie pamiętam.

Żołnierz znowu pogwizdywał przez jakiś czas, a potem zapytał:

- Głodny jesteś?

- Tak.

Ze stojącego pod nogami pudełka wyjął sporą kanapkę i podał Jurkowi.

Kiedy Jurek skończył jeść i położył się z powrotem między sągami drewna, Niemiec zapytał, co stało się z jego ręką.

Jurek opowiedział całą historię.

- Dokąd pójdziesz w Nowym Dworze?

- Nie chcę jechać do Nowego Dworu. Wsiądę wcześniej, jak przejedziemy przez Wisłę.

- Po co chcesz dostać się na drugą stronę?

- Tutaj wszyscy mnie znają.

- Rudy żydowski chłopak bez ręki?

- Tak - potwierdził Jurek.

Na drodze panował coraz większy ruch. W obu kierunkach jechały chłopskie wozy. Widać też było wojskowe ciężarówki, a niekiedy wojskowe motocykle z przyczepą, czasem przejeżdżał żołnierz albo robotnik na rowerze. Dotarli do mostu i przejechali na drugą stronę rzeki. Odgłos dudnienia kół zainteresował Jurka, który podniósł się, żeby wyrzeć.

- Schowaj się - nakazał surowo żołnierz.

Po drugiej stronie rzeki Niemiec zatrzymał konie i pomógł Jurkowi zsiąść. Wyjął z pudełka z prowiantem jeszcze jedną kanapkę.

- Weź na drogę - powiedział.

- Bardzo dziękuję - odparł Jurek.

- Niech Bóg cię strzeże, chłopcze.

Żołnierz wsiadł na wóz i odjechał. Jurek szybko porzucił główną szosę i wszedł na polną dróżkę wiodącą wśród pól i pastwisk. Obserwował horyzont, lecz poza niedużymi zagajnikami nie dostrzegał nigdzie czarnej, uspokajającej linii lasu. Za nim rysowało się nieduże miasteczko Nowy Dwór.

Szedł dalej, zostawiając za sobą bolesne wspomnienia.

Zaczął padać deszcz. Dopiero pod wieczór Jurek zobaczył dym z kominów, wijący się pod czarnymi niskimi chmurami. Brnął w błocie, aż doszedł do wsi. We mgłę majaczyły niewyraźne zarysy strzech. Człapał dalej i zobaczył przed sobą kształty budynków gospodarskich. Podeszedł do drzwi chałupy. Zastukał. Gospodarz przez dłuższą chwilę przyglądał mu się nieufnie, ale w końcu wpuścił go do środka. W izbie przy piecu siedziały dwie młode dziewczyny i starsza kobieta zajęte szyciem. Jurek zdjął czapkę i wypowiedział tradycyjne pozdrowienie, a kobiety odpowiedziały mu.

- Zdejmij mu marynarkę i posadź chłopaka do stołu - powiedziała gospodyni do męża.

Mężczyzna pomógł Jurkowi zdjąć marynarkę i zawiesił ją przy piecu, aby wyschła.

Jedna z młodych dziewczyn nałożyła mu na talerz jedzenie ze stojącej pośrodku stołu miski. Były tam ziemniaki ze śmietaną, gotowana marchewka i jajecznica z dużymi kawałkami kielbasy. Jurek nie podniósł oczu znad talerza, dopóki nie zjadł wszystkiego do ostatniego okruszka.

Zaczął się zwykle wypytywanie. Był już do tego przyzwyczajony. Przedstawił się i opowiedział swoją historię.

Na koniec oparł głowę na stole i przymknął oczy.

- Chłopak jest zmęczony - zauważyła starsza kobieta.

- Chodź - odezwał się gospodarz. - Położymy cię spać.

Kobieta podała mężowi koszulę i dwa koce. Chłop wziął latarnię i przebiegł razem z Jurkiem do stodoły. Kiedy weszli do środka, Jurek usłyszał grad mocnych uderzeń, jakby w dach trafiła seria strzałów.

- Co to? - zapytał z lękiem.

- Co takiego? - nie zrozumiał wieśniak.

- Ten hałas...

Gospodarz się zaśmiał.

- Stodoła ma dach z blachy - wyjaśnił z dumą.

- Jak można spać w takim huku - zastanawiał się Jurek.

- Przyzwyczajasz się. W oborze mamy stryżek na siano, ale teraz leży tam pełno worków ze zbożem.

Gospodarz poczekał, aż Jurek umości sobie posłanie, i wrócił do chałupy. Jurek został sam w ciemnościach. Zdjął przemoczone ubranie, włożył koszulę, położył się, przykrył, ale nie mógł zasnąć. Nigdy wcześniej nie słyszał bębnienia deszczu o blaszany dach. W końcu zmogło go zmęczenie, ale budził się od czasu do czasu, gdy do jego snów przenikał dźwięk dudniących kropli. Powrócił do niego dawny sen. Wchodzi na drzewo, ale nagle się z niego zsuwa; wyciąga rękę, by złapać się jakiejś gałęzi, ale sięga tą, której już nie ma, spada i budzi się z poczuciem, jakby spadał na jawie. Chwycił za skraj posłania i z gardła wyrwał mu się przerażający jęk. Otworzył oczy. To nie on jęczał. Dźwięk rozlegał się obok, bardzo wyraźnie w ciemności. Zobaczył zbliżające się malutkie ogniki:

- Auuu, auuu...

Jurek zerwał się na równe nogi i uciekł ze stodoły. Przebiegł pędem podwórko i wpadł do domu. Dogasające w piecu węgle rzucały słaby blask na podłogę. Usiadł pod piecem, drżąc ze strachu. Skrzypnięcie drzwi obudziło gospodarza, który wyszedł z sypialni. Na widok białej postaci siedzącej przy piecu przeżegnał się z lękiem i zapytał:

- Mamo? Po co wróciłaś?

Kilka dni wcześniej zmarła matka gospodarza, który teraz był przekonany, że jej duch nawiedził dom.

- To ja, Jurek Staniak.

Chłop chwycił go, wymierzył mu policzek i wyrzucił za próg.

- Wynoś się spać! - krzyknął.

Jurek wrócił do stodoły. Teraz już całkiem rozbudzony, po omacku odszukał drogę do posłania, znalazł rozłożone na słomie spodnie, wyjął zapalniczkę i zapalił płomień. Na kocu leżały dwa koty. Przykrył się razem z nimi i powiedział do siebie jak najgrubszym głosem:

- Mamo? Po co wróciłaś?

Po czym wybuchnął śmiechem.

Nazajutrz rano po wyjściu ze stodoły zobaczył chłopca i jedną z jego córek stojących przy taczkach pełnych karmy dla świń. Podeszedł i poprosił gospodarza, by przyjął go do pracy.

- Dasz radę pracować? - powątpiewał chłop.

- Mogę robić wszystko. Wszystko, co trzeba.
- Potrafisz zawieźć te taczkę do chlewa? - zapytał gospodarz.
- Tak - odparł Jurek. - Pokażę panu.

Wyciągnął sznurek, złożył go na dwoje, zmierzył odległość od uchwytu taczek do ramienia, zawiązał oba końce razem na dłoni i pomagając sobie nogami, zawiesił jeden koniec podwójnego sznurka na rączkach, a drugi koniec na prawym ramieniu. Teraz sznurek zastępował mu brakującą rękę. Gospodarz z córką przyglądali się jego poczynaniom z ciekawością. Jurek ujął lewą rączkę taczek i wyprostował się. Nie próbował robić tego wcześniej, ale mimo wszystko zdołał zachować równowagę. Popchnął taczkę, poszedł naprzód i dotarł bezpiecznie do chlewika po dróżce ułożonej z desek.

- Zatrzymajmy go, tato - poprosiła dziewczyna.
- Nie - zaproponował chłop. - To ładne, co zrobił, ale potrzebuję zdrowego pomocnika.
- Będę mu pomagać - przekonywała dziewczyna.
- Maryna, zapamiętaj swoje słowa - ustąpił ojciec.

Następnie zwrócił się do Jurka:

Weź wiadro i naley wody do koryta.

14. Maryna i Grzegorz. Rosjanie nadchodzą, powiedział konduktor.

Stanisław Boguta nie przejmował się kalectwem 167 Jurka i traktował go jak każdego innego chłopca, którego przyjąłby do roboty za jedzenie i nocleg. Bił go za jakiegokolwiek niedopatrzenie i zlecał mu rozmaite zadania. Mimowolnie pomógł Jurkowi w dążeniu do samodzielności.

Jurek w dalszym ciągu uskarżał się na bębnienie deszczu nocami. Matka z młodszą córką Maryną uporządkowały dla niego część stryszku na siano w oborze. Stryszek znajdował się wysoko nad klepiskiem, żeby krowy nie mogły dosięgnąć, i prowadziły do niego przytwierdzone do ściany stopnie. Dostał siennik i koce. Krowy ogrzewały trochę wnętrze samą swoją obecnością. Poza tym Jurek nie zrezygnował z towarzystwa kotów i zabrał je ze sobą do stodoły, by spały z nim na nowym posłaniu.

Szybko zorientował się, że Maryna była ulubienicą matki, a starsza Klara - faworytką ojca. Może dlatego wszystkie oczy czujnie śledziły ręce gospodyni, gdy w niedzielę rozdzielala mięso przy stole. Matka dobrze wiedziała, że musi uważać i skrupulatnie pilnowała równego podziału, mimo to Klara za każdym razem wybuchała:

- Znowu dałaś jej najlepszy kawałek!

Maryna brała swoją porcję i zamieniała się z siostrą, a Klara wyrywała jej z powrotem swój talerz.

Zimowa bezczynność przygnębiała Stanisława Bogutę. Kiedy sprzykrzyło mu się kręcić po domu i obejściu i wynajdować zajęcia Jurkowi albo córkom oraz jeśli zaśnieżona droga była przejezdna, zaprzęgał konia do sań i jechał do miasteczka przesiadywać w karczmie ze znajomymi.

W domu Klara zajmowała jego miejsce i nie puszczala Jurka do wsi, żeby mógł bawić się z dziećmi, dopóki nie wywiązał się ze wszystkich obowiązków - nakarmił świnie i kury, zebrał jajka w kurniku, krowom i koniom dorzucił karmy do żłobów. Kiedy jej zdaniem kończył pracę za wcześnie, wynajdowała mu nowe zajęcia.

- Jurek, idź narąb trochę drewna.

Zrobił to także, choć praca trwała długo.

- Kiedy wreszcie skończysz?

- Zostaw go - wstawiała się za nim Maryna.

- Teraz idź poprzebieraj kartofle.

Jurek poszedł do szopy przebierać kartofle. Klara patrzyła mu na ręce, by udowodnić,

że nie wykonał pracy sumiennie. Musiał poprzebierać wszystko od nowa, a kiedy skończył i próbował wymknąć się z szopy, czekała pod oknem, ruszyła za nim i zawołała go z powrotem.

- Przynieś drewno do pieca!

Ponieważ nie mógł nosić szczap oburącz, wiązał je sznurkiem i zarzucał na plecy. Pewnego dnia nie zawiązał węzła dość mocno, pakunek rozpadł się i szczapy rozsypały się po śniegu. Maryna pomogła mu zbierać drewno i zanieść do domu. Potem, nie zważając na kwaśną minę Klary, wreszcie dała Jurkowi wolność.

- Klara nie cierpi wszystkich, bo nie może wyjść za mąż - powiedziała, wybuchając śmiechem.

Maryna dotrzymała obietnicy. Kiedy pewnego ranka taczki z karmą dla świń przewróciły się na śliskiej oblodzonej dróżce i Jurek oberwał kilka policzków od pana Stanisława, zawiozła zamiast niego taczki do chlewu i od tej chwili robiła to codziennie rano i wieczorem. Gdyby nie jej pomoc, Jurek byłby zmuszony odejść z gospodarstwa mimo mroźnej i śnieżnej zimy.

Zimą wiejskie dzieci lepiły ze śniegu bałwany z oczami z węgielków i nosami z marchewki, ale Jurek nigdy nie brał w tym udziału, bo była to zabawa poranna. Natomiast bitwy na śnieżki trwały z przerwami przez cały krótki dzień. Nieduży pagórek na skraju wsi służył do saneczkowania i stamtąd dobiegały radosne krzyki. Dzieci zjeżdżały, jedne na deskach, inne na sankach domowej roboty. Polubiły tego chłopca, który nie miał ręki, a mimo to był zwinny i wesoły, dlatego chętnie dopuszczały go do swoich zabaw. Jeśli nie zdołał się wymknąć Klarze przed zmierzchem, zostawał w domu i siadał z kobietami przy piecu, przyglądając się im, gdy prały, prasowały czy szyły, a potem szedł spać do obory.

Pewnej niedzieli do gospodarstwa przyjechał młody chłopak, który przywiązał konia i wkroczył na podwórze. Maryna zobaczyła go z okna i z radością wybiegła mu na spotkanie.

- Grzegorz!

Stanisław Boguta wyszedł za córką, złapał ją za rękę i zaprowadził z powrotem do domu. Potem obrzucił chłopaka spojrzeniem pełnym jawnej wrogości i powiedział:

- Możesz przychodzić do Klary, jeśli chcesz. Maryna jest jeszcze za młoda.

Po odejściu młodzieńca zapowiedział Marynie:

- To cieśla bez ziemi, w dodatku nietutejszy. Zabraniam ci spotykać się z nim, a jeśli was przyłapię, zamknę cię w domu, a chłopak tego pożałuje.

- Dlaczego Klarze pozwalasz? - zapytała Maryna.

- Jeśli zechce, pozwolę - orzekł ojciec. - Lepszy biedny cieśla niż staropanieństwo.

Klara zalała się gorzkimi łzami. Ten jedyny raz Jurkowi zrobiło się jej żal.

Jurek znał młodego człowieka z widzenia. Pozdrowił Marynę w każdą niedzielę, kiedy przychodzili do kościoła. Jurek zauważył płomienne spojrzenia, jakie tych dwoje wymieniali w czasie nabożeństwa.

Grzegorz nie zrezygnował. Pewnej niedzieli Maryna poprosiła Jurka, żeby został trochę w tyle, gdy cała rodzina wychodziła z kościoła po mszy.

- Grzegorz poda ci karteczkę i kiedy nikt nie będzie patrzył, oddasz mi ją. Umiesz czytać?

- Nie - przyznał Jurek.

Marynę ucieszyła ta odpowiedź.

W każdą niedzielę Grzegorz ukradkiem wciskał mu w dłoń list, a Jurek przekazywał go Marynie. Jeszcze przed końcem zimy Grzegorz zaczął zakradać się do gospodarstwa, najczęściej w noc z niedzieli na poniedziałek. Maryna wymykała się z domu i czekała na niego w oborze. Ponieważ nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć, opowiadała o swoim ukochanym Jurkowi.

- Przystojny jest, prawda?

Jurek nie potrafił ocenić urody Grzegorza, ale przytakiwał.

- Widziałam szafę, którą zrobił dla rodziców mojej koleżanki, a raz widziałam trumnę, którą wykonał dla sąsiadki. To prawdziwe dzieło sztuki. Mówię ci, Jurku, on ma złote ręce, to poza tym mądry chłopak. Kocham go. Nie obchodzi mnie, co mówi tata. Ucieknę z domu i wyjdę za Grzegorza. To wszystko przez Klarę.

Będzie bardzo smutno, jeśli Maryna ucieknie z domu, pomyślał Jurek.

Kiedy przychodził Grzegorz, młoda para obejmowała się w ciemności, wśród krow. Jurek zasypiał i budził się, a oni wciąż tam byli.

- Nie zimno wam? - zapytał raz Marynę.

- Nie. Miłość jest cieplejsza od zimy.

Pewnego wieczora poprosili, żeby poszedł spać do stodoły.

- Potem cię obudzimy i zwołamy z powrotem - obiecał Grzegorz.

Dla Maryny Jurek był gotów spać na sianie, ale ciekawość nie dawała mu spokoju. Co oni robią po ciemku na stryszku, pod jego kocem?

Jednej nocy nie zdołał opanować ciekawości, wrócił cichutko do obory i ukrył się między krowami. W ciemności nie mógł nic dojrzeć, ale słyszał odgłosy rozmowy, szepty i szmery. Nie umiał wyobrazić sobie, co dokładnie robią, ale na dźwięk tych głosów ogarnęło go wielkie i niezrozumiałe poruszenie. Wrócił do stodoły i położył się na sianie zatopiony w

myślach. Przypomniał sobie nagle, że czasami, kiedy spał w jednym łóżku z mamą, budziła go, mówiąc:

- Wstań i idź do łóżka taty.

Na wpół śpiący wstawał, padał na drugie łóżko i natychmiast zasypiał. Ale pewnego razu wyczuł, że ojca nie ma obok.

- Gdzie tata?

- Jestem tutaj.

Na dźwięk jego głosu uspokoił się i zasnął.

Jurek aż usiadł z przejęcia. Przypomniał sobie rozmowę, którą pewnego razu prowadzili między sobą jego starsi bracia. Jeden powiedział:

- Dzisiaj w nocy tata rzucił jarmułkę mamie, a ona mu jej nie odrzuciła.

Zaczęli się śmiać i nagle zauważyli, że stoi obok i słucha z szeroko otwartymi oczami.

- Mały, wiesz, co się dzieje, kiedy mama nie odda tacie jarmułki?

- Ma drugą - powiedział.

Znowu parsknęli śmiechem. Teraz Jurek rozumiał, że za tymi słowami kryło się coś innego. Usiłował to pojąć i przypomniał sobie słowa Marysi. „Zrozumiesz, jak będziesz starszy”. Ale chciał zrozumieć już teraz. Pewna myśl zaświtała mu w głowie. Nie, uznał, że to niemożliwe. Zasnął, a Grzegorz obudził go, by wracał z powrotem na stryszek w oborze.

Pewnej jasnej księżycowej zimowej nocy, gdy Grzegorz zaprowadził go do stodoły, Jurek odczekał jakiś czas i wrócił do obory. Śnieg odbijał światło księżyca i wszystko wokół lśniło. Wszedł do środka i ukrył się za krowami. Młodzi ludzie leżeli pod kocami, a ich ubrania wisiały na szczeblach drabinki. W tym momencie rozległo się skrzypienie kroków na śniegu. Wyjrzał na zewnątrz i zobaczył Klarę. Pędem wspiął się na stryszek i szepnął:

- Maryna, nie ruszajcie się. Klara jest na zewnątrz.

Położył się obok nich na kocu.

- Jurek? - zawołała Klara od drzwi.

- Co takiego?

- Nie śpisz?

- Obudziłaś mnie - powiedział Jurek.

- Widziałeś Marynę?

- Nie.

- Czyj jest ten koń uwiązany do płotu? Grzegorz postąpił nierozważnie. Podczas pełni należało być ostrożniej szym niż w ciemne bezksiężycowe noce. Dziewczyna podeszła bliżej.

- A co tu wisi na szczeblach?

- Moje ubrania - powiedział Jurek.

- Odkąd to rozbierasz się do snu?

Klara wspięła się na górę. Natychmiast zeszła i pobiegła do chałupy z krzykiem:

- Tato! Maryna i Grzegorz są w oborze! Tato! Żółtawe światło świeczki rozblęsnęło w jednym z okien. Gospodarz wybiegł na dwór boso, w nocnej koszuli, z latarnią w jednym ręku, a siekierą w drugim. Grzegorz uciekł. Maryna włożyła koszulę nocną, zeszła na klepisko, włożyła buty i owinęła się kożuchem. Ojciec złapał ją za włosy i zawlókł do domu. Dziewczyna nie płakała. Jurek słyszał dobiegające z domu krzyki i miał nadzieję, że ojciec nie bije córki. Nie żałował więcej Klary. Znienawidził ją.

Następnego dnia gospodarz wypędził Jurka, jakby to on był wszystkiemu winien. Maryna pożegnała się z nim, gdy odchodził, pocałowała w policzek i szepnęła mu do ucha:

- Idź do Grzegorza.

W stolarni powitano go serdecznie. Grzegorz miał dwóch pomocników, wiejskich chłopców, i Jurek dołączył do nich. Z początku lekceważyli go, ale prędko przekonali się, że jest sumiennym i dobrym pracownikiem. Szybko nabral biegłości w zajęciach, do których nie potrzebował dwóch rąk. Polerował kawałki drewna pilnikiem i papierem ściernym, piłował deski unieruchomione w imadle, smarował drewno olejem 175 i wyjątkowo starannie pokrywał meble politurą. Grzegorz był z niego bardzo zadowolony. Po pracy Jurek miał wolne i mógł bawić się z dziećmi, wśród których cieszył się poważaniem. Po raz pierwszy od dawna spał w ciepłym domu, przy piecu.

Na wiosnę Grzegorz sprzedał konia i wóz i spakował cały dobytek w dwa wielkie kufrы. Chłop, który kupił od niego wóz, zawiózł jego i Jurka wraz z bagażem na stację kolejową.

- Jechałeś kiedyś pociągiem?

- Nie - powiedział Jurek, którego oczy skrzyły się z ciekawości.

Kiedy pociąg wtoczył się na stację, Grzegorz był bardzo przejęty. Zaglądał w okna wagonów, gorączkowo czegoś wypatrując.

- To ona! - Jurek pierwszy zauważył Marynę.

Załadowali skrzynie do wagonu towarowego na końcu pociągu i sami wsiedli. Wzruszona Maryna ścisnęła Grzegorza, łzy płynęły jej po policzkach. Ucałowała także Jurka.

- Gdzie byłaś? - zapytał Jurek.

- Ukryłam się w miasteczku niedaleko, u ciotki. Ale tam też ojciec mnie szukał. Szkoda, że go nie widziałeś! - zwróciła się ze śmiechem do Grzegorza.

- Skąd wiedzieliście, jak się spotkać? - zapytał Jurek ze zdziwieniem.

- Pisaliśmy do siebie listy. Rozumiesz teraz, że do brze jest umieć czytać i pisać.

Na jednej ze stacji wszyscy pasażerowie nagle wstali z miejsc i zaczęli tłoczyć się przy oknach. Na peronie stali niemieccy żołnierze. Nie wyglądali, jakby mieli zamiar podróżować pociągiem. Bez widocznego powodu wybuchła panika. Młodzi mężczyźni zaczęli wyskakiwać na pole po drugiej stronie wagonu i uciekać. Ale tam również czekali na nich żołnierze. Rozległy się strzały.

- Łapią ludzi na roboty - powiedział Grzegorz z lękiem. - Chodź!

Oboje z Maryną wyskoczyli z wagonu. Jurek podbiegł do okna, ale nie zobaczył ich wśród ludzi, którzy przeskakiwali tory i biegli dalej polem. Jurek patrzył na rów z wodą ciągnący się wzdłuż torów i dwa zrujnowane budynki stojące w pobliżu, po czym z powrotem przeniósł wzrok na przerażonych, uciekających ludzi. Żołnierze strzelali. Jeden z biegnących upadł, potem następny.

Dwaj żołnierze z naładowaną bronią wsiedli do pociągu i aresztowali kilku młodych mężczyzn, którzy zostali w wagonie. Pociąg zagwizdał. Jurek wziął torbę i wyskoczył na peron. W panującym zamieszaniu nikt nie zwrócił na niego uwagi. Zobaczył grupę kilkunastu młodych mężczyzn pilnowanych przez strażników. Niemcy popędzili ich do wojskowej ciężarówki czekającej przy budynku stacji. Pociąg znowu zagwizdał. Jurek wsiadł do wagonu. Nie, Maryny i Grzegorza na pewno nie było w środku. Konduktor i zawiadowca stacji szli wzdłuż pociągu, zatrzaszkując drzwi z obu stron.

- Wsiadasz, chłopcze?

- Mój brat i siostra nie wrócili - powiedział Jurek.

- Te bydlaki łapią ludzi do kopania okopów - wyjaśnił konduktor. - Rosjanie nadchodzą - dodał i zatrzasnął drzwi z całej siły.

Gwizd rozległ się po raz trzeci. Pociąg ruszył. Jurek szedł po peronie w nadziei, że zobaczy Marynę oraz Grzegorza i wskoczy w ostatniej chwili. Pociąg przyspieszył i Jurek przystanął na krańcu peronu. Wtedy zobaczył ich w okienku maleńkiego przedziału doczepionego do wagonu towarowego. Oni także go zauważyli. Pociąg nabrał prędkości. Grzegorz otworzył drzwi i wołał coś do niego, ale Jurkowi nie udało się rozróżnić słów.

15. Miny. Sasza i dziewczyna o długich warkoczach.

Jurek wrócił do wędrownego trybu życia. Niekiedy zatrudniał się w jednym z gospodarstw na tydzień albo dwa. Czasem po kryjomu nocował w napotkanej stodole. W ciepłe dni kąpał się w jeziorze albo w rzece.

Tęsknił za lasem, za owocami leśnymi i grzybami. Co prawda, co jakiś czas przechodził obok zagajników, w których zbierał jagody i poziomki, ale niewiele znajdował, bo okoliczne kobiety i dzieci na ogół go ubiegały. Na polach znajdował warzywa, a czasem zakradał się do przydomowych ogródków. Nieraz został złapany, najczęściej gdy próbował ukraść jakąś kurę, ale kalectwo zwykle chroniło go przed biciem. Chłopi uznawali go za biednego sierotę, który zmuszony jest żegnać się lewą ręką.

Kiedy spotykał pracujących na polu rolników, podchodził, pozdrawiał ich w imię Jezusa, a jeśli przyjmowali go życzliwie, bez pytania przyłączał się do ich zajęć ze swoją jedną ręką. Podczas przerwy na obiad częstowali go swoim prowiantem i zadawali pytania, kiwając głową nad jego smutnym losem. W duchu buntował się przeciwko litości. Przecież pokazał, jak dobrze umie pracować. Udowodnił, że nawet jedną ręką potrafi zarobić na chleb.

- Skąd jesteś, chłopcze?

- Już nie pamiętam.

Po takich spotkaniach niekiedy proponowano mu pracę. Jeden z chłopów zobaczył go rano, kiedy Jurek zaspany wyszedł ze stodoly, przystał na jego prośbę i posłał na pastwisko z owcami.

Pewnego wieczora zerwała się wichura z ulewą i Jurek wrócił przemoczony do suchej nitki. Gospodarz ulitował się nad nim i wpuścił go do domu. Dał mu jeść i przygotował posłanie przy piecu. Kiedy Jurek już leżał, przykrył go wielkim kożuchem. Rano żona gospodarza przysłała go obudzić, podniosła okrycie i wydała okrzyk przerażenia.

- Heniek! - zawołała do męża. - Patrz, wszystkie wszy przeszły z chłopaka na kożuch!

Chłop wszedł do domu, obejrzał okrycie, wymierzył Jurkowi policzek i wyrzucił go na dwór. Kożuch wywiesił na płocie, wręczył Jurkowi grzebień i kazał mu wyczesać wszy. Jurek zostawił grzebień i wszy i poszedł sobie.

Inny chłop wysłał go z koniem nad rzekę płynącą niedaleko wsi.

- Weź kasztana i wykąp go - nakazał.

- Dlaczego Wisła tutaj jest taka wąska? - zapytał Jurek.

Gospodarz roześmiał się. Potem wyjaśnił, że to inna rzeka, Liwiec, który wpada do

Bugu.

- Poradzisz sobie jedną ręką?

- No pewnie - powiedział Jurek.

- Ale uważaj, tylko w małej zatoczce.

Chłop przez kilka następnych dni posyłał go z krowami na pastwisko. Jurek był zadowolony, rodzina także była zadowolona z niego i miał nadzieję, że uda mu się zostać u nich dłużej, ale nieoczekiwanie przyjechali krewni gospodarza z dwoma dorastającymi synami i Jurek przestał być potrzebny. Tamci uciekli ze swojej wsi przed zbliżającym się frontem rosyjskim. Teraz dowiedział się, że huk i rozbłyśki światła w nocy zwiastują nadejście Rosjan.

Już drugi dzień szedł przed siebie szeroką drogą. Wiele znaków świadczyło o tym, że kiedyś była to prawdziwa szosa. Przez dłuższy czas prowadziła go wzdłuż rzeki i w pewnej chwili postanowił się wykąpać. Rozebrał się pod osłoną trzcin. Kiedy wszedł do wody, niedaleko zauważył most. Droga od rana była całkiem opustoszała, co wydawało mu się dość dziwne. Nie przejechał ani jeden wóz. Kiedy pluskał się w wodzie, usłyszał warkot silnika. Schował się. Ze swojej kryjówki zobaczył, że na most wjeżdża niemiecka ciężarówka. Zatrzymała się i wysiadło z niej kilku żołnierzy. Przestraszył się. Może też przyjechali się wykąpać? Szybko pozbiierał ubrania i ukrył się głębiej w trzcinach, ale nikt nie nadchodził. Jurek wyjrzał z ukrycia i zobaczył, że żołnierze wciąż są na moście. Ubrał się i poczołgał do przodu, żeby się zorientować, co się dzieje. Żołnierze zdejmowali z ciężarówki jakieś skrzynki i długo robili coś na moście, a także pod nim.

Jurek zamierzał iść dalej, ale coś w duszy mówiło mu, że Niemcy zakładają ładunki wybuchowe. Nigdy nie słyszał o minach, ale jego domysły okazały się prawdziwe. Wyjął kilka marchewek, które niósł w torbie z prowiantem na drogę, i zaczął je pogryzać. Żołnierze uwijali się w pośpiechu, a jeden co chwila lustrował horyzont lornetką. Wydawali się mocno czymś zaniepokojeni i skończywszy pracę, natychmiast odjechali.

Jurek postanowił zostać na miejscu, by ostrzec każdego, kto będzie próbował przejechać przez most. Znalazł wygodne miejsce w sitowiu i zdrzemnął się odrobinę. Nikt się nie pojawił. Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy zdecydował, że pójdzie poszukać czegoś do jedzenia. Wyszedł z trzcin i w oddali zobaczył zbliżającą się powoli furmankę.

Jurek pomachał do woźnicy, który ściągnął lejce.

- Podwieźć cię, chłopcze?

- Byli tu Niemcy i robili coś na moście. Długo pracowali.

- To miny! - przeraził się wieśniak. - Być może uratowałeś mi życie. Chodź, odwiozę

cię do domu. Jesteś z tamtej wsi? - Wskazał za siebie.

- Tak - potwierdził Jurek. Już miał wsiąść na wóz, kiedy chłop zatrzymał go, mówiąc:

- Zbliża się front. Już od kilku nocy słysząc działa. Jeśli Niemcy zaminowali most, trzeba ostrzec Rosjan. Rozumiesz? Na razie zostań tutaj i ostrzegaj każdego, kto będzie chciał przejechać. Nie przechodź na drugą stronę. Tylko krzycz: miny! Ja wrócę z sołtysem i jeszcze paroma ludźmi, wtedy odwieziemy cię do domu.

- Jestem głodny - poskarżył się Jurek.

- Zostawię ci coś do jedzenia.

Chłop poszperał pod siedzeniem i wyjął ćwierć bochenka chleba i kilka gruszek. Potem poszukał w kieszeniach i dał Jurkowi garść kostek cukru. Pomyślał chwilę i z innej kieszeni wyjął kawałek kielbasy.

- Należy ci się - powiedział.

Nadszedł wieczór, ale chłop wciąż nie wracał. Jurek leżał na polu niedaleko mostu i usiłował nie zasnąć. Co będzie, jak przyjdą Rosjanie? Po jakimu mówią? Pewnie po rosyjsku. W nocy znowu rozlegał się huk, ale tym razem błyski i grzmoty były bliższe i silniejsze. W końcu Jurek zasnął. Obudził się przerażony w ogłuszającym hałasie. W świetle budzącego się dnia zobaczył niezwykle widowisko. Na skraju pola stały wojskowe ciężarówki i kilka czołgów. Na łące wokół uwijali się żołnierze. Jurek przestraszył się. Nie ostrzegł ich. Co teraz? Wstał i ze wszystkich sił pobiegł między żołnierzami w stronę mostu. Udało mu się wyminąć jedną grupę, ale wpadł na inną. Ktoś złapał go, podniósł do góry i popatrzył mu w twarz. Obcy mężczyzna uśmiechnął się i powiedział po rosyjsku:

- Jesteśmy Rosjanami. Nie bój się, chłopcze.

Jurek zrozumiał jego mowę, która przypominała mu język polski. Próbował wszystko wyjaśnić. Tłumaczył z wielkim przejęciem. Żołnierz postawił go na ziemi. Był młody i barczysty, o okrągłej twarzy i budzącym zaufanie uśmiechu. Kiedy zobaczył, że Jurek wciąż się gorączkuje i gestykuluje z przejęciem, jakby zdradzał im coś ważnego, zaprowadził go do samochodu oznaczonego białymi kołami z dużym czerwonym krzyżem.

- Po polsku - wskazał na jednego z dwóch ludzi siedzących obok samochodu. Oni także nosili opaski i znaki z czerwonym krzyżem na ramionach i czapkach.

- Co się stało? - zapytał Polak.

- Niemcy zaminowali most.

- Skąd wiesz?

- Widziałem. Wczoraj. Kąpałem się w rzece i widziałem. Jeden chłop kazał mi poczekać tutaj i was ostrzec. Miał wrócić z ludźmi ze wsi, ale nie przyjechali.

- Byli tutaj - powiedział mężczyzna - i rzeczywiście nas ostrzegli. Dlatego zatrzymaliśmy się i nie przejechalśmy na drugą stronę. Poczekamy, aż saperzy rozbiją ładunki.

- Zasnąłem i nic nie widziałem - wyznał Jurek.

- Wspominali o jakimś chłopcu, który zauważył Niemców zakładających miny. To ty?

- Tak - potwierdził Jurek.

Jego rozmówca przetłumaczył i żołnierz powiedział mu kilka serdecznych słów i chociaż Jurek ich nie zrozumiał, pojął ogólny sens.

- Uratowałeś wielu ludzi. Odwieziemy cię do domu, a nasz dowódca da prezent twoim rodzicom. Gdzie mieszkasz?

Jurek zatoczył ręką szeroki krąg.

- Wszędzie - powiedział.

- Nie masz rodziny?

- Nie - potwierdził.

- To co tu robisz?

- Szedłem szukać pracy i zasnąłem na polu.

- Co się stało z twoją ręką?

- Jest pan lekarzem?

- Nie, sanitariuszem.

- Utkwiła w maszynie - wyjaśnił Jurek.

Obaj dorośli zamienili ze sobą kilka zdań.

- On pyta, czy chciałbyś z nim zostać - przetłumaczył sanitariusz. - Sam bym cię wziął, bo znam polski, ale niedługo jadę do Moskwy i wrócę dopiero zimą.

Jurek przyjrzał się twarzy młodego żołnierza. Ten wskazał na swoją pierś i powiedział:

- Jestem sierżant Sasza.

Jurek wskazał na siebie i przedstawił się:

- Jestem Jurek.

Sasza wyciągnął rękę i Jurek uściśnął ją.

- Powiedz mu, że chcę z nim zostać - zwrócił się do tłumacza.

- Słuszna decyzja, to dobry chłopak.

Sanitariusz wyjął chleb i okrągłą puszkę, w której znajdowały się jakieś posrebrzane trójkątki. Ukroił Jurkowi chleba, zdjął sreberko z jednego z trójkątów i posmarował kromkę żółtawą masą ze środka.

- Wiesz, co to?

- Nie.

- Żółty ser, który przysłali nam z Ameryki - wyjaśnił sanitariusz.

- Z Ameryki?

- Tak samo jak ciężarówki, które tutaj widzisz, i wieprzowina w puszkach, którą będziesz od tej pory często jadał. Wszystko z Ameryki.

Jurek wiedział, że Ameryka jest bardzo daleko.

- Jak te ciężarówki tu dojechały? - zapytał sanitariusza.

- Na statkach, chłopcze, na statkach. Przez Morze Północne.

Sasza wrócił z mundurem. Pożyczył od sanitariusza nożyce, obciął rękawy bluzy i nogawki spodni, a potem wskazał na trzciny i gestem polecił Jurkowi, żeby się umył i przebrał.

Żołnierze z oddziału usłyszeli historię o chłopcu bez ręki i zaminowanym moście i Jurka wszędzie życzliwie witano. Jeszcze większa była jego radość, gdy dowiedział się, że „jego” żołnierz jest w jakiś sposób związany z czołgami. Przez cały dzień wpatrywał się w te maszyny z ciekawością, obchodził je dokoła, dotykał. Kiedy przyszli żołnierze, którzy zajmowali się czołgami, zaczęli je czyścić, smarować i oliwić, wziął szmatę i dołączył do nich. Pracował uważnie i sumiennie. Wieczorem usiadł ze swym nowym opiekunem przy ognisku. Nad ogniem wisiał garnek, w którym żołnierze gotowali owsiankę. Kiedy kasza była gotowa, otworzyli puszki z konserwami i dorzucili ich zawartość do garnka. Sasza dał chłopcu łyżkę i nałożył potrawę do blaszanego kubka, z którego jedli razem. Sasza nie przejmował się, że Jurek go nie rozumie, i mówił do niego, czasem śmiał się, a kiedy wszyscy zaczęli się rozchodzić, zabrał go do wielkiej ciężarówki, zapalił latarkę i pokazał mu wnętrze. Były tam rozmaite narzędzia przypominające Jurkowi kuźnię w jego rodzinnym miasteczku. Sasza wskazał na narzędzia, potem na czołgi, a następnie klepnął się w pierś. Teraz Jurek zrozumiał. Sasza należał do ekipy mechaników. Rosjanin rozłożył koc przy ciężarówce i pokazał Jurkowi, by położył się spać obok niego.

Następnego dnia o świcie kompania wyruszyła w drogę. Jurek z Saszą i kilkoma innymi żołnierzami siedział na jednym z czołgów. Z początku, pomimo energicznych protestów chłopca, Sasza trzymał go, by nie spadł, ale w końcu Rosjanin zorientował się, że powinien uszanować jego pragnienie samodzielności. Mimo kalectwa chłopiec chciał być traktowany jak pozostali członkowie załogi.

Nagle otworzono do nich ogień. Czołgiści schronili się we wnętrzu maszyny, a pozostali żołnierze zeskoczyli i rzucili się na ziemię. Czołgi obróciły wieżyczki. Ostrzał był

coraz gęstszy i Rosjanie odpowiedzieli ogniem. Leżący obok Jurka żołnierze założyli bagnety na karabiny, wstali i pobiegli za dowódcą. Jurek podniósł się, by popatrzeć, lękając się o swojego opiekuna, ale w pyle i dymie nic nie zobaczył.

Potem strzały umilkły i rozległy się wiwaty oraz okrzyki radości. Kilku żołnierzy popychało przed sobą trzech przestraszonych jeńców, Niemców. Nagle ktoś wystrzelił do nich długą serią. Upadli, zalani krwią. Jurek opanował szok i przyjrzał się twarzom zabitych. Nie, nie było wśród nich Wenera. Odwrócił się i ujrzał Saszę, który mu się przyglądał.

- Jesteś blady. Chodźmy stąd.

Sasza i ludzie z jego załogi wzięli narzędzia i zajęli się naprawą jednego z czołgów, a Jurek stał i przyglądał się ich pracy. W pewnej chwili Sasza wezwał go i wskazał jedno z narzędzi. Jurek podał mu je. Potem następne. Za każdym razem Sasza wymieniał nazwę narzędzia po rosyjsku.

Kiedy mechanicy usiedli, by zapalić, Jurek wyjął z kieszeni zapalniczkę i przypalił Saszy papierosa. Zapalniczka wzbudziła powszechne zainteresowanie i przechodziła z rąk do rąk.

Przez cały czas, gdy kompania na zmianę posuwała się naprzód i czekała, przyjaźń między Saszą a Jurkiem pogłębiała się, z początku niemal bez słów. Niekiedy słowa rosyjskie okazywały się podobne do polskich. Wtedy obaj głośno wyrażali radość.

- Chcesz zjeść coś innego? - zapytał Sasza pewnego wieczora po tradycyjnym posiłku złożonym z kaszy i mięsa z konserwy.

Jurek roześmiał się. Zdanie to zabrzmiało dla niego jak wypowiedziane łamaną polszczyzną albo jakby ktoś żartował.

- Tak - odparł.

- Jutro rano.

Tego wieczora zatrzymali się nad jeziorem. Rano Sasza wziął skrzynkę oraz granat ręczny i poszedł z Jurkiem nad wodę. Odpalił granat i wrzucił go do jeziora. Po chwili na powierzchni pojawił się ślad wybuchu i rozeszły się fale, a po pewnym czasie wypłynęły brzuchami do góry ryby. Sasza zrzucił ubranie i wszedł do wody, by je wyłowić. Wrzucili ryby do skrzynki i zanieśli do obozu. Zapanowała wielka radość. Co prawda, okazało się, że zaraz muszą ruszać dalej, ale na następnym postoju rozpalili ogniska i wszyscy piekli ryby nadziane na patyki.

Mimo trudności językowych Saszy udało się opowiedzieć Jurkowi o swojej rodzinie. Gestykułując, wyjaśnił, że ma starszego brata w wojsku, dwie młodsze siostry i jeszcze jednego brata, młodszego od Jurka. Także Jurkowi udało się opowiedzieć przyjacielowi, że w

jego rodzinie było pięcioro dzieci i że on jest najmłodszy. Sasza wymienił imiona rodziców, sióstr i braci, a potem przyszła kolej na Jurka. Usiłował przypomnieć sobie imiona członków swojej rodziny, ale na próżno.

- Nie pamiętam - wyznał ze smutkiem.

- Gdzie oni są?

Jurek wzruszył ramionami.

- Pewnie nie żyją - powiedział na koniec.

Sasza pocieszał go serdecznym poklepywaniem po ramieniu.

Huk dział i błyski świateł w nocy oddalały się stopniowo, aż w końcu całkiem przestali słyszeć front. Pewnego dnia ich kompania zatrzymała się, podczas gdy inne posuwały się dalej naprzód. Jurek poszedł do sanitariusza zapytać, czemu stanęli i dokąd jadą inni. Zastał go siedzącego na ziemi i grającego w warcaby z kierowcą.

- Idą w stronę Wisły, chłopcze, okopać się i umocnić.

- A my?

- My czekamy na wielkie uderzenie. Mamy szczęście i możemy nabrać sił w sanatorium.

Jurek został, żeby przyjrzeć się grze, a gdy skończyli, zaproponował, że on także może zagrać.

- Ty? - roześmiał się sanitariusz. - Proszę bardzo.

Jurek przegrał. Spróbował drugi raz i także przegrał.

- Nie przejmuj się - pocieszył go sanitariusz. - Przyjdź do nas znowu. Człowiek uczy się na błędach.

Od tamtej pory Jurek zwykł często ich odwiedzać i nie stracił ochoty na grę, chociaż za każdym razem przegrywał. Sanitariusz jednak miał rację, bo z czasem Jurek grał coraz lepiej.

- Sasza, chcesz zjeść coś innego?

To pytanie stało się ich wspólnym kawałem. Jurek chował rękę za plecami.

- Tak - powiedział Sasza.

Jurek wyciągnął rękę i otworzył zaciśnięte palce. Na dłoni miał ślimaka. Sasza wybuchnął śmiechem, przewrócił Jurka na ziemię i udawał, że próbuje nakarmić go oślizgłym stworzeniem. Poza tym nie pozostał mu dłużny. Następnego dnia zapytał:

- Chcesz zjeść coś innego?

Jurek zawahał się. Może Sasza chowa za plecami trójkącik żółtego sera? Zaryzykował i odpowiedział twierdząco. Ale to była dżdżownica, którą żołnierz wykopał z ziemi. Z tym że

natychmiast otworzył drugą rękę i wręczył Jurkowi dwie kostki cukru.

- Chcesz zjeść coś innego?

Jurek wybuchnął śmiechem, bo tym razem Sasza chował obie ręce za plecami.

- Tak - powiedział.

Sasza wyciągnął przed siebie ręce, ale okazały się puste.

- Chodź ze mną do wsi - powiedział, wskazując na domy, widoczne w niewielkiej odległości od obozowiska.

We wsi dzięki negocjacjom prowadzonym przez Jurka udało się im wymienić cukier na kurę. Wrócili do obozu weseli, zaprosili na kolację sanitariusza i upiekli kurę nad ogniskiem.

Po posiłku sanitariusz zaproponował Jurkowi partię warcabów.

Tym razem Jurek wygrał.

To była jego pierwsza wygrana i napelniła go bezgraniczną radością. Sanitariusz wstał, zamknął pudełko z warcabami i podał mu je.

- Weź i naucz grać Saszę - powiedział. - Ja jutro wyjeżdżam.

Na pożegnanie uścisnął serdecznie Jurkowi rękę.

Jurek został z Saszą i jego towarzyszami przez całą jesień. Z początkiem zimy mówił już trochę po rosyjsku i mógł sam służyć za tłumacza. Sasza zwykł zabierać go ze sobą co jakiś czas, gdy szedł handlować z wieśniakami.

Kiedy ziemia stwardniała od przymrozków, żołnierze otrzymali rozkaz przeniesienia się do jednej ze wsi i Saszę z towarzyszami zakwaterowano w dużym gospodarstwie. Po pewnym czasie Sasza zaczął zanosić żonie gospodarza produkty żywnościowe w podarunku. Kobieta jednak przyjmowała je z wielką podejrzliwością. Widziała spojrzenia żołnierzy odprowadzające jej córkę i strzegła jej jak żrenicy oka. Pewnego dnia Sasza poprosił Jurka, żeby napisał mu coś po polsku na karteczce i zaniósł dziewczynie.

Jurek zląkł się. Teraz utraci Saszę, pomyślał, tak jak stracił Marynę i Grzegorza.

- Nie umiem pisać - wyznał.

- To podejdź do niej, kiedy będzie sama w chlewie albo w oborze. Powiedz... - Sasza zawahał się. Nie wiedział, jak dokładnie sformułować swoje myśli.

- Powiedz, że Sasza mówi, że jest bardzo ładna. Wtedy ona zapyta: kto to Sasza? A ty jej mnie pokażesz. Będę stał przed stodołą. W porządku?

- W porządku.

Posłannictwo się powiodło. Dziewczyna z długimi warkoczami naprawdę zapytała, kim jest Sasza.

- Pokażę ci go.

Sasza stał przed stodołą.

- To on - powiedział Jurek.

Sasza uśmiechnął się i uklonił. Dziewczyna zarumieniła się i uciekła z powrotem do obory.

- Dobry chłopak. - Sasza poklepał go po ramieniu. - Chcesz zjeść coś innego? - I wyciągnął z kieszeni trójkącik żółtego sera.

Pewnej nocy Jurek odkrył, że Saszy nie ma obok niego na posłaniu.

- Gdzie byłeś w nocy?

- Później ci opowiem.

- Kiedy?

- Kiedy otrzymamy rozkaz wymarszu.

- Dokąd?

- Podbić Niemcy.

- A ja? - zapytał Jurek.

- Coś dla ciebie wymyślę, nie martw się.

- Chcę jechać z tobą - powiedział Jurek.

- Już się przekonałeś, jak wygląda wojna. Pamiętasz tamtych trzech jeńców?

Jurek pamiętał.

Na początku zimy Jurek spróbował włożyć buty, które nosił w torbie. Ku jego zdumieniu okazały się za małe. Sasza przyniósł parę butów wojskowych, wypchał je gazetami i włożył Jurkowi na nogi. Chłopiec bardzo się ucieszył. Buty nie były nowe, ale całe, z podkutymi podeszwami. Kiedy spadł pierwszy śnieg, Jurek dostał też wojskowe kalessony i gruby płaszcz.

- Nie znalazłem mniejszych - usprawiedliwiał się Sasza.

- Wystarczą mi spodnie - zaprotestował Jurek, przyglądając się kalessonom podejrzliwie.

- Włóż je, będzie ci ciepło. Są duże, ale możesz je podwinąć, i mają sznurek do zawiązania. Widzisz? Przymierz.

- Później - wykręcił się Jurek.

Sasza włożył mu płaszcz, zaznaczył i skrócił poły oraz oba rękawy. Zawahał się przez chwilę nad prawym rękawem, ale zanim Jurek zdążył coś powiedzieć, skrócił go na taką samą długość jak lewy.

- Możesz go włożyć do kieszeni - poradził.

Jurek nałożył płaszcz.

- Ładnie - uznał Sasza. - Teraz idź i zajrzyj przez okno, zobacz, czy siadają do jedzenia.

Jurek poszedł zajrzeć.

- Nie, jeszcze nie zaczęli.

- Zawołaj mnie, kiedy siadą do stołu.

Kiedy nadeszła pora posiłku, Jurek zawołał Saszę. Żołnierz wziął ze sobą butelkę wódki.

- Chodź ze mną - powiedział.

Zapukał do drzwi i weszli. Dziewczyna przywitała Saszę z wielkim przejęciem, jej rodzice natomiast byli zaskoczeni wizytą. Ojciec zobaczył butelkę wódki w ręku gościa i zaprosił ich, by usiedli z rodziną do stołu. Po modlitwie wszyscy się przeżegnali. Mężczyźni stuknęli się kieliszkami, wypili za zwycięstwo i za śmierć Hitlera, po czym zabrali się do jedzenia. Zarumieniona i podekscytowana dziewczyna siedziała obok Jurka. Chciała mu pomóc, ale Sasza wtrącił się, mówiąc:

- Nie trzeba, Krystyno, on je sam. Rodzice wymienili spojrzenia.

Żołnierz ponownie napełnił kieliszki. Tym razem wypili za zdrowie Stalina i za mateczkę Rosję. Sasza nalał też Jurkowi, ale chłopiec nie chciał wypić. Próbował już kiedyś tego napoju i nie miał ochoty znowu spalić sobie języka. Za trzecim razem gospodarz wznosił kieliszek i oznajmił:

- Za wolną Polskę!

A potem Sasza wygłosił czwarty toast:

- Za najpiękniejszą z dziewczyn, Krystynę! Jurku, przetłumacz im, co powiedziałem.

Jurek spełnił prośbę.

Rodzice znowu wymienili zatroskane spojrzenia, a Krystyna uciekła do kuchni. Sasza przemówił:

- Przyszedłem powiedzieć wam, że wyjeżdżamy.

- Wyjeżdżacie? - wystraszył się Jurek.

- Powiedz im tylko to, co mówię.

Jurek przetłumaczył. Spłoszona dziewczyna wróciła z kuchni.

- Ruszamy na Berlin - oświadczył z dumą Sasza. Wszyscy to zrozumieli. Sasza wstał i oświadczył uroczyście:

- Kiedy skończy się wojna, wrócę i za waszą zgodą poproszę Krystynę o rękę. Jurek przetłumaczył.

Krystyna zakryła twarz rękami. Zapadła cisza. Siedzieli w pełnym napięcia oczekiwaniu. Wszystkie spojrzenia skierowały się na ojca.

- Zgodzisz się przejść na katolicyzm? - zapytał wreszcie chłop.

Sasza zrozumiał, ale mimo wszystko zaczął, aż Jurek przetłumaczy pytanie.

- Zgodzę się - potwierdził. Wszyscy to zrozumieli.

- Będziemy na ciebie czekać i modlić się za ciebie - powiedział ojciec. Matka klasnęła w dłonie z przejęciem.

- Jeszcze jedno - ciągnął żołnierz. - Chciałbym zostawić u was chłopca. Jurek przetłumaczył, speszony. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Gospodarz zapytał:

- Jak ci na imię?

- Jurek Staniak.

- Jesteś katolikiem?

- Tak.

- Skąd on cię zabrał?

- Znalazł mnie na polu.

- Ładnie nauczyłeś się rosyjskiego - pochwaliła kobieta.

- Jestem z nimi od lata - wyjaśnił Jurek.

Teraz padły wszystkie zwyczajowe pytania o rodziców, o to, skąd pochodzi, gdzie przebywał przez cały czas, i wyuczone odpowiedzi. Potem gospodarz zapytał:

- Co możesz robić?

- Zawsze zajmowałem się świniami, pasłem krowy, karmiłem zwierzęta. Wszystko.

- Przyjmiemy go do pracy - powiedziała kobieta. Gospodarz przytaknął skinieniem.

Nadeszła chwila pożegnania. Sasza wstał, Jurek razem z nim.

- Nie - odezwał się Sasza. - Ty zostajesz.

- Już? - przeraził się Jurek.

Usiadł z powrotem. Sasza pożegnał się ze wszystkimi. Potem podniósł Jurka z krzesła i uściskał go.

- Będzie ci tu dobrze - zapewnił. - To porządni ludzie.

- Chcesz zjeść coś innego? - zapytał Jurek.

Sasza zdziwiony patrzył na zaciśniętą rękę chłopca. Jurek rozchylił palce. Na dłoni leżała zapalniczka.

Sasza zawahał się przez moment. Nagle ucałował Jurka i wziął podarunek.

- Odprowadzę cię - powiedziała Krystyna i pobiegła po kozuch.

- Pada śnieg! - zawołała za nią matka.

- Nie szkodzi - wtrącił się ojciec. - Tylko nie odchodź za daleko.

Sasza i ojciec uścisnęli sobie dłonie, potem Sasza pocałował matkę Krystyny w rękę. Jurek był ciekaw, dlaczego gospodarz mówił coś o religii katolickiej. Przecież oni wszyscy są chrześcijanami, myślał. Ale powstrzymał się i nie zapytał.

Krystyna z Saszą wyszli. Rodzice pospieszyli do okna, a Jurek za nimi. Na dworze rzeczywiście padał śnieg. Młodzi ludzie szli objęci na oczach wszystkich. Towarzysze Saszy stali przed domem, gotowi do odjazdu. Kiedy zobaczyli parę wychodzącą z domu, przywitali ją wiwatami. Sasza i Krystyna objęli się i pocałowali na pożegnanie, po czym dziewczyna przybiegła z powrotem do domu, zarumieniona. Teraz Jurek zdobył się na odwagę i spytał:

- Sasza nie jest katolikiem?

- Nie, Rosjanie są inni - odparł chłop. Sasza wcale nie wydawał się Jurkowi „inny”.

- Berlin jest daleko?

- Nie gadaj tyle - upomniał go gospodarz.

- Bardzo daleko - odpowiedziała Krystyna z westchnieniem.

- Nie przejmuj się - powiedziała matka. - Mimo wszystko to Rosjanin i kto wie, skąd się wziął.

- Mamo! - zaprotestowała dziewczyna.

Najpierw zobaczymy, czy w ogóle wróci - uciął ojciec.

16. Wojna naprawdę się skończyła. Dwie grzeszne dusze.

Wczesną wiosną Wisła wezbrała i zalała okoliczne 201 tereny. Kiedy wysoka fala przerwała nadbrzeżne wały, na szerokiej równinie nie było żadnej przeszkody, która mogłaby powstrzymać wodę, i powódź ogarnęła całą okolicę. Tej nocy przed świtem krowy w oborze zaczęły nagle muczeć. Pierwszy obudził się parobek, Jan. Zszedł ze stryszku, na którym spał razem z Jurkiem, i nagle poczuł, że stoi w wodzie.

- Jurek, wstawaj! Powódź!

Ze stajni dobiegało rzenie przestraszonych koni. Woda dotarła do zabudowań gospodarskich wcześniej niż do chałupy stojącej na lekkim wzniesieniu.

Jurek zszedł i rozejrzał się. Wszystko było zalane.

- Skąd tu się wzięło tyle wody?

- Wisła wylała. Biegnij uwolnić konie.

- Wisła? Przecież jest daleko.

- Nie gadaj teraz. Leć! Ja odwiążę krowy.

Brodząc w wodzie, która sięgała już do kostek, Jurek dotarł do stajni. Konie kręciły się niespokojnie, grzebiąc kopytami, jakby rozumiały, co się dzieje. Kiedy je odwiązał, wybiegły na zewnątrz. Potem zaczął walić w drzwi chałupy z krzykiem:

- Panie Wojciechu! Powódź! Powódź!

W oknach zabłyśło żółtawe światło lampy naftowej. Drzwi się otworzyły.

- Kobieto! Powódź! Obudź Krystynę! - zawołał gospodarz do żony.

- Ratujcie świnię! - odkrzyknęła.

Tymczasem dołączył do nich parobek Jan i wszyscy pobiegli, brodząc w wodzie, do chlewu, każdy chwycił prosiaka albo dwa i zaniósł zwierzęta do domu. Za nimi, protestując głośno, toczyła się maciora, która weszła za ludźmi do chałupy. Gospodarz zamknął drzwi. Woda wdzierała się już do środka przez szpary w belkach.

- Wszyscy na poddasze! - nakazał gospodarz.

Najpierw zanieśli na górę prosiaki. Potem starali się wepchnąć po stopniach opierającą się maciorę.

- Zostawcie ją i wnieście wszystkie rzeczy. Jak woda się podniesie, sama wejdzie - zdecydował chłop.

- Co z krowami i końmi? - zapytał Jurek, gdy na chwilę zostali sami z Janem.

- Kiedy wody przybędzie, zaczną pływać. Może dotrą do jakiegoś pagórka. A jeśli nie

utoną, wróć. I nie gadaj więcej, bo oberwiesz od gospodarza.

Wszyscy nosili dobytek na poddasze.

Ranek wstał szary i mglisty. Maciora unosiła się na wodzie w pokoju na dole, opierając się o schodki. Woda sięgała już powyżej parapetów okiennych. Kiedy do pokoju wpadło trochę dziennego światła, gospodarz z parobkiem wpełchnęli zwierzę na górę, podczas gdy gospodyni, Krystyna i Jurek trzymali prosiaki nad schodkami. Prosięta na widok matki zaczęły piszczeć, a ona odpowiadała im donośnym chrząkaniem. Teraz zgodziła się wejść na górę i popychana, dotarła szczęśliwie na poddasze.

Z okienek w dachu roztaczał się całkiem nowy widok, aż po horyzont. W pobliskim zagajniku nad wodę wystawały tylko korony drzew. Z okolicznych domów zostały same dachy. Sytuacja sąsiadów była nie do pozazdroszczenia. Siedzieli na dachach, przytrzymując się kominów albo drabinek. Niektórzy trzymali na rękach małe dzieci, inni prosięta. Deszcz wciąż padał.

Po południu na pontonach przypłynęli polscy żołnierze, by ratować ludzi. Jurek był przejęty ich widokiem. Polscy żołnierze w mundurach. Teraz uwierzył, że wojna naprawdę się skończyła. Ratownicy zdejmowali ludzi z dachów, a na koniec jeden ponton podpłynął także do nich.

- My zostajemy - powiedział Wojciech Cherka z okienka w dachu. - Ale weźcie chłopaka. On nie jest nasz i nie chcę brać za niego odpowiedzialności.

Podniósł Jurka do okna i rzucił go na zewnątrz, w ramiona żołnierza.

Żołnierz posadził Jurka między ludźmi, którzy siedzieli stłoczeni w pontonie z dziećmi i prosiętami. Zaczęli odpływać. Jurek odwrócił się, by pożegnać się z rodziną Cherków. Krystyna machała do niego, wysunąwszy głowę i ramiona przez okienko w dachu.

Przez cały czas, gdy płynęli po nieskończonej połaci wód, mijając zalane wsie i czubki drzew, nikt się nie odzywał. Wszyscy, pogrążeni we własnych troskach, uważali, by się nie poruszać, żeby wyładowany ponton nie nabrał wody. W końcu znaleźli się na odcinku rzeki, gdzie wały nie zostały przerwane, i płynęli dalej, aż dotarli do jakiejś osady i dobili do pomostu. Jeden z żołnierzy przycumował ponton i wszyscy ostrożnie weszli na mokre deski, a potem na brzeg. Ratownicy poprowadzili ludzi do kościoła.

- Gdzie twoi rodzice? - zapytał jeden z żołnierzy, kiedy wszyscy znaleźli się już w środku.

- Nie mam - odparł Jurek.

- Dostaliśmy rozkaz, żeby przewieźć wszystkie sieroty do domu dziecka - powiedział żołnierz.

Jurek obojętnie wzruszył ramionami.

- Zaczekaj chwilę - polecił mu żołnierz. - Może są tu jeszcze inne dzieci bez rodziców.

Kiedy wrócił, Jurka już nie było. Poszedł poszukać sobie miejsca, które mu się spodoba.

Chciał mieszkać w domu u rodziny, a nie w sierocińcu. W centrum miejscowości, do której przywieziono powodzian, stały domy mieszkalne i sklepy, a na skraju ujrzał gospodarstwa w niewielkich obejściach. Niektóre domy stały spalone i zrujnowane, a drzewa połamane i osmalone przez ogień. W rowie leżał wypalony wrak czołgu. Jurek dotarł do niedużego domostwa na granicy pól, wszedł na podwórko i się rozejrzał. Zobaczył kilka zabudowań, dwa wozy. Wielki dąb rozpościerał nagie gałęzie nad słomianą strzechą. Miejsce spodobało się Jurkowi, podszedł więc do drzwi i zastukał. Otworzył mu mężczyzna w średnim wieku. Jurek nie mógł zdecydować, czy to rolnik, robotnik, czy też rzemieślnik.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - przywitał się.

- Na wieki wieków, amen - odpowiedział mężczyzna.

Jurek zajrzał do środka. Zobaczył dużą izbę z szerokim łóżkiem. Na stole stała lampa naftowa. W piecu płonął ogień. W pomieszczeniu siedziała kobieta i robiła na drutach. Nie przerywając zajęcia, podniosła oczy i spojrzała na Jurka. Chłopiec, wyglądający na jego rówieśnika, siedział przy stole i jadł. Na widok gościa uśmiechnął się, a Jurek odpowiedział uśmiechem.

- Jesteś z powodzian? - zapytał mężczyzna.

- Tak - potwierdził Jurek.

- Wejdz. Damy ci coś do jedzenia.

Jurek usiadł obok chłopca, a mężczyzna postawił przed nim talerz. Jurek trochę zjadł, ale zmęczenie po nieprzespanej nocy wzięło górę i oczy zaczęły mu się kleić.

- Chłopak musi iść spać - orzekła kobieta.

Wstała, wyjęła z szafy koc i podała go Jurkowi, a do syna powiedziała:

- Tadek, weź lampę i idź z nim.

- Uważaj, żeby niczego nie podpalić - ostrzegł ojciec. - Od razu przynieś lampę z powrotem.

Tadek zabrał lampę ze stołu i poprowadził Jurka do małej obórki z czterema krowami. Nie było tam stryżku z sianem. Tadek oświetlił jeden z kątów, w którym leżało postanie ze słomy. Jurek położył obok swój koc. Kiedy Tadek wrócił, stąpając po omacku w ciemnościach, Jurek już spał.

Został u państwa Kowalskich. Pan Kowalski był z zawodu kowalem, podkuwał konie,

a poza tym miał małe gospodarstwo i ogród warzywny. Oprócz krów trzymał dwa konie, świnie i kury. Teraz, kiedy Warszawa została w dużej mierze zniszczona, i po przejściu frontu nie miał wielu koni do podkuwania. Przez większość czasu zajmował się przewożeniem ładunków, przede wszystkim przy odgruzowywaniu miasta i zbieraniu cegieł. Tadek i Jurek byli jego pomocnikami. Czasem wszyscy trzej jechali do pracy w mieście. Gdy zostawali w domu, zajmowali się inwentarzem. Za każdym razem, gdy pan Kowalski próbował posłać ich do szkoły, uciekali i całymi dniami włóczyli się po polach. Wszystkie jego wysiłki szły na marne.

Podczas jednej z podróży do miasta pan Kowalski wskazał wypalony, zniszczony rejon, mówiąc:

- To było żydowskie getto.

Jurek patrzył z niedowierzaniem. W jednej chwili przed oczami stanęły mu obrazy domów i ulic, rodziców, zamazane sylwetki rodzeństwa i kolegów. Miał jednak wrażenie, jakby to wszystko było jedynie wytworem jego wyobraźni.

Co niedziela Jurek szedł ze swymi opiekunami do kościoła. Rano mył się nad korytem dla koni, wkładał niedzielne ubranie, które należało do Tadeka, i rosyjskie wojskowe buty.

Pewnego dnia w środku tygodnia Tadek pojechał z ojcem, a Jurek został, by pomagać pani Kowalskiej w gospodarstwie. Skończył wszystkie zajęcia wcześniej, poszedł więc pospacerować uliczkami miasteczka, rozglądając się za dziećmi, z którymi mógłby się pobawić. Dzieci jednak były jeszcze w szkole i Jurek mimochodem dotarł do kościoła. Zawahał się chwilę i wszedł do środka. We wnętrzu nie zastał nikogo. Panowała cisza, inaczej niż w niedzielę, gdy kościół wypełniał się po brzegi wiernymi. Usiadł niedaleko ołtarza i rozglądał się. Skrzypnęły drzwi i wszedł ksiądz. Teraz miał na sobie zwykłą sutannę bez ozdobnego ornatu, który wkładał do mszy.

- Uciekłeś ze szkoły? - zapytał żartobliwym tonem.

- Nie - odparł Jurek. - Tak tylko wszedłem.

- Kim jesteś?

- Jurek Staniak, mieszkam u państwa Kowalskich.

- Aha, jeden z powodziań - przypomniał sobie ksiądz. - Pomóż mi przenieść ten stół.

Nagle zauważył jego amputowaną rękę.

- Nie szkodzi, poradzę sobie sam.

Jurek się obraził.

- Umiem robić wszystko, ojcze.

Ksiądz zrozumiał swój nietakt. Skinął głową i Jurek pomógł mu przenieść stół do

zakrystii.

- Napijesz się herbaty? - zapytał potem.

- Chętnie, dziękuję.

Ksiądz zaparzył herbatę, postawił na stole talerz z ciasteczkami i obaj usiedli.

- Ile masz lat?

Jurek zastanowił się przez chwilę.

- Chyba dziesięć.

- Miałeś komunię?

Jurek wiedział, co to takiego. Widywał czasem chłopców i dziewczynki idących do kościoła w dniu tej uroczystości. Wszystkie wiejskie urwisy przeobrażały się nagle w eleganckich paniczów, a dziewczynki w długich białych sukienkach z wiankami na włosach - w księżniczki.

- Nie miałem.

- Wkrótce przystąpi u nas do komunii duża grupa dzieci. Porozmawiam z twoimi opiekunami.

Czyżby on też miał wyglądać jak tamte dzieci? Trudno mu było w to uwierzyć.

Po pierwszym spotkaniu z księdzem Jurek zaglądał co jakiś czas do kościoła, wycierał kurze, pielął niewielki ogródek, piłował drwa na opał i rozmawiał z księdzem przy herbacie.

Pewnego dnia ksiądz zapytał:

- Jak straciłeś rękę?

- Utkwiła w maszynie. Jeden lekarz, drań, nie chciał mnie zoperować i leżałem całą noc na korytarzu.

- Dlaczego nie chciał?

Jurek się stropił.

- Nie wiem.

Ksiądz milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- Lekarz nie powiedział dlaczego?

- Nie pamiętam.

- A kto cię mimo wszystko zoperował?

- Następnego dnia przyszedł inny doktor i musiał amputować mi rękę z powodu gangreny.

Innym razem ksiądz opowiedział Jurkowi, że w czasie wojny był w oddziale partyzantów.

- Gdzie? - zapytał Jurek.

- Jeden rok spędziłem w Kampinosie.

- Ja też tam byłem - ucieszył się Jurek. - Czasem, w lecie, opuszczałem ludzi, u których pracowałem, i szedłem pomieszkać w lesie.

- Czasem widywałem tam żydowskie dzieci - powiedział ksiądz.

Chłopiec z niepokojem przyglądał się jego twarzy, ten jednak patrzył życzliwie.

- Nigdy nie natrafiłeś tam na partyzantów? - zapytał.

- Raz. Zabili mojego psa, bo inny, chory na wściekliznę, rzucił się i go pogryzł.

Jurek posmutniał i opowiedział historię Azora.

Duża grupa dziewięcioletnich dzieci, a razem z nimi kilkoro dziesięcioletnich, które z powodu wojny nie zrobiły tego we właściwym czasie, miała pójść do komunii w nadchodzącym maju. Pan Kowalski narzekał, że swojego syna i Jurka musi przygotować prywatnie, podczas gdy o resztę dzieci zadba szkoła.

- Poprosisz księdza? - zapytała żona.

- Nie, wykluczone. Wezmę kleryka.

- Trudno, zapłacimy mu tuzinem jaj - postanowiła gospodyni.

- Niech będzie - uśmiechnął się pan Kowalski. - Najważniejsze to zbawić te dwie grzeszne duszyczki.

W dniu przyścia kleryka chłopcy czekali podekscytowani, umyci i uczesani, w niedzielnych ubraniach. Zjawił się młody chłopak, który rozmawiał z nimi przez dłuższy czas. Wy tłumaczył im, co to takiego grzechy. Czym są grzechy śmiertelne, przez które nieodwołalnie idzie się do piekła, i grzechy pospolite, jak można za nie odpokutować i jak trzeba się spowiadać.

- I wtedy nie trafi się do piekła?

- Po spowiedzi i odpuszczeniu grzechów dusza jest czysta i bezgrzeszna - zapewnił kleryk. - Trzeba tylko wyspowiadać się ze wszystkiego bez wyjątku, inaczej dusza zostanie nieczysta i nic nie pomoże.

Jurek wiedział, czego nie wolno mu wyznać. Czy bycie Żydem to grzech? Śmiertelny? Czy przez to trafi do piekła? W dalszym ciągu modlił się do Jezusa i Matki Boskiej, szczególnie wieczorami, a od czasu do czasu kładł rękę na krzyżyku i medaliku z Matką Boską, których nigdy nie zdejmował z szyi.

W sobotę obaj chłopcy poszli do spowiedzi. Jurek nauczył się na pamięć tego, co trzeba powiedzieć, gdy wchodzi się do konfesjonału, przeżegnał się i wyrecytował przez drewnianą kratkę oddzielającą go od księdza:

- Zgrzeszyłem przeciwko Bogu i ludziom następującymi grzechami: kradłem kury,

jajka, warzywa, owoce, a raz ukradłem gospodarzowi marynarkę.

Tu przerwał. Usłyszał głos ojca mówiący „nigdy nie zapominaj, że j esteś Żydem”. Czy być Żydem to grzech? To pytanie znowu rozległo się echem w jego głowie. Czy powinien się z tego wyświadczyć? Recytował dalej:

- Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie serdecznie żałuję i postanawiam poprawę.

Tego dnia po powrocie na kolację obaj chłopcy ze zdumieniem ujrzeni dwa komplety odświętnych wyprasowanych ubrań - spodnie, koszule, marynarki i dwa koronkowe kołnierzyki - które leżały na łóżku rodziców, a obok dwie pary lśniących butów.

- Mamy to włożyć jutro? - zapytał oszołomiony Jurek.

- Tak - potwierdziła pani Kowalska. - Przyjdziecie rano do izby. Przygotuję wam ciepłą wodę i porządnie się wyszorujecie. Ubrania dla was pożyczyłam od sąsiadów.

- Ja umyję się w korycie - zaprotestował Jurek.

- Tam nie możesz używać mydła - powiedziała pani Kowalska.

- Przyjdiesz tu i zrobisz tak, jak mówi moja żona - kategorycznym tonem poparł ją pan

Kowalski.

Na twarzy Jurka dało się zauważyć zmartwienie.

- Głuptasie, w kącie do mycia mamy zasłonkę - zaśmiała się gospodyni.

Wstała i pokazała mu, że można zasłonić firanką kąt między ścianą a szafą.

- Najedzcie się, bo jutro rano nie możecie nic włożyć do ust - powiedział ojciec.

- Nawet pić nie wolno - dodała matka.

Obaj chłopcy jęknęli.

- Jak długo?

- Do końca uroczystości, do południa.

Następnego dnia rano na stołeczku przy miednicy na Jurka czekał spory kawałek szarego mydła, a na podłodze stało wiadro pełne ciepłej wody.

- Inaczej niż w korycie - powiedziała pani Kowalska, która czesała umytego Tadka.

- Rozbierz się cały, stań w misce i wyszoruj się dokładnie. Jeśli będzie ci trudno, mąż ci pomoże.

- Nie, nie trzeba - odrzekł Jurek.

- Kiedy się wytrzesz, włóż majtki, a ja pomogę ci z resztą - zaoferowała gospodyni, podając mu nad zasłonką coś, czego Jurek nigdy nie widział - krótkie majtki z cienkiego materiału.

- Co to?

- Nie widziałeś nigdy majtek?

- Widziałem - odparł Jurek. - Kiedy byłem z rosyjskimi żołnierzami, dostałem w zimie majtki, ale były długie, żeby chronić od zimna.

- Od dzisiaj zawsze będziesz nosić majtki pod spodniami.

Jurek włożył majtki i wyszedł zza zasłonki. Nie umiał poradzić sobie z odświętnym strojem i pani Kowalska pomogła mu sprawnymi rękami matki. Kiedy przyszła jego kolej, by się uczesać, długo trudziła się ze szczotką i grzebieniem. Potem włożyła mu koronkowy kołnierzyk i podprowadziła do lustra.

Jurek nie wierzył własnym oczom. Stał tam inny chłopiec. Ale ten inny chłopiec także nie miał jednej ręki.

Ceremonia była wielkim przeżyciem. Chłopcy trzymali w rękach świece, a dziewczynki - śnieżnobiałe lilie. Msza trwała dłużej niż zazwyczaj i Jurkowi burczało z głodu w brzuchu. Na koniec wszystkie dzieci wezwano do ołtarza. Każde uklękło i dostało opłatek. Mały biały okruszek zaostrzył tylko głód Jurka, który niecierpliwie wyczekiwał chwili, gdy wreszcie wrócą do domu na posiłek.

17. Porywacze. Pewnego dnia cię zabiję.

Jurek mieszkał u państwa Kowalskich przez cały rok. Z czasem ubyłoby pracy przy przewożeniu gruzu i pan Kowalski coraz częściej był zajęty w kuźni. Jurek patrzył zafascynowany. Ogień, miechy, rozgrzane do białości pręty, młot w sprawnej ręce kowala, nadający gorącemu żelazu kształt siekiery, podkowy, kosy albo sierpa. Jurkowi udało się wymyślić sposób obsługiwanie miechów za pomocą jednej ręki i ramienia, ale długie szczypcy trzeba było trzymać oburącz. W końcu pan Kowalski sporządził dla niego specjalne szczypcy, które zamiast prawego końca miały kilka końcówek z otworami różnych wielkości, i Jurek mógł posługiwać się nimi jedną ręką. Nauczył się wyjmować rozgrzane do białości żelazo z ognia i szybko przenosić je na kowadło. Potem trzymał je i obracał, z początku zgodnie ze wskazówkami pana Kowalskiego, a po pewnym czasie umiejętnie obracał rozpalony pręt w zależności od tego, jak trzeba było go ukształtować.

Za domem rozciągały się pola, zielone wiosną, żółte latem, pobielone z nadejściem zimy. Zimą wraz z innymi dziećmi Jurek brał udział w bitwach na śnieżki, a latem chodził z Tadekiem pływać w Wiśle. Droga nad rzekę wiodła wśród łąk i niedużych zagajników. Teraz mógł wchodzić do wody z innymi chłopcami dzięki krótkim majtkom, które dostał od pani Kowalskiej. Co prawda, za pierwszym razem, gdy usiłował pływać, o mały włos nie utonął. Tadek wyciągnął go z wody.

- Dlaczego się nie przyznałeś, że nie umiesz pływać?

- Myślałem, że sobie poradzę - odparł Jurek.

Niebawem nauczył się pływać na boku, posługując się jedną ręką jak wiosłem.

Czasami szedł nad rzekę sam, nie tylko po to, by pływać i dokazywać z innymi chłopcami. Lubił siedzieć na brzegu i patrzeć na przepływające łodzie, na ładunki ciągnięte przez barki, na żaglówki, które przypominały mu białe motyle zastygłe nad taflą wody. Postanowił, że pewnego dnia on także będzie miał żaglówkę i popłynie daleko, daleko, do morza.

Pewnego dnia przed dom zajechała taksówka. Jurek, który stał na podwórzu, podszedł do samochodu, by mu się przyjrzeć. Nie codziennie w Wawrze pojawiała się taksówka. Z pojazdu wysiadł elegancko ubrany mężczyzna i zapytał o dom państwa Kowalskich.

- To tutaj - powiedział Jurek.

- Ty jesteś Jerzy Staniak?

- Tak - potwierdził Jurek.

Mężczyzna się przedstawił. Miał niemieckie, a może żydowskie nazwisko, uznał chłopiec. Przybysz powiedział:

- Chcę z tobą porozmawiać. Wsiądź na chwilę do samochodu.

Otworzył przed nim drzwi. Jurek się cofnął. Propozycja wydała mu się podejrzana. Taksówka, która w pierwszej chwili wzbudziła jego ciekawość, stała się nagle pułapką. Uciekł do kuźni i zaalarmował gospodarza:

- Ktoś chce mnie porwać.

Pan Kowalski wyszedł z młotem w ręku. Obcy człowiek przedstawił się ponownie. Pan Kowalski wytarł starannie ręce w spodnie i uściśnił sobie dłonie.

- Możemy porozmawiać na osobności? - zapytał nieznajomy.

- Proszę bardzo - zgodził się pan Kowalski i zaprosił gościa do domu.

Jurek czekał na dworze, pełen obaw. Po kilku minutach zawołano go do środka.

Przybysz zwrócił się do Jurka:

- Jestem Żydem. Przyjechałem tu z Ameryki. Cała moja rodzina zginęła w warszawskim getcie. Przed wybuchem wojny pojechałem na Wystawę Światową w Nowym Jorku i nie zdążyłem wrócić do Polski. Dlatego ocalałem - dodał, jakby chciał się usprawiedliwić.

- Chcę cię adoptować. Będzie ci u mnie dobrze.

- Ja nie jestem Żydem - oznajmił Jurek, kładąc dłoń na krzyżyku na piersi.

- Powiedziano mi o tobie w organizacji Joint w Warszawie - ciągnął obcy. - Wpisano cię na listę żydowskich sierot. Zabiorę cię do Ameryki. Zadbam, żebyś miał prywatnych nauczycieli, zanim pójdziesz do szkoły. Będziesz miał wszystko, co zechcesz.

- Nie - powtórzył Jurek. - Ja nie jestem Żydem.

- Wiesz, że jesteś Żydem. Jestem tego pewien. Robisz wrażenie bystrego chłopca, a wojna nauczyła cię ukrywać pochodzenie za każdą cenę. To właśnie teraz robisz. Ale przecież w końcu wrócisz do swoich korzeni. Chciałbym cię wziąć i zaopiekować się tobą, zostać twoją rodziną.

- Ja już mam rodzinę - powiedział Jurek. - Nie chcę żadnych nauczycieli i nie chcę iść do szkoły, chcę zostać tutaj.

Mężczyzna pożegnał się i poszedł. Kiedy taksówka odjeżdżała, gromada bosych dzieci biegła za nią, machając na pożegnanie.

Kiedy samochód zniknął, pan Kowalski powiedział:

- Mogliśmy zarobić masę pieniędzy, ale nie chciałem cię sprzedać.

- On myślał, że jestem Żydem - powiedział Jurek.

- No cóż - odparła pani Kowalska. - Jezus też na początku był Żydem. Byłeś u komunii i dla nas jesteś teraz chrześcijaninem.

- Mimo wszystko powinieneś wiedzieć - przestrzegł go pan Kowalski - że Żydzi zaczną tu przyjeżdżać i zrobią wszystko, by cię zabrać.

- Niech tylko spróbują - powiedział Jurek. - Mnie nikt nie zabierze, jeśli na to nie pozwolę.

Wieczorem nie zdołał się pomodlić. Nie wiedział, który grzech byłby większy: wyrzec się Jezusa i Matki Boskiej, na których polegał ze wszystkich sił przez cały okres tułaczki, czy złamać złożoną ojcu obietnicę, że nigdy nie zapomni swego pochodzenia.

Były jeszcze dwie albo trzy wizyty. Przyjeżdżali młodzi ludzie. Mówili o sierocińcu, o szkole, o czystych ubraniach i gimnastyce, jakby uważali za oczywiste, że wszystkie te rzeczy powinny go uszczęśliwić. Im bardziej szczegółowo odmalowywali te kuszące propozycje, tym bardziej go odstraszały. Wszystkie wizje, jakie przed nim roztaczali, wydawały mu się różnymi rodzajami tortur.

Pewnego chłodnego jesiennego dnia pod dom przyjechała nieduża furgonetka, otwarta z tyłu, a w niej dwóch ludzi. Drzwi otworzyły się i wysiadł młody mężczyzna. Kierowca został w szoferce. Mężczyzna podszedł prosto do Jurka i przedstawił się:

- Mosze Frenkel.

Jurek natychmiast zrozumiał, o co chodzi.

- Nie jestem Żydem - powiedział. - I nigdzie z panem nie pojadę.

Mężczyzna usiłował go złapać, ale Jurek okazał się szybszy. Przybysz zniknął na chwilę, ale furgonetka z kierowcą wciąż stała pod domem. Jurek zrozumiał, że nieznajomy wróci.

- Tadek! - zawołał. - Przynieś szybko drabinę! Tadek pobiegł po drabinę i obaj chłopcy oparli ją o pień rosnącego na podwórku dębu. Jurek napełnił kieszenie kamieniami, wszedł na drabinę i usiadł w rozwidleniu, w miejscu gdzie z pnia wyrastały trzy gałęzie. Czekał w napięciu. Wreszcie w oddali zobaczył mężczyznę wracającego z milicjantem. Tego się nie spodziewał.

- Odstaw drabinę! - zawołał do Tadeka.

Obcy przybysz z milicjantem weszli na podwórko.

- Przystaw drabinę z powrotem - rozkazał milicjant Tadekowi.

Tadek odmówił. Tymczasem nadeszli jego rodzice i kilku sąsiadów, którzy zebrali się za płotem. Milicjant kazał przynieść drabinę panu Kowalskiemu, a ten usłuchał i oparł drabinę o pień drzewa.

- Jeśli ktoś podejdzie, rozwalę mu głowę! - zawołał Jurek z wysoka i groźnie zamachnął się ręką z kamieniem.

Mosze Frenkel uwierzył i nie zamierzał podchodzić. Na próżno usiłował przemówić mu do rozumu. Po krótkiej naradzie milicjant zdjął z ramienia karabin, przeładował i wycelował. Przerażony Jurek zszedł z drzewa, a mężczyzna chwycił go mocno.

- Panie Kowalski - wołał Jurek, gdy ciągnęli go siłą do furgonetki. - Wróć, niech się pan nie martwi!

Miał nadzieję, że posadzą go z tyłu, ale Mosze Frenkel zrozumiał już, z kim ma do czynienia. Wyjął sznurek, skrępował Jurka i posadził go obok kierowcy, a sam usiadł z tyłu.

Ciężarówka dowiozła ich do Warszawy, na Pragę leżącą na prawym brzegu Wisły. Żydowski dom sierot znajdował się przy ulicy Jagiellońskiej. Mosze Frenkel wyciągnął Jurka z szoferki, zdjął mu więzy i poprowadził do biura. Zamknąwszy drzwi na klucz, zaczął go wypytywać.

- Jak się nazywasz?

- Jurek Staniak.

- To niemożliwe, przecież jesteś żydowskim dzieckiem.

- Nie jestem Żydem.

- Śmierdzisz, a w twoim ubraniu pewnie roi się od wszy. Umyjemy cię i potem pogadamy.

Mosze Frenkel zawołał wyrosniętego chłopaka, ten zaś zabrał Jurka do pomieszczenia o białych lśniących ścianach i posadzce gładkiej jak w kościele. Pod jedną ze ścian ciągnął się rząd kranów nad białymi umywalkami, nad kranami wisiały lustra. Pod ścianą naprzeciwko stały przegrody z matowego szkła, a między nimi, w górze, tkwiły rury, zakończone takim otworem jak konewka.

- Co to za miejsce? - zapytał Jurek, chociaż już się domyślił.

- Nigdy nie widziałeś łazienki?

- Nie - odparł Jurek.

Chłopak posadził go na ławeczce, zakasał rękawy, wyjął maszynkę do golenia i ogolił mu głowę. Obcięte włosy zebrał do wiadra.

- Wszy się rozchodzą - powiedział. - Teraz się rozbierz i wrzuć tutaj te szmaty.

Jurek się rozebrał. Chłopak odkręcił oba kurki, sprawdził temperaturę wody i polecił Jurkowi wejść do środka. Jurek wyciągnął rękę i przekonał się, że woda jest ciepła. Wszedł i poczuł, że mógłby stać tak przez pół dnia, gdyby mu pozwolono. Ale chłopak zakręcił wodę i kazał mu się namydlić.

- Nie żałuj mydła - powiedział. - Wyszoruj też głowę i za uszami, wszędzie, między palcami u stóp też. Mamy czas.

To nie była wielka, szara, kwadratowa kostka, lecz małe, okrągłe i śliskie mydło, z którego unosił się kwiatowy aromat. Jurek zaczął namydlać się energicznie, ale mydło wciąż wyslizgiwało mu się z ręki, w końcu zaś uciekło i przeleciało po podłodze. Chłopak roześmiał się i podał mu je. Kiedy Jurek się opłukał, chłopak zakręcił wodę i wytarł go wielkim ręcznikiem, a potem wyjął z szafki przygotowane ubranie i chciał pomóc mu się ubrać.

- Umiem sam.

Była tam bielizna, skarpetki, spodnie, koszula, marynarka i brązowe buty. Wszystko nowe.

- Przymierz buty. Zobaczymy, czy na ciebie pasują.

Buty nie pasowały i chłopak przyniósł inną parę. Z podziwem przyglądał się, jak Jurek wiąże sznurowadła jedną ręką. Kiedy się ubrał, chłopak odprowadził go z powrotem do Mosze Frenkla.

- On naprawdę jest Żydem - poinformował i wyszedł.

Mężczyzna podszedł do Jurka, nieoczekiwanym ruchem zerwał mu z szyi krzyżyk i medalik z Matką Boską i wrzucił je do pieca. Jurek oddychał ciężko. Wiedział, że ten człowiek jest od niego silniejszy.

- Pewnego dnia pana zabiję - powiedział z bezsilną złością.

- Miło mi to słyszeć - odparł Mosze. - Nie jesteś pierwszym przywiezionym tu chłopcem, który mi to mówi.

Zaprowadził Jurka do pokoju z trzema łózkami. Obok łóżek stały nocne szafki, a przy stole trzy krzesła. W kącie umieszczono szafę.

- Będziesz tu mieszkać z dwoma innymi chłopcami - powiedział Mosze i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Na stole leżały owoce i słodycze. Jurek zjadł jabłko, do kieszeni włożył garść cukierków i podszedł do okna. Pokój znajdował się na pierwszym piętrze. Za rogiem domu grupa dzieci grała w nogę. W większości znajdowały się poza polem widzenia, ale co jakiś czas dostrzegał jedno albo dwoje biegnące za prawdziwą, uszytą ze skóry piłką. Spróbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Uderzył w nie pięściami. Nikt nie przyszedł. Podszedł do okna, otworzył je na oścież i się wychylił. Rynna była bardzo blisko. Jurek wszedł na parapet, ręką i dwiema nogami chwycił się rynny i zsunął na ziemię. Potem okrążył budynek i postanowił przyłączyć się do grających.

- Jesteś nowy?

- Tak.
- Nie masz ręki?
- Nie mam.
- Pokaż.
- Nie chcę. Mam dwie nogi.

Po krótkiej dyskusji o tym, do której drużyny ma dołączyć, Jurek zaczął grać razem z chłopcami. Po kilku minutach nagle kopnął piłkę tak mocno, że przeleciała nad ogrodzeniem na drugą stronę.

- Co ty wyprawiasz?! - rozgniewali się na niego. - Teraz idź i ją przynieś.

O to mu chodziło i dlatego grał w piłkę ubrany w nową marynarkę.

- Pomóżcie mi przejść przez płot - poprosił.

Dwaj chłopcy podsadzili go i pomogli wdrapać się na górę. Jurek przelazł na drugą stronę i zeskoczył na ziemię. Znalazł piłkę i kopnął ją na podwórko, a potem odszedł. Na ulicy zapytał starszą panią:

- Przepraszam, gdzie jest stacja kolejowa?
- Niedaleko.

Wskazała mu kierunek i wytłumaczyła, jakimi ulicami iść. Niestety, wyjaśnienia nie zdały się na wiele, bo Jurek nie umiał czytać. Pytał kolejnych przechodniów, aż w końcu dotarł do celu. Na dworcu zapytał, który pociąg jedzie do Wawra i ile stacji trzeba minąć. Wsiadł do pociągu, schował się w ubikacji, policzył trzy stacje i wysiadł. Był szczerze zdziwiony, że naprawdę udało mu się dotrzeć do celu.

Poszedł do państwa Kowalskich, pogwizdując po drodze wesoło. W domu zastał tylko gospodynię.

- Jurek! - zawołała uradowana. - Jak ładnie wyglądasz! Jakie piękne ubranie! Tadek i mój mąż są w kuźni.

- Mam też buty! - Podniósł nogę, by jej pokazać.

Gospodyni poszła razem z nim do kuźni.

- Widzi pan, mówiłem, że wrócę.

- Żydzi mają pieniądze - uznał pan Kowalski na jego widok. - Ale dlaczego ogolili ci głowę jak więźniowi?

- Tak już robią.
- Wiesz, że przyjadą szukać cię u nas.
- Wiem. Nie mówcie im, że wróciłem, to mnie nie znajdą.

Ale nie zdążył zrealizować tych planów. Do kuźni weszli dwaj milicjanci. Szukali

rudego żydowskiego chłopca bez ręki.

Odwieziono go z powrotem do sierocińca.

18. Po prostu go rozbawiła. Mamy tego samego Boga.

Po śniadaniu w stołówce, kiedy jego współlokatorzy 227 poszli do szkoły, Jurkowi nakazano wrócić do sypialni.

- Przyjdzie z tobą porozmawiać jedna pani.

Jurek planował uciec możliwie jak najszybciej. Nie potrzeba mu kolejnych przesłuchań. Już wystarczająco go wypytywano. Ciągle od nowa te same pytania: jak ma na imię? Skąd jest? Co stało się z jego rodzicami? Czy miał braci i siostry? Mdlilo go od wszystkich tych pytań, na które nie znał odpowiedzi. Nazywa się Jurek Staniak. Tak, pamięta, że jest Żydem. Tak, miał braci i siostry. Ile? Nie pamięta dokładnie. Włożył marynarkę i otworzył drzwi. W progu stała kobieta o siwych włosach i młodej twarzy. Była niska, niewiele wyższa od niego. Spojrzała mu prosto w twarz. Miała uśmiechnięte oczy. Podała mu rękę, jakby był dorosły. Jurek uścisnął jej dłoń, ciepłą i miłą w dotyku. Kobieta weszła do pokoju, prowadząc go za rękę za sobą, jak prowadzi się małe dziecko. Puściła jego rękę, dopiero gdy usiadła na jednym z krzeseł. On usiadł naprzeciw niej na łóżku. Wtedy udało jej się go rozbawić. Kiedy po pewnym czasie usiłował przypomnieć sobie, co takiego zabawnego powiedziała, nie potrafił. Po prostu wniosła ze sobą inną atmosferę, coś sympatycznego i odrobinę figlarnego.

- Jestem pani Rapaport - powiedziała z uśmiechem.

- Jurek Staniak. Na pewno pani wie.

- Wiem.

- Znowu ujęła jego rękę i pogłaskała ją. Jurek nie zabrał ręki.

- Jurku - powiedziała - przez cały czas spotykam dzieci, zagubione tak jak ty. Dzieci, które nie wiedzą, kim są ich rodzice ani skąd pochodzą, które tułały się po lasach i wsiach albo ukrywały u dobrych ludzi. Znajdowaliśmy takie dzieci w klasztorach i sierocińcach. Głównie dziewczynki. Wiesz dlaczego.

- Tak.

- Wiem, co cię boli. Rozumiem.

Mówiła do niego dalej, cichym i łagodnym głosem. Nie rozróżniał słów. Był tylko delikatny strumień sylab, łączących się ze sobą w cichutką melodię. Czuł, jak ciepło jej ręki powoli go przenika, wznosi się coraz wyżej i dławi w gardle. Zanim zrozumiał, co się z nim dzieje, łzy popłynęły mu z oczu. Pani Rapaport stanęła przed nim i gładziła go po twarzy i włosach. Z gardła wyrwał mu się dziwny szloch. Czuł, jakby coś w nim się otworzyło, cały

był obnażony, bezbronny. Na próżno usiłował wycofać się i zamknąć. Utracił nad wszystkim kontrolę i nagle zerwały się wszelkie tamy. Poddał się uczuciu bezradności, słabości i zagubienia, które wypływało ze łzami. Pani Rapaport przycisnęła jego głowę do piersi, a on płakał. Płakała razem z nim. Jurek nie wiedział, jak to się stało, ale zaczęli rozmawiać. Nie stała już przed nim, lecz siedziała obok na łóżku, a on położył głowę na jej kolanach i mówił. Opowiadał wszystko, co pamiętał, wszystko, o czym zapomniał.

- Pamiętasz swoje imię?

- Nie.

- Miałeś rodzeństwo?

- Tak, ale zapomniałem, jak się nazywali.

- Pamiętasz, skąd jesteś?

Pamiętał nazwę miasteczka. Teraz ujrzał we wspomnieniach piekarnię, ojca w blasku ognia buzującego w piecu, zobaczył sąsiednią kuźnię, ich dom i malutki sklepik spożywczy pani Staniak naprzeciwko. Wpatrywał się w twarze. Zobaczył swojego dziadka z długą białą brodą, potem pojawiła się matka, starał się zobaczyć jej twarz wyraźniej. Wydawało mu się, że widzi twarze braci i sióstr, ale pozostały niewyraźne, jak za mgłą, i nie dał rady przywołać z pamięci ich imion. Potem przypomniał sobie ojca, kiedy leżał na łóżku, śpiąc i chrapiąc zabawnie. Chrapanie chwilami zamieniało się w gwizd, przypominający pogwizdywanie lokomotywy. Zobaczył siebie, jak wchodzi na łóżko, wyciąga z materaca słomkę i łaskocze ojca pod krótkim wąsem. Nagle twarz ojca zmieniła się, przeobraziła w poszarzałe, pokryte zarostem oblicze z pola kartofli, Jurek zobaczył świdrujące spojrzenie utkwione w swojej twarzy, poczuł oddech ojca i usłyszał głos: musisz przeżyć, Jurku. Nie, nie powiedział „Jurku”. Ale przecież przeżył i właśnie w tym celu zapomniał swoje imię, imiona braci i sióstr, zapomniał nawet twarz matki, utraconą w próżni, która otwarła się w jego sercu, gdy zniknęła.

Jurek usiadł i otarł łzy rękawem. Urywanymi zdaniami usiłował opowiedzieć pani Rapaport, co zobaczył we wspomnieniach.

- Błonie, mówisz. Poznasz to miejsce, jeśli tam pojedziemy?

- Tak - powiedział. - Poznam dom i piekarnię. Obok była kuźnia.

- Pojedziemy teraz?

Niewielka furgonetka, ta sama, w której został porwany, stała do ich dyspozycji i oboje wcisnęli się na przednie siedzenie obok kierowcy. Pani Rapaport położyła mu rękę na ramieniu, może po prostu dlatego, że brakowało miejsca. Ta bliskość ogrzewała mu serce. Powiedział żartem:

- Widzi pani, czasem dobrze, że nie mam jednej ręki.

Nie roześmiała się, tylko przytuliła go mocno.

Przejechali Wisłę i ponad godzinę później znaleźli się w Błoniu. Z początku mijali wiejskie chałupy o dachach krytych strzechą, otoczone małymi gospodarstwami, ale szybko dotarli do ulic, przy których stały niskie domy mieszkalne, drewniane albo z drewna i cegieł. Nagle Jurek wykrzyknął:

- Tu jest piekarnia!

Furgonetka się zatrzymała. Drzwi piekarni były zaryglowane. Jurek pobiegł do kuźni, ale tam też nikogo nie znalazł. Miejsce wydawało się opuszczone. Bez wahania chwycił panią Rapaport za rękę i pociągnął za sobą. Po kilku minutach stanęli przed zburzonym do połowy domem.

- Tu mieszkaliśmy - powiedział Jurek ze ściśniętym sercem.

Przeniósł spojrzenie na drugą stronę ulicy i się rozchmurzył.

- To sklepik pani Staniak - zawołał i znowu pociągnął za sobą panią Rapaport.

Weszli. Za ladą stała starsza kobieta. Na widok Jurka otworzyła szeroko oczy, a z ust wyrwał się jej pełen zaskoczenia okrzyk:

- Srulik!

Pobladła, złapała się za serce i ciężko oparła o ladę.

- Ty żyjesz?!

Teraz przypomniał sobie swoje imię. Tak, nazywał się Srulik, a nie Jurek Staniak.

Pani Staniak otrząsnęła się z szoku, zamknęła sklep i zaprowadziła ich do domu. Poczęstowała gości herbatą oraz ciasteczkami i usiadła wraz z nimi do stołu.

- Twoją mamę i brata Dawida Niemcy zabili na szosie niedaleko Błonia - powiedziała.

- Pamięta pani nazwisko rodziny Srulika?

- Oczywiście. Jakbym pytała siebie, czy pamiętam własne. Fridman. On nie pamięta?

- Nie. Przedstawia się jako Jurek Staniak.

Pani Staniak roześmiała się.

- Kto cię tak nazwał?

- Tata.

- Na pewno chciał, żeby było ci łatwo zapamiętać - uznała pani Staniak. - Świetnie pamiętam całą rodzinę. Byliśmy dobrymi sąsiadami. Zapraszali mnie i męża na seder, a sami przychodzili popatrzeć, jak obchodzimy nasze święta. Sruliku, pamiętasz, jak zachodziliście do mnie oglądać choinkę?

Uśmiechnął się. Pamiętał. Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie nagle, co stało się

później, kiedy razem z bratem wrócili do domu, obejrzawszy przyozdobione drzewko ze świeczkami i gwiazdą. Rodziców nie było w domu, a jego brat wziął młotek i uderzył go w głowę.

- Twoja najstarsza siostra miała na imię Fajga. Po wybuchu wojny uciekła do Rosji ze swoim mężem. Twoja druga siostra miała na imię Malka, twoi dwaj bracia Josef i Dawid. A ty byłeś małym Srulikiem.

Pani Staniak uśmiechnęła się do niego.

- Jak nazywali się rodzice Srulika? - zapytała pani Rapaport.

- Ojciec miał na imię Hersz, a matka Riwa. To była ładna kobieta.

Ponownie spróbował przypomnieć sobie twarz matki, ale znowu na próżno. Twarz ojca pamiętał dobrze. Nie tę wynędzniałą, zarośniętą twarz z pola kartofli, lecz prawdziwą.

Pożegnali się z panią Staniak. Kiedy szli do samochodu, pani Rapaport przytuliła Jurka i powiedziała:

- Teraz poszukamy twojej siostry Fajgi, Sruliku.

- Dobrze - odparł. - Ale chciałbym zostać Jurkiem.

- Uszanuję twoją wolę - obiecała pani Rapaport.

W drodze powrotnej Jurek siedział skupiony, zatopiony w myślach. Zalewały go wspomnienia. Ktoś okręca nad głową koguta. W domu trwa wielkie sprzątanie, matka wyrzuca starą słomę z materacy i wkłada świeżą. Pamiętał, gdzie stały łóżka, i to, jak sypiał razem z bratem Dawidem. Pamiętał kącik do mycia, ale może był to kącik do mycia w domu państwa Kowalskich? W zimowe noce rodzice stawiali wiadro na ganku, bo ubikacja była na dworze, w małej drewnianej komórce nad dziurą wykopaną w ziemi. Przypomniał sobie, jak dziadek zabrał go do jękającego się kapelusznika i kupił mu czapkę z przyszytym pośrodku guzikiem. Widział wyraźnie szafę z dwójgiem drzwi i dwiema szufladami na dole, w których matka chowała ciasto. Wspomnienia mnożyły się, przechodząc w dziwny sen.

- Jurku, obudź się.

Matka schylała się nad nim, chcąc go obudzić. Od razu wiedział, że to sen i że słyszy głos pani Rapaport. Ale wciąż widział pochyloną nad sobą twarz matki, wyraźną i namacalną, jakby naprawdę stała przy nim w tej chwili. Jurek uchwycił się jej ze wszystkich sił. Nie, już nigdy jej nie zapomni.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała pani Rapaport.

Kiedy otworzył oczy, pamiętał twarz swojej matki.

Jurek był bardzo przejęty, kiedy tydzień później wybrał się do Wawra pożegnać się z rodziną Kowalskich. Słyszając uderzenia młota, skierował się prosto do kuźni.

- Przyszedłem się pożegnać - powiedział.

Pan Kowalski dalej kształtował rozgrzany do białości pręt. Tadek zerknął na niego, a potem znowu skupił się na pracy. Jurek czekał.

Pani Kowalska zobaczyła Jurka z okna i przyszła za nim do kuźni. Pan Kowalski odłożył młot i wytarł ręce. Potem otarł czoło.

- Przyszedł się pożegnać - wyjaśnił Tadek matce.

Jurek przełknął ślinę i oznajmił:

- Zostanę w żydowskim domu sierot.

- To twoja wolna wola - odparł pan Kowalski.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece - powiedziała pani Kowalska i pocałowała go w głowę.

- Mamy tego samego Boga - dodał kowal.

Jurek bezwiednie pomacał ręką pod koszulą, ale nic nie znalazł.

Pan Kowalski wyciągnął lewą rękę i uścisnął Jurkowi dłoń.

Tadek odprowadził go na stację. Ponieważ też nie umiał czytać, musieli o wszystko pytać. Jurek kupił bilet do Warszawy. Na peronie czekało wielu podróżnych. Kiedy pociąg nadjechał, przecisnął się do środka i usiadł przy oknie. Tadek stał na peronie i uśmiechał się do niego. Jurek odpowiedział mu uśmiechem.

Epilog

Pani Rapaport sprawdzała wszystkie spisy polskich repatriantów powracających z Rosji. Znalazła w nich informację, że Fajga Fridman wróciła do kraju, a potem wyjechała w nieznanym kierunku. Jedną z opiekunek z domu sierot, która wyemigrowała do Izraela, obiecała Jurkowi, że pomoże mu znaleźć siostrę. W Izraelu zwróciła się do biura poszukiwania krewnych i w końcu rzeczywiście odnalazła Fajgę. Jurek dostał list i fotografie swojej siostry z mężem i dwojgiem dzieci. Wtedy potrafił już czytać.

Po pewnym czasie przeniesiono go do domu sierot w Łodzi. Skończył osiem klas szkoły podstawowej w cztery lata i cztery klasy liceum w dwa lata. Potem poszedł na uniwersytet. Na początku zapisał się na Wydział Historii i Marksizmu, ale jego wychowawca z liceum rozgniewał się, gdy o tym usłyszał.

- Oszalałeś? Po co ci te bzdury? Jeśli kiedyś pojedziesz do Izraela, co tam poczniesz z historią Polski i marksizmem? Jesteś świetny z matematyki. Idź studiować matematykę!

Jurek posłuchał go.

Przez cały czas nauki w szkole mieszkał w domu sierot. Kiedy zaczął studia, dostał pokój w akademiku, rentę inwalidzką i stypendium za doskonałe wyniki.

Pewnej soboty wieczorem jechał z kolegą tramwajem do klubu studenckiego, gdy nagle ujrzał przez okno idącą ulicą prześliczną dziewczynę w czerwonym płaszczu. Nie zastanawiał się dwa razy, wyskoczył z tramwaju i ruszył za nią. Po pewnym czasie dziewczyna wyczuła, że ktoś ją śledzi, ale obawiała się obejrzeć. Skierowała się do klubu młodzieży żydowskiej, weszła do budynku i wspięła po schodach. Wciąż słyszała za plecami kroki, aż do drzwi wejściowych. Na drzwiach klubu wisiała kartka: „Wszyscy są w teatrze”.

Dziewczyna przestraszyła się. Obróciła się i ujrzała Jurka, popularnego i powszechnie lubianego żydowskiego studenta, rudego chłopaka bez ręki.

Miała na imię Sonia. Rok później, mimo wielkiego uczucia, jakie ich łączyło, byli zmuszeni się rozstać. Sonia wyjechała z rodzicami do Izraela. Utrzymywali kontakt listownie.

Jurek skończył studia i zaczął pracować jako asystent na politechnice. Po tym, jak kilkakrotnie zetknął się w Polsce z przejawami antysemityzmu, wyjechał do Izraela. Tam po raz pierwszy po wojnie spotkał się ze swoją siostrą i poznał jej rodzinę. Ożenił się z Sonią i doczekali się dwójki dzieci, syna i córki.

W Izraelu Jurek zmienił imię na Joram. Pracował jako nauczyciel matematyki i wychowawca. A właściwie był przede wszystkim wychowawcą, a potem nauczycielem

matematyki.

Zarówno w Polsce, jak i w Izraelu odmawiał noszenia protezy. W dzieciństwie nauczył się radzić sobie z jedną ręką i także dzisiaj nie wymiguje się, gdy przychodzi jego kolej na zmywanie naczyń.

Na początku pobytu w Izraelu kilkakrotnie opowiadał historię swego dzieciństwa, ale nikt mu nie uwierzył. Kilka lat po wojnie Jom Kippur do szkoły, w której pracował, przyjechał inwalida wojenny bez ręki i obu nóg, który opowiedział uczniom, w jaki sposób został ranny i jak przebiegała jego rehabilitacja. Po tej wizycie Joram postanowił, że znowu opowie swoją historię. Tym razem przeżył zaskoczenie. Kiedy mówił, w sali panowała całkowita cisza. Wszyscy słuchacze siedzieli przejęci, poruszeni, bliscy łez. Tak jak ja.

autor

Jerozolima 2000